









Egz. archiwalny IBL

ŻYWOT I SPRAWY

JPana Medarda z Gołczwi

PEŁKI.



# ŻYWOT I SPRAWY

JMPANA MEDARDA Z GOŁCZWI

PEŁKI

Z NOTAT FAMILIJNYCH SPISANE

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

INSTITUT **Tom II.**  
**BADAN I HERACIICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-320 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

GEBETHNER i WOLFF.

1876.



Дозволено Цензурою

Варшава 17 Сентября 1875 г.

---

Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

1784

<http://rcin.org.pl>



Dwaj bracia Zagórscy i trzy siostry Zagórskie  
mieszkały w Malinowej.

Starszy ze dwóch pan Filip dzieckiem jeszcze  
okaleczał na nogę, i to go domatorem uczyniło —  
młodszy, że uczonego księdza nauczycielem miał  
i zawczasu z Horacym się i Wirgilim zapoznał,  
pokochał książki, a choć czasem konia dosiadał,  
rycerskiego ducha miał tylko w pieśniach i epi-  
grammatach. Rzadka to była na owe czasy rzecz  
taki dom, w którymbyś rycerza nie znalazł, człeka,  
coby albo nie służył wojskowo, lub służyć się nie  
gotował — tu zaś, prawdę rzekłszy, chyba kulawy  
pan Filip mógł się liczyć za rycerza duchem i wą-  
sami, bo noga mu nie dawała dosiadać strzemienia.  
Wawrzyniec wolał śpiewać zwycięstwa, aniżeli je  
odnosić.

Trzy siostry: Anna, Róża i Julka, młodsze  
były znacznie od panów braci; słynęły szeroko

z wdzięków i zacności, nie było w okolicy żadnych, coby się z nimi mierzyć mogły. . . Oprócz tego, o czém świat cały od braci dokumentalnie wiedział, miały po dwadzieścia tysięcy złotych posagu gotówką, co naówczas nie było do pogardzenia, i po pięć w wyprawie.

Mimo to, żadna z nich dotąd męża nie znalazła. Czém się to działo, odgadnąć trudno. Kochały się między sobą serdecznie, a że im w domu, w którym gospodarowały, bardzo było dobrze, — nie spieszyła żadna z nich innego sobie szukać. . . Przyjechawszy w konkury szlachcie, gdy spojrzął, nie wiedział którą wybierać, a poznavszy je bliżej, wziąłby był każdą, żałując, że wszystkich zabrać nie może. Może dlatego, właśnie kochali się kawalerowie, a nie ożenił się dotąd żaden.

Dom panów Zagórskich gościnnie był i wesoły, skrzypki tam dawniej częściej się zwijały niż gdzieindziej — ludzie byli dostatni, rządni, przyjacielscy, i żyli ze wszystkimi dobrze — kochano ich powszechnie, złego słowa nikt o nich nie posłyszał. Spojrzeć na nich dość było, żeby się dusza rozchmurzyła. Poczawszy od biednego Filipa, wszyscy byli pięknego oblicza, rysów twarzy podobnych do siebie, różnego tylko wyrazu. Na licu kaleki, jak na przekorę, jaśniał duch rycerski przodków; na czole Wawrzyńca widać było spokój zatopionego w sobie poety.

Anna była trzpiotem wesołym; Róża poważniejszą i zamyśloną a pobożną; Julka łagodną, nieśmiałą, rumieniącą się co chwila. Choć różne na pozór charakterami, miały rodzinne podobieństwo do siebie i jednakie poczciwe serca. Młodzi panice lgnęli często z kolei: do jednej, do drugiej, do trzeciej, a dziewczęta się z nich śmiały, bo między niemi zazdrości nigdy nie było. . . Różnicę wieku panien mało kto dostrzegł, bo najstarsza miała rok dwudziesty trzeci, a najmłodsza dwudziesty.

Rożańskiemu najwięcej do serca przypadała nieśmiała Julka, gdy — przypadkowo nie był gdzieindziej zajęty. Teraz też już mu owa miłosierna mieszczenka krakowska miała czas z serca się wyśliznać, i zbliżając się do Malinowej, czuł wracające dawne affekta dla Julii Zagórskiej.

Obiecywali sobie z Pełką spędzić wieczór bardzo przyjemnie, gdy widok ludzi pani podczaszyniej Pełkę niezmiernie zmieszał, tak, iż gdyby nie obawa zakłopotania przyjaciela i siebie — byłby może od progu zawrócił.

Zagórscy wyszedłszy do sieni, witali już Rożańskiego, który im Pełkę przedstawiał.

— Mojego dobrego druha i towarzysza, Medarda Pełkę, łasce panów braci polecam... Jedliśmy z nim razem spleśniały razowy chleb i stęchłą cebulę w Krakowie, biliśmy się i biedowaliśmy razem... a nie ma przyjaźni, jak żołnierska.

Mógł to dostrzedz nawet Rożański, że na imię Pełki pochmurzyły się coś twarze Zagórskich — spojrzeli po sobie ukradkiem, i jakby niepewni byli, co za jednego Pełkę mieli przed sobą, Filip zapytał:

— Czy nie z Lubelskiego?

— Z Gołczwi — odezwał się Pełka, nie chcąc ani na chwilę w błąd wprowadzać nikogo — mieszkałem o granicę od pani podczaszynéj Pocięjowéj, której tu dwór poznaje...

— A tak! odezwał się Wawrzyniec — pani podczaszyna blisko jest z nami skolligacona...

Obaj bracia podali ręce Medardowi, zapraszając go do środka, lecz widocznie pomieszani. Wszczęły się zwykłe ceremonie w progu, kto przodem pójdzie. Medard wąsa kręcił czmychając, nie chciało mu się spotykać z babą, której widoku znieść nie mógł, i z którą rzadko kwadrans bez zaczepki mógł wytrzymać i bez przymówek wzajemnych.

— Czy to będzie właściwie czy nie — odezwał się — rozsądzicie waszmość panowie; lecz choć po raz pierwszy mam szczęście konwersować z nimi, szczerym być chcę po żołniersku.

To mówiąc, zatrzymał się nieco w progu.

— U pani podczaszynéj — mówił dalej — nie jestem w wielkich łaskach; lękam się mojem przybyciem zatruć państwu miłe obcowanie. Nie weźmiecie mi ichmość za złe, gdy za gościnę podziękowawszy, dalej na nocleg ruszę... Z panem Wa-

clawem jutro lub po jutrze na drodze się zjedziemy.

Zagórscy stanęli jak osłupiali patrząc po sobie, Pełka już się do odwrotu gotował.

— Ani się obawiać spotkania nie mam powodu, ani na sumieniu cokolwiekbaż czuję — dodał; — ale po cóż mam miłym gospodarzom kwas wносить do domu...

Wacek zmilczał zafrasowany, sam nie wiedząc co pocznie.

— Miły panie — ozwał się Filip kręcąc sowego wasa — słusznieby nam to mogli ludzie wyrzucać jako wielką winę, gdybyśmy wam dla tak błahéj przyczyny od naszego proga odejść dali. Na żaden sposób nie może to być, żebyście nam krzywdę uczynili. Nie pierwszyna to, że na neutralném terytoryum znajdują się cokolwiek z sobą powaśnione osoby; przecież z obu stron mitygować się umieją i nic ztąd nieprzyjemnego nie wyniknie. Często się jeszcze z sobą przejednać potrafią. Spodziewam się, że i tym razem nie gorzej będzie.

— Miły panie a bracie — dodał Wawrzyniec — istotnabyście domowi wyrządzili krzywdę odchodząc od proga.

To mówiąc we drzwi otwarte uprzejmie zapraszali. Medard pchnął Wacka przodem, a sam téż nie certując się dłużej, wszedł za nim.

W izbie gościnnéj siedziały już kołem wszystkie trzy panny, otaczając podczaszynę, która w naj-

lepszym humorze, na siedzeniu rozparta, śmiała się, coś rozpowiadając, do rozpuku...

Wtém ujrzawszy wchodzącego Pełkę a nie mogąc się pohamować, rzuciła się aż na siedzeniu i pobladła, prostując się sztywnie i przybierając minę poważną.

Panowie Zagórscy, wedle obyczaju, siostrom i podczaszynie gościa przedstawili. Jejmość spojrzała na Pełkę gniewnie i bryznęła z przekąsem:

— O! tego jegomość pana przedstawić mi nie potrzebujecie, bo my się z dawna i dobrze znamy...

Pełka już miał coś odpowiedzieć, ale powstrzymał się, skłonił tylko i na bok ustąpił. Oczy wszystkich trzech panien ciekawie się na niego zwróciły, ale że był chłopak jak malowany, a słysząc przytyk jeszcze się gdyby jabłko zarumienił, nie uczynił na nich przez to złego wrażenia. Ciekawość tylko zaostrzyła się.

Podczaszyna zaś zwróciła się zaraz do Wacka, który ją z opowiadania przyjaciela dobrze znał (o czém ona nie wiedziała), a jak była zawsze zalotną, poczęła wnet oczyma doń strzelać i usteczka misternie sznurować. Wacek był do zakochania się a raczej bałamucenia się łatwy; szczęściem tu go Julka broniła od niebezpieczeństwa. Nie podobały mu się owe miny pani podczaszyniej, i zbył ją jakby nie rozumiał...

Zagórscy zaś, jako ludzie doświadczeni, wnet rozmowę skierowali na sprawy publiczne, żeby pry-



watnych nie dopuścić. Wszczęła się rozmowa o oblężeniu Krakowa, o królu, o dworze i o panu Czarneckim...

Pełka, który niedawno widział podczaszynę na zamku w Głogowie w najlepszych na oko stosunkach z królową i królem, boć królestwo Jmość córce jój wesele sprawiali — zdziwił się niepomału, słysząc ją tu z przekąsem odzywającą się o obojgu. Zmilczał wszakże.

Zagórscy nie dopomagali wcale, a Rożański nawet za króla się ujął.

Miała go już za pogiębionego bezpowrotnie podczaszyna. Wacek się odezwał:

— Jeszcze to przecież nie koniec wojny, a choć się królowi Jmości nie wiodło z razu, nie całkiem w tém jego wina. Może się też fortuna poprawić.

— Wątpię — przerwała piękna pani — Gustaw mu zagarnął wszystko. . . Trudno przeciw wodzie płynąć; kto ma rozum, ten z nim trzymać musi.

— A kto ma serce, pani podczaszyno — dodał Wacek — ten do ostatka zostanie wiernym swojemu królowi, w złej czy dobrej doli.

Ruszyła na to ramionami podczaszyna.

— Wolno każdemu iść kędy chce — rzekła — a no, im dłużej tak ludzie pięknie będą prawili, tém się niewinna krew nasza dłużej lać nie przestanie.

Zagórscy zmilczeli jeszcze, panny oczy pospuszczały, Pełka już dłużej utrzymać się nie mógł.

— W ustach pana wojewody, zięcia pani pod-  
czaszynéj — ozwał się spokojnie — nie dziwiłyby  
mnie te zdania. . . lecz od pani, dla której oboje  
królestwo szczególne okazywali względy...

— Kraj mi jest miłszy od króla — przerwała  
rumieniąc się podczaszyna — a kraju Jan Kazimierz  
nie zbawi modląc się i płacząc. . . Co prawda to  
nie grzech...

Milczenie jak mak siał nastąpiło przez dość długą  
chwilę.

— A ichmość — spytała podczaszyna spoglą-  
dając na zafrasowanych Zagórskich — z kim trzy-  
macie?

Bracia oczyma się porozumieli z sobą tylko,  
i Wawrzyniec, choć młodszy — łatwiejszą mający  
wymowę — rzekł z wolna mierząc słowa:

— Dzięki Bogu, wotów naszych dawać nie je-  
steśmy zmuszeni. Takie sprawy *discursive* i *inter-  
locutorie*, nie mogą się rozstrzygnąć. . . więc lepijby  
je na czas inny zostawić.

Podczaszyna, której to w niesmak poszło, usta  
skrzywiła. . . panny, które były oczy popodnosiły,  
znowu je spuścić musiały.

— Nie taję tego — mówiła piękna wdówka —  
że mój zięć pan wojewoda, jak dawniej tak i teraz  
więcej się ku Gustawowi nakłania. . . bo ma rozum!  
tak, ma rozum. . . Poszło też za nim województwo  
sieradzkie całe. . . Inne kraje koronne i Litwa hoł-  
dują również nowemu panu. . . Nie ma już wyboru,



albo jak król iść na wygnanie, lub się submit-tować...

— Albo się do ostatka bić — dodał Medard z cicha...

Panny dosłyszały tych wyrazów i oczyma jakby mu dziękować za nie chciały; podczaszyna udała, iż one jój nie doszły.

Zagórscy siedzieli strapieni jak podróżny, który z końmi i wozem na złą drogę się puścił i nie wie którądy z niej zawrócić, by się na gładszą dostać.

— My domatorowie — odezwał się Wawrzyniec wreszcie — dzięki Bogu, możemy stać na boku i czekać jak Opatrzność rozstrzygnie — a Wacek dodał:

— Wracamy z Krakowa, któregośmy bronili do ostatka; nie powinna się pani podczaszyna dziwić, iż sprawę, za którą cierpieliśmy, kochamy... bośmy stolicę dla króla Jmości chcieli zachować...

— A przecież ją wam Gustaw wziął, mimo tego sławnego bohatera Czarnieckiego.

Medard jak struna wstał.

— Jeżeliby co przeciwko niemu a królowi panu mówioném być miało — rzekł stanowczo — pozwolicie mi panowie, iż nie chcąc ani się kłócić, ani słuchać co boli, lepiej pójdę.

Zarumieniła się i na głos śmiać poczęła podczaszyna; ale Zagórscy bracia i siostry spowaźnieli wszyscy, mogła poznać, iż nie radzi byli sprzecze.

— Toć lepiej ja panny wam zabrawszy wyjdę, rzekła, bo i tak spocząć mi potrzeba...

To mówiąc, pochwyliła ze stołu perfumowane rękawiczki i chciała odchodzić, a bracia przyskoczyli do niej z obu stron zatrzymując, i Wawrzyniec począł żywo:

— Jeśli mamy cokolwiek łaski, niechże pani nas nie osieroca, a pan Pełka też zostanie; dosyć będzie zmienić rozmowę, o co nietrudno nikomu... Dla domu naszego uczynić to zechcecie...

Podczaszyna usiadła... Pełka trochę tylko z oczu zszedł... Panny nie śmiały słówka rzec, znowu tedy milczenie nastąpiło. Na czołach pana Filipa i Wawrzyńca, widać było występujący pot kroplisty, tak się obaj mężczyli.

Anna wybiegła przyspieszać wieczerzę, ażeby nią przerwać dyskursu niepotrzebne. Róża jeła się po cichu podczaszynę zabawiać. . . Wacek z panną Julią spoglądali na siebie z daleka, i dziewczę rumieniło się pod wejrzeniem Rożańskiego, jakby ją słońce piekło.

Nie długo to potrwało, bo tuż oznajmiono wieczerzę, i pan Filip podał rękę podczaszynie, Medard Annie, a Wacek zmuszony po starszeństwie wziąć Różę, westchnął tylko...

Szli tedy do jadalni tuż obok — gdy... pędem wielkim wpadł zdyszany wyrostek. . . Z oczu jego widać było, że niedarmo tak spieszył, cały przełękły i poruszony... Zatrzymali się wszyscy...

— Co ci takiego? — spytał Filip.

— Proszę panicza... — łykając wyrazy zawołał chłopak — proszę pana... od gościńca na koniu co tchu nadbiegł Antek, i powiada, że oddział obcego żołnierza... Niemcy czy Szwedy... prosto ciągną do dworu...

Pobledli Zagórscy, nie wiedząc co czynić. Pełka z Wackiem zmierz yli się oczyma, a podczaszyna śmiejąc się wyrwała:

— Przecież nie dzikie zwierzęta! cóż się tedy nam stanie od nich? Trochę owsa wyjedzą... i piwnicę opróżnią...

— Nie byłoby to jeszcze tak wielkie nieszczęście — rzekł Filip — lecz znamy się już z nimi, że się lada czém nie ukontentują. Wprawdzieśmy na ewent wszelki co droższego sprzątnęli... zawsze jednak...

— Cóż czynić? — zapytał Wawrzyniec.

— Przecież uciekać nie macie powodu? — rzekła podczaszyna... i szydersko popatrzała na Medarda...

— Ja też mógłbym dostać kroku — rzekł Wacek nie dopuszczając do słowa Pełkę, bo my obaj z panem Medardem jesteśmy w szwedzkie passy opatrzeni... a no... Kto wie? co lepić?

— Ale to ludzie są przecież nie tak dzicy jak nasza szlachta — rzekła podczaszyna szydersko — wszyscy dobrych familij i galanci...

Panny stały blade... Zagórscy szeptali coś do siebie, wyrostka posłano. Wieczera już na stole, wstrzymaną została.

— Jak ono jest to jest — cicho się odezwał Filip — wolałbym się bez tych gości obejść w domu.

Na przekór wszystkim chmurnym twarzom, jedna pani Pocijowa zupełnie była spokojną, a nawet wesołą...

Chwila długiego oczekiwania użyta została przez gospodarzy do przychowania co kosztowniejszych sprzętów. Dawano rozkazy i rozsyłano na wszystkie strony...

Wacek i Medard nie stracili wcale fantazyi, lecz że im też nie w smak szła ta przygoda, wiadać po nich było.

Mogli się łatwo byli salwować uchodząc zaraz z Malinowej, lecz wyglądałoby to na strach, a nikomu się nie chciało za tchórza uchodzić. Podezszyna nielitościwieby szydziła...

Wyrostek wpadł drugi raz oznajmując, że konie ze stajni co lepsze uprowadzono tyłami do lasu, bo Szwedzi mieli zwyczaj je zabierać wszystkie... Medard nie śmiał się spytać o swego sułtana, lecz pewien był, że Gabryk zmiarkuje sam co ma czynić, bo chłopak był sprytny i przytomny...

Na twarzach wszystkich malowało się niespokojne oczekiwanie. Gorsza to częstokroć chwila, niżeli samo nadchodzące już niebezpieczeństwo, i człowiek rychlój w nióm sobie poradzi niż ścierpi

umysłem spokojnym groźbę złego wiszącą mu nad głową. Filip nie mogąc usiedzieć na miejscu, wstał i wyszedł do ganku, a za nim Medard i Wacek pociągnęli.

Noc była już ciemna, w przestankach wiatr się zrywał i szumiał suchemi drzew gałęzmi... z wioski dolatywało szczekanie psów zajadłe... a od gościńca słyszeć już było wykrzyki i szczęk broni, i głosy różne... Szwedzi spędziwszy gdzieś przewodników i ludzi z wozami, ciągnęli wprost na dwór... Widać ich nie było jeszcze, ale szumieli z daleka... Z odgłosu tego można było wnosić tylko, iż garść spora ciągnęła...

Pan Filip stał, węża kręcił i cmokał nie chcąc kłać głośno...

Ani on, ani brat nie śmieli przy podczasynie mówić co o Szwedach trzymali, a że się w nich niebardzo kochali, to pewna. Nie było też przykładu, żeby którykolwiek dwór od nich ocalał... zwłaszcza jeśli starszych przy oddziale nie było, coby między żołnierstwem ład i karność utrzymali...

Stali tak na wietrze w ganku milezący, gdy nastatek do bramy się dobijać poczęli Szwedzi. Wrota były z tarcic zbite, kowane, ogromne i z często-kołem do koła w biedzie za obronę służyć mogły.

Tu o tém i myśleć nie godziło się — siła złego kupa na jednego, krzyknął pan Filip wartownikowi, aby otwierał... i pluskać zaczęły konie w kałużę, która stała u wrót, a tuż trzech w pędzie dobiegło

do ganku z hałasem wielkim, jakby nastraszyć chcieli. Wyniesiono światło... postrzegli przybysze, że tam też kilku czekało spokojnie na ich przyjęcie... Aż jeden z konia zsiadając, po niemiecku począł kląć i dopytywać, coby był za dwór itp.

Medard umiejący szwargotać, wystąpił za tłumacza bardzo śmiało i rezolutnie.

— Gospodarz waćpan jesteś? spytał wchodząc w ganek starszy mężczyzna, czarny, obrosły, barczysty, brzuchaty, nieprzyjemnej twarzy i oczu kłających.

— Jestem tu gościem — rzekł Pełka — jadę za passem szwedzkim, z drugim towarzyszem od Krakowa do domu; a oto — wskazał Filipa — gospodarz...

Szwed głową kiwnął węża kręcąc, i jak stał, nie zrzucając płaszcza toczył się już do środka w zabłoconych butach, a za nim dwaj jego towarzysze, draby do niego podobne, chmurne, złe i drogą pomęczone...

W pół sieni zwrócił się starszy do Medarda.

— Powiedzcie im, żeby mi było wszystko co trzeba, a nie, to dwór z dymem puścimy... Jest nas kilkadziesiąt koni... owsa, siana, mięsa, piwa... dla ludzi chleba. Zresztą nasi o to prosić nie będą.

Rozśmiał się i w kapeluszu wkroczył do izby gościnniej. Z progu już najrzał kobiety, co go bynajmniej nie zmieszało; zdjął tylko powoli kapelusz obmokły i razem z płaszczem zrzucił go na

ławę przy drzwiach. Drudzy się téż rozdziewać zaczęli za jego przykładem i otrzęsać, poglądając z ukosa na kobiety. . . tulące się do kąta. Coś szwargotali między sobą. . . Podczaszyna mniej od innych bojaźliwa, a po niemiecku doskonale mówiąca, nie mogąc wytrzymać dłużej, odezwała się głośno :

— Zmęczeni być panowie musicie podróżą, kiedy nawet należnych kobietom względów nie zachowujecie. Czego innego mogliśmy się spodziewać po rycerstwie zwyciężkiego protektora Rzeczypospolitej...

Pierwszy z oficerów, który był wygodnie nogi wyciągnął, posłyszawszy ten głos niewieści, zdumiony nim, zdawał się z razu uszom nie wierzyć; brwi namarszczył, zwolna się począł dźwigać, jakby lepiej chcąc przysłuchać i ziewnął.

— Nie mamy czasu z kobietami się wdawać w komplementa, rzekł zimno... Jeżeliś jejmość gospodynią, myśl o jedzeniu, bo nie, to my go sami poszukamy...

To rzekłszy, rozwalił się znowu w krzesło, i śmiejąc się począł ze swymi po szwedzku szwargotać. Podczaszynie wcale się to nie podobało. Wstała z krzesła i podeszła kroków kilka...

— Przecież się waszmość przyjaciołmi naszymi zowiecie, a obchodzicie się z nami wcale nie tak jakbyście powinni...

— Dajże jejmość pokój komenderowaniu — obojętnie ozwał się starszy — to nasza rzecz co my czynimy... Jeść! każcie dawać jeść i pić!

Stuknął ostrogą o podłogę zniecierpliwiony.

— Tym sposobem sobie i królowi przyjaciół nie zrobicie! — rzekła podczaszyna.

— A nam po licha przyjaźń wasza! — gniewnie odparł Szwed — ani o nią was prosimy, ani dbamy...

Począł się śmiać znowu. Podczaszyna zarumieniona, zmieszana, ustąpiła wreszcie. Kobiety porozumiały się, że do stołu nie pójdą... Medarda prosił Filip, aby ich do jadalni prowadził. Nie bardzo było Pełce miło z gburami mieć do czynienia... ale musiał dla prędszego pozbycia się ich oznajmić, że wieczerza na stole...

Porwali się tedy nie patrząc na nikogo, nie pytając o nic, i wszyscy razem po nieprzyjacielsku wtargnęli do izby... Podobała się im snadź, ciepłej w niej bowiem było i ogień miała na kominie, chwycili więc płaszcze i kapelusze, i poczęli rozgaszczać się, ani patrząc na gospodarzy.

Sami sobie miejsca zajmwszy, kazali wołać ludzi, aby im ciężkie buty pościągali, i nie czekając aż ich kto poczęstuje, do stołu zasiedli... Izba wkrótce stała się kordegardą, bo do niej troki od koni pozanoszono, i broń, i węzłki, i siodła nawet...



Zagórscy patrzali na siebie, ale cóż mieli poczynać? W dziedzińcu sądny dzień, bo się całe pięćdziesiąt rajtaryi tu zważyło, i już z drzazgami zapalonemi chodzili jak w domu, rozpatrując się w koniach, odbijając sąsieki, smagając ludzi a domagając się czego chcieli.

Ponieważ im było działko gdzieś ugrzęzło i kilka koni w drodze stracili, zakrzętnęli się zaraz co najlepszych sobie szukać, i już cug pani podczaszynę opanowali... Próżno ludzie bronić go chcieli, cięto jednego znacznie, drugi obuszkim dostał, reszta się już nie zastawiała... pobiegli pani dać znać.

Zerwała się podczaszyna w gniewie ogromnym i wbiegła do jadalni, gdzie się jej wcale nie spodziewano, bo Szwedzi pół leżąc, pół siedząc, wczasowali sobie około mis i dzbanów.

— Mości panie — zawołała do starszego — jestem matką żony pana wojewody sieradzkiego, który z królem Gustawem trzyma. Wasi ludzie mi konie chcą zabierać... jak to być może! gwałt taki!

— Jeżeli waćpani zieć trzyma z królem — odezwał się chłodno starszy — nie powinniście wojskom naszym swoich koni skąpić... a będziecie się skarżyli, król Jmość mnie usprawiedliwi... bo mi działo ugrzęzło... a wojna się komplementami nie prowadzi...

Popatrział się na podczaszynę, wása pokręcił, uśmiechnął się...

— Ot — rzekł wyciągając ku niej nalany kubek — lepiejbyś jejmość na kolanach u mnie usiadła i wypła ze mną za zdrowie Karola Gustawa!

Nie odpowiadając na tę impertynencyę, jejmość cała zaperzona wybiegła...

Zagórscy milcząco ulegali rozkazom, nie było co począć, nie godziło się drażnić zdziczałych wojną ludzi.

Do koła domu postawiono strażę... w dziedzińcu zapalono ognie, zajęto folwark i budynki. Co dom miał wywleczone nie prosząc dla żołnierzy. Tymczasem co kto zoczył dogodnego, do kieszeni i do trok pakował... We dworze pobitych i rannych ludzi kilku już było... Śpiewami rozlegało się podwórze, bo żołnierstwo się napiło i podpiło...

Widząc, że z tymi gośćmi nie ma co po ludzku poczynać, Zagórscy cofnęli się do pierwszej izby. Medard téż i Wacek poszli z nimi. Tamci sobie gospodarząc sami byli radzi. Mruczenie wkrótce obróciło się w śmiechy... a jeden na cały głos śpiewać począł.

Po twarzach Zagórskich znać było, że ten najazd oburzał ich i do gniewu pobudzał — nie mieli jednak środka oparcia się. Siedzieli tak nie śmiejąc się do siebie odezwać... gdy podczaszyna z kartą w ręku wróciła ze swego pokoju lecąc do Szwedów. Przypomniała sobie, iż ją w list bezpieczeństwa wojewoda potajemnie opatrzył, tryumfująca więc niosła go do tego, którego kapitanem zwano.

Szwed, któremu się zdawało, iż natrętniej pozbył się kobiety, zdziwił się widząc ją wchodzącą z papierem w ręku. Był to blankiet, jakich dowódcy szwedzcy dostarczali swym adherentom; wojewoda włożył weń tylko imię swój świekry...

Papier był pod królewską pieczęcią, a podpisem Wittemberga i kancelaryi króla... Jakkolwiek obojętny Szwed, zobaczywszy papier, który wzgardliwie na stół przed nim rzuciła podczaszyna, podniósł się nieco, okiem go ciekawém przebiegł, skłonił głowę i rzekł:

— Więc cóż?

— Widzicie, że mam rozkaz, abyście mnie szanowali, zawołała. Konie mi zabrano...

— Konie zabrano! ba! mówił kapitan, waćpani je sama oddać powinnaś. Czy ja dla koni waszych mam utracić działo? To nie może być...

Rozmyślił się wszakże popatrzawszy na papier znowu.

— Jeśli inne konie dostanę, rzekł, każę wasze powrócić.

— Nie umiecie waćpanowie rozróżniać przyjaciół od nieprzyjaciół — dodała ciszej... Bierzcie konie tego młodego ichmości, który z wami po niemiecku mówił... ten z polskim królem trzyma... a ja...

Szwed się rozśmiał...

— I koniem gotów wziąć i człowieka! odparł...

Skinął tedy coś szwargocąc do drugiego towarzysza, który wyszedł zaraz i prowadząc z sobą Medarda i Wacka, powrócił. Kapitan bacznie się im przypatrzył naprzód. . .

— Pokażcie wasze passy — odezwał się. Medard miał swój na podoreczu i wyciągnął go z za sukni. . .

Szwed czytając głową zaczął chwiać.

— Wyście od Czarnieckiego, rzekł — wasza droga była do Siewierza iść z wojskiem, a nie po kraju się włóczyć i burzyć drugich przeciw nam... Co wy tu robicie?

Medard założywszy ręce, prawie mu się tłómaczyć nie chciał. . . Popatrzeni na się z Wacławem tylko. . .

— Papier mój mówi za mnie, rzekł w końcu...

Kapitan podrzucił ręką arkuś i odepchnął go na środek stołu.

— Co mi papier czasu wojny! zawołał — wyście jawni nieprzyjaciele nasi.

— Nie mylicie się — odparł Pełka, — ani możecie żądać, abyśmy was kochali. Gdybyśmy wam do waszego kraju naszli, nie inaczejbyście nas przyjęli, chyba ołowiem i żelazem. . .

Szwed coś mruzczał. Dwóch żołnierzy na zawołanie zjawiło się w progu.

Medarda i Wacława kazano zamknąć w bezpiecznym miejscu. . . Kapitan im objawił, że ich

poprowadzi z sobą. Nie było się co z nim roz-  
pierać.

Podeczaszyna z początku rozmowy zaraz wysu-  
nęła się ostrożnie. . .

Zagórscy, którzy nasłuchiwali z pierwszej izby,  
zobaczywszy co się działo, choć nie wiedzieli z czy-  
jej naprawy — pobledli z gniewu. . . Nie rozbro-  
jono wszakże obu uwięzionych, lekce ważąc sobie  
ich szable. . . Tulicha, który miał za pasem skryty  
Medard, snadź może i nie dojrzeli.

— Słuchaj Wacek — ozwał się cicho do to-  
warzysza idąc z nim Pełka. . . nie mam cale ochoty  
Szwedom się dać zabierać. . . Tałałajstwo się to  
popije i pośpi, trzeba nam o sobie myśleć.

Nie rozdzielano ich, a że Szwedom w domu  
pilnować było dogodniej, zapakowano obu do zi-  
mnej komory, w której był skład jakichś starych  
sprzętów i sepetów, zamknięto na klucz, a że dwór  
straże dokoła otaczały, nie bardzo ich już strze-  
żono. . .

Gdy się w ciemności znaleźli dwaj towarzysze,  
Medard pierwszy z czasu korzystał. . . Mieli obaj  
krzesiwa. . . suchego drzewa było podostatkiem,  
znalazła się też prochu garść, aby kłaka dobytego  
z kąta zapalić. Pełka się czynnie jął do rozświe-  
cania komórki, a Wacek ją tymczasem obmacywał,  
aby dojść, czy gdzie drugich drzwi lub okienka  
nie było. Znalazł się w istocie otwór na ogród wy-  
chodzący, zasunięty deską od wnętrza, ten jednak

był tak mały, iż się weń głowa nawet nie mieściła.

Tuż pod ścianą Szwed z samopalem chodził, lecz można było przewidzieć chwilę, gdy go sen zmorzy. Mur, choć dosyć gruby, dawał się z wolna nadłamać i wykruszyć... Pełka wziął się nie tracąc chwili do roboty, znalazłszy sztabkę żelaza i starą otłuczoną siekierę, którą sobie mógł dopomódz... Hałas w podwórzu i domu nie dozwalał skrobania w ścianie usłyszeć. A że u drzwi zamkniętych żołnierza nie było, nadbiegł pan Filip z radą i pociechą...

— Cóż waszmość robicie? zapytał przezedrzwi.

— Mur łamiemy — rzekł Wacek...

— To się na nic nie zdało — odparł Filip: wyłamcie drzwi w szafie stojącej przy ścianie, wyrzucie z niej odzież, wybijcie deski a znajdziecie gotowe wnijscie do izby czeladnej, w której nikogo nie ma i zkad ujść będzie łatwo...

Wdzięczni za tę wskazówkę, Medard i Wacek wzięli się do szafy, z którą łatwiej nierównie szło niż z murem. Szafa była stara i przebutwiała... Za nią odemknięte drzwi już czekały... Gospodarze nie chcąc być posądzonymi o ułatwienie więźniom ucieczki, starali się być na oczach Szwedom ciągle. Nie znaleźli więc nikogo, lecz płaszcze i odzież jakiej potrzebować mogli do drogi. Wacek na szczęście znał nieco lepiej dwór w Malinowej, w której Medard po raz pierwszy się znajdował. W chwili,

gdy straż odeszła dalej od okna, wyskoczyli do ogrodu, a choć szelest w krzakach mógł ich być zdradzić, hałas z podwórza dosłyszeć go nie dozwalał. Pierzchnęli więc nie ścigani przez ogrody uchodząc w pole...

Medard chciałby się był o Gabryka i konia dowiedzieć, lecz wracać do stajen zajętych przez Szwedów, nie mogli. Za ogrodem stała chata ogrodnika. Ten rozbudzony hałasem we drzwiach jej czatował, i od niego się dowiedzieli, iż nim jeszcze nadeszli Szwedzi, człowiek z końmi, z opisu do Gabryka podobny, ujechał do pobliskiego lasu, w którym była pasieka.

Dobry kawał drogi dzielił ich od tych zarośli... przebyli go jednak, dzięki ciemności nie ścigani, i dostali się na opisaną im ścieżkę wiodącą w głąb lasu... Medard i Wacek śmiejąc się już i radzi, że się z rąk Szwedów wyrwali, mieli nadzieję, że równie szczęśliwie do koni się dostaną. Nie zawiodła ich ta nadzieja...

Gabryk w istocie stał z końmi w pasiece, a miał tę bystrość i rozum, że uratował nietylko pańskiego i własnego konia z trokami, ale najlepszego z siodłowych pana Rożańskiego. Uciecha nie miała granic gdy konie zobaczyli, a Medard chciał korzystając z nocy natychmiast ruszać dalej, gdy Gabryk go zatrzymał.

— A! proszę panicza, zawołał: o trzyćwierci mili stoi oddział naszych żołnierzy daleko silniejszy

niż Szwedy... trzeba na rabusiów zapolować, to ich wszystkich zabierzemy jak w matnię.

— Zkądże ty to wiesz?

— Od pasiecznika, który tylko co ztamtąd powraca. . .

Na te słowa wyszedł i on sam potwierdzając co Gabryk mówił, iż żołnierz był kwarciany, a oddział lóźny, który właśnie na małe kupki polował... Siedli więc na konie z dobrą myślą, spiesząc do wioski wskazanej, aby jeszcze póki noc nie upłynie na Szwedów napaść. . .

Nie było drogi błędnej, dostali się więc łatwo do wioski, ale tu oprócz straży przed wsią, nie bardzo czujnych — wszystko już spało... Medard i Wacek kazali się prowadzić do porucznika dowodzącego oddziałem, budząc go wcale niegrzecznie. Wstał też klnąc ich i Szwedów, bo w nieświadomości o ich sąsiedztwie, miodu się napiwszy spoczywał szczęśliwie, a ruszać mu się z siana nie chciało. Zasłyszawszy jednak, iż Szwedzi mieli tabor znaczny i łupu dosyć z sobą, że ich była garść niewielka, a bezpiecznie rozłożona, ochota wzięła porucznika też szczęścia spróbować. Zatrąbiono na pobudkę i do koni. Zamieszanie i popłoch powstał chwilowy, upłynęło z godzinę, nim się żołnierz zebrał i na konia siadł, ale przecież ruszono o drugich kurach, i przestrzeń do przebycia nie była znaczna. . . Pierwszą jej część zwawo przebyto, w miarę zbliżania się zaś do dworu, musiano zwol-



nie kroku i przedsięwziąć ostrożności, aby straż szwedzkie pochwycić i zejść ich nieprzygotowanych.

Szcześnie się to udało od strony ogrodu, od której Szwedzi najmniej się spodziewając kogo, wcale jakoś nie pilnowali. Oddział ztąd rozchodząc się z wolna oskrzydlił dwór i opasał...

Jednego żołnierza tylko podkradłszy się Gabryk z drugim ciurą z konia tak zręcznie znieśli zakneblowawszy, iż ani pisnawszy dostał się w ich ręce... Gdy dziedziniec był otoczony, towarzysze posiadawszy z koni z pistoletami w rękach i szablami dobytymi wkroczyli nań... Żołnierz spał na obozowisku, broń stała złożona, którą najprzód opanowano... Na okrzyk jakiś zaczęli się budzić podpili Szwedzi, lecz i nieprzytomni, i nie mający już czem walczyć... Poczęła się więc walka z jednej strony na pięści, z drugiej na szable i pistolety... Strzały rozlegały się jedno po drugim... Starszyna, która się wylegała we dworze, wyskoczyła w ganek nie mając czasu chwycić na się odzieży, odstrzeliwując na oślep i nie pojmując co się stać mogło. Kapitan wrzeszczał na swoim głosem ochrypłym, gdy Medard przyskoczył doń i przykładając mu pistolet do piersi zmusił do poddania. Reszta też zmuszona była zdać się na łaskę i niełaskę... a tę już rycerstwo wiązało, choć nie wiedzieć co było z więźniami począć — i porucznik wolałby był z zabitymi niż z żywymi mieć do czynienia.

Wybiegli panowie Zagórscy także na tę wrzawę, zdziwieni nadzwyczaj, że znaleźli Medarda i Rożańskiego wśród oddziału...

Kilkanaście wozów rozmaitego łupu dostało się w ręce zwycięzców i podostatkiem koni, między którymi i zasekwestrowane pani podczaszynęj.

I ona, i panny Zagórskie drżąc czekały końca walki w izbie od ogrodu, gdy Medard wciągnął do gościnnęj kapitana...

Nieszczęśliwy dowódzca, jakkolwiek zwyciężony, niewiele postradał buty i miny... Dość obojętnie padł na krzesło... i rzekł spoglądając na Medarda:

— Miała słuszność ta otyła jejmość przestrzegać mnie, żeście nieprzyjaciele nasi; należało was zaraz roztrzelać, szkoda, żem tego nie zrobił... ale po nocy! nigdym nie zwykł...

Medard usłyszawszy to wyznanie, spojrział tylko na towarzysza... Podczaszyna stojąca podedrzwiami pochwyciła je także...

— Wiemy zatém, rzekł, komuśmy winni uwięzienie nasze — powinienem się był tego domyślić i spodziewać...

\* \* \*

Zaczynało dzień, gdy się ze Szwedami rycerstwo polskie uprzatnęło. Nieboszczyków przypędzeni ze wsi ludzie z łopatami, wykopawszy dół za

stodołami, złożyli odartych zupełnie na wiekuisty spoczynek; z żywymi nierównie trudniej było radzić. Porucznik chciał wybić do nogi, ale i Zagórscy, i Medard, i spokojniejsi towarzysze nie godzili się na to, aby odwetu nie wywoływać, o który i tak nie było trudno. Spędzono ich tymczasowo związanych do szopy, gdzie na słomie wypocząć mogli po śnie tak nagle przerwany.

Kapitan i jego towarzysze pobrani w niewolę, siedzieli w izbie zupełnie na los swój obojętni. Jeden z nich kłął po cichu, dwaj drudzy milczeli dumnie... Łatwo im było dostrzedz, że to zwycięstwo niemałego wszystkich nabawiało kłopotu. Wiedzieli oni dobrze, iż kraj cały był w rękach Gustawa, że nie miano ich gdzie odesłać i co zrobić z nimi, a za śmierć łatwa zemsta była.

Porucznik ciągle powtarzał, iż nie widział sposobu, tylko ich wybić jak pszczoły, a z miodem zabranym uchodzić.

— Ciekawym bardzo, jak sobie z nami poradzicie? odezwał się kapitan do Medarda. Musicie przecie wiedzieć, że ja tu nie sam szedłem, ale większe oddziały ciągną za mną. Za kilkanaście gościń przyjsć mogą. Zabić nas możecie, to los żołnierza, że musi ginąć, gdy nań padnie zła dola! — ale mścicieli znajdziemy... Prowadzić nas z sobą będzie trudno... daj Boże! byście sami uszli z duszami... Cóż więc będzie?

Ani porucznik, ani Medard nie odpowiedzieli mu... Postanowiono poprzywiązywać jeńców do koni i ruszać z nimi do jednego z najbliższych zameczków, których się jeszcze dosyć w okolicy trzymało. Rady innej nie było, tylko ich tam zdać dowódcom. . .

Ale trzeba się było spieszyć, i porucznik kazał do wozów zaprzęgać, a rycerstwu swemu, jak skoro spocznie, na koń siadać... aby ujść pogoni, którą jaki zbiegły Szwed mógł naprowadzić. Medard i Wacek musieli iść z oddziałem, a Zagórscy z siostrami pakowali się też do drogi, bo dwór nie był już bezpieczny. Czyniono to z rezygnacją i spokojem, bo los ówczesny szlachezca polskiego zmuszał go bardzo często do podobnych wędrówek i do powrotu na pogorzelsko. . .

Podczaszyna zbierała się też do podróży, lecz do powozu zabrakło koni. Zabrali je byli Szwedzi, a porucznik wzięwszy je w spadku po nich, nie myślał wrócić właścicielce. Lament stał się wielki, powołano obu Zagórskich, którzy wstawiali się nadaremnie... Nie było co wprzódz do wozów, a uciekać z nimi stawało się koniecznością.

Dzień co chwila robił się jaśniejszy. Z zeznań samych jeńców i obliczenia trupów okazywało się, że kilkunastu żołnierzy uszło... Oddziały szwedzkie kręciły się po okolicy, jeden z nich nadciągnąć mógł co chwila.

Podczaszyna łamała ręce w rozpacz, pilno jój bowiem było do Horbowa. . .

Przez drzwi otwarte zobaczyła Medarda, który stał zadumany, ani myśląc się mścić na kobiecie, ani chcąc korzystać z jój położenia, aby ją przebłagać. Było to niepodobieństwem. . .

Nie wiedząc co począć, podczaszyna dała znak, aby się zbliżył. Pełka zawahał się trochę, lecz, nie chcąc odmówić kobiecie, choć nienawistnej — przestąpił próg i stanął przed nią.

— Mścisz się na mnie, za to, że mi się przed Szwedem wymknęło jakieś słowo, które on sobie nie wiedzieć po jakiemu wytłomaczył... pięknież to tak? zawołała z gniewem przystępując do niego... Słyszałam, jak mnie ten przebrzydły gbur obwiniał przed wami... a waćpan...

— Nie spodziewałem się nic innego od pani podczaszyniej, rzekł Medard — wcale mnie to nie zdziwiło. . .

— I mścisz się nad kobietą? dodała.

— O żadnej zemście nie myślę — odezwał się Pełka; nie byłem mściwym nigdy. . .

Spojrzała nań, stał zimny. . .

— Ja wiem, poczęła żywo — rozumiem, waćpan kochałeś się w Jadwisi — waćpanu się zdało, że ja ją za niego wydać mogę!

— Nietylkom się kochał w pani wojewodzinie, zawołał Medard, ale kocham się w niej dzisiaj, kochać się będę całe życie, żadna inna kobieta

serca mojego nie posiędzie — jestem młody i mogę czekać na szczęście... A że się o nie dobijać będę... to pewna...

Podczaszyna rozśmiała się.

— Wierny z waćpana rycerz... rzekła... ale mu się w głowie pomieszało! Podczaszanki Pocijówny lada Pełce dostać! to! to! i to było ciężko, a dopiero wdowy po panu wojewodzie! gdyby nawet owdowiała... Naówczas inny ją los czeka... Mało dla niej będzie Lubomirskiego, mościpanie...

— Ja się też za gorszego od żadnego z Lubomirskich nie mam — rzekł Pełka...

— Ha! ha! na Gołczwi! na jednej Gołczwi siedząc.

Medard się zaczerwienił.

— Pani podczaszyna ludzi mierzysz majątnościami — rzekł.

— A toś mi dobry! przerwała śmiejąc się gniewnie — czemuż to ich mam mierzyć? a co mi wart najlepszy z nich bez pieniędzy?..

— Więc, gdybym ja miał pieniądze, majątności?.. zawołał Pełka...

— Cóż myślisz!.. miałbyś i Jadwisię pewno, jak Bóg Bogiem. Czemuż nie! czemu nie! naówczas pan Medard z Gołczwi Pełka byłby taki dobry, jak Pan Lubomirski z Wiśnicza i Potocki ze Złotego Potoku...

Spojrzeni sobie w oczy. Medard westchnął i zamyslił się... założył ręce na piersiach i stanął

wryty. To co mu powiedziała pani podczaszyna, było rzeczą bardzo prostą, bardzo jasną, a jednak dla niego zdawało się objawieniem jakiejś nowej, nieznannej prawdy, z którą oswoić się musiał. Zdawał się niedowierzać temu co mówiła. . .

Podczaszyna widząc skutek swych wyrazów, dodała :

— No — nie ma o czém rozprawiać. Wyproś mi waćpan moje konie z niewoli... rozumiesz! Tém mnie rozbroisz, a któż wie, może ci kiedy w życiu jeszcze to odwdzięczyć potrafię.

— A czegoż ja od pani żądać lub później oczekiwacbym mógł? odparł Pełka. Jadwigi mi pani nie dasz, a więcéj od niej niczym nie pragnął. Wojewodzina od pani nie zależy.

— Tak, dziś, póki ma męża — lecz myślisz, gdyby owdowiała, żebym ja nad nią dawnéj nie miała władzy?

— I o tém wątpię — rzekł obojętnie Medard; a zresztą kiedy nie mam pieniędzy. . .

Poczęła się śmiać podczaszyna. . .

— To się o nie postaraj! zawołała szydersko; przecież je ludzie robią, a niejeden chudy pacholek, który około siebie chodzić umiał, dorobił się i dostojeństw, i grosza.

Medard zamilkł.

Nadbiegli w téj chwili Zagórscy, oznajmując, że im się udało w ostatku konie u porucznika wyprosić, dając mu inne w zamianę. Wdowa por-

wała się zaraz zbierać swoje węzłki, chcąc co najrychlej uchodzić, nie spojrzała już nawet na Medarda, nie przemówiła doń słowa, a ten stał zadumany ciągle powtarzając sobie: — Trzeba tylko pieniędzy... bardzo wiele pieniędzy...

Z tego zamyślenia zbudził go Wacek, dając mu znać, że czas było na koń siadać... Zagórscy, mimo, że się te odwiedziny tak nieszczęśliwie dla nich skończyły, dość dobrej myśli obaj, także na wsiadaném, częstowali jeszcze gości, i sami z siostrami zabierali się już do drogi... Julka, Róża i Anna śmiejąc się biegały po dworze... przestрах nocny już był przeszedł, zwycięstwem cieszyli się wszyscy, choć ich ono tak drogo kosztowało.

Medard siadł na koń ani wiedząc prawie co się z nim działo; Wacek napróżno usiłował go rozweselić, jechał pogrążony i smutniejszy niż kiedykolwiek.

— Napatrzałem się już na ciebie — rzekł, gdy wyruszyli z dziedzińca — w różnych humorach i położeniach; różną miewałeś fantazyę, jak to z nami powszechnie bywa — ale takiegom cię, z pozwoleniem, osowiałego jak dziś, nie widział jeszcze...

— To prawda — odparł Pełka: przyznaję się, że też nigdy takim nie byłem — sam się sobie dziwuję, żeby jedno słowo mogło tak człowieka na wylot prześwidrować...



— Cóż za słowo u kata! rozśmiał się Wacek coś ci musiała gryzącego powiedzieć chyba podczaszyna. . .

— Nic zresztą tak osobliwego, mówił Pełka, boć to rzecz, którą pono wszyscy wiedzą od dzieciństwa i z katechizmem się jój uczą, a jam na nią był ślepy . . . dopiero mi się dziś oczy otworzyły. . .

Wacek śmiać się począł coraz mocniej.

— Objawże i mnie to *arcanum*, zawołał może i ja z niego skorzystam. . .

— Bardzo prosta rzecz — mówił Pełka. Podczaszyna mi objawiła, że gdybym pieniądze miał, miałbym być Jadwisie. . .

— Nie wiedziałeś o tém! rzekł Wacek, *simplex servus Dei!* a cóż innego w świecie panuje jeśli nie one? . . . Królów robią i obalają, wojnę prowadzą, zdobywają kraje — kupują pokój, rządzą światem. . . są one wszystko wszystkiem. . . bo za nie pono nie ma rzeczy, którójby nie dostał. . .

— Musi to tak być — odezwał się Pełka, kiedy wszyscy na jedno się godzą — a ciężko mi uwierzyć i w głowie się to nie mieści. . . Więc tylko mi pieniędzy brakło, a mógłbym być mieć Jadwisie. . .

Śmiał się okrutnie Wacek. . .

Jechali tak obok siebie — a Medard to się zamyslał, to wychodząc z zadumy, powtarzał ciągle: — Gdybym tylko miał pieniądze! gdybym miał

pieniądze, jeszczeby dziś może podczaszyna potrafiła ją odebrać wojewodzie, a mnie oddać.

— Toby było trudno, odparł Wacek; lecz mięj trochę cierpliwości, wojewoda pono niedługowieczny, bo nie kruchszego nad takiego starego gacha... Któż wie...

— Tak... ale muszę mieć wiele pieniędzy! westchnął Pełka — a zkad je wziąć? Juści djabłu duszy nie sprzedam...

— Dla Jadwisi? spytał Wacek...

Medard westchnął i zamyślił się znowu, nie odpowiedział nic.

— Dla Jadwisi, odezwał się po długim przestanku — to bo szatan téż nie dziewczyna! urok na mnie jakiś rzuciła... Dla nięj, a! gdyby stanęła przedemną... a no — nie wiem czego bym się nie dopuścił...

— Przecież mi sam opowiadałeś — rzekł Wacek trochę poważnięj, że nie wiesz czy ona ma dla ciebie sentyment jaki. Poszła śmiejąc się za wojewodę.

— Co ty chcesz, dziecko! przerwał Medard — ale ona mnie musiałaby pokochać. Zmusiłbym ją do tego mojem przywiązaniem, bałwochwalstwem! bo ty nie wiesz jak ja kocham tę dziewczynę...

— Popraw się, rzekł Wacek: Wojewodzinę...

— Ona dla mnie zawsze jest i będzie Jadwisią, co mi kokardę rzuciła z ganku w Horbowie... Taką ją w sercu noszę...

— Czasby ją było z niego wyrzucić — dodał Wacek...

— Nigdy w Świecie — mówił Pełka chłodniej; wszyscy Pełkowie bywali tacy uparci. Dziad mój lat piętnaście konkurował o żonę, i na swoim w końcu postawił... Słyszałem o stryjecznym, który do panny Horainowny, starając się o nią, dojeżdżał też lat z dziesiątek i szablą od niej innych odpędzał, tak, że w końcu pójść zań musiała... Taką już mamy naturę.

A ja — całe przeciwną, śmiejąc się mówił Wacek: ja się zawsze kocham w tej, którą widzę i na którą patrzę. W początkach mi się zdaje, że już chyba będzie miłość na życie całe — a no — patrz — odjadę, zobaczę inną i o pierwszej zapomniiałem... I z tém mi dalipan, dobrze.

Medard popatrzał na towarzysza z pewnym rodzajem politowania.

Cały dzień ciągnąć tak musieli z oddziałem, który więźniów szwedzkich prowadził do Ogrodzieńca. Po drodze już dostali języka, iż Szwedy się kupiły około zameczków w okolicy, usiłując je wszystkie zdobywać. Trzymało się ich jeszcze dosyć: Tęczyn, Ojców, Niepołomice, Piaskowa Skała Ogrodzieniec, Piła... a wieści były złe, bo wszyscy prorokowali, że skoro siłą nastąpią wielką, poddać się będą musiały...

Nie bez tego też, aby i okolice przytém srodze nie ucierpiały, co Wacka o ojca niepokoiło i do

pośpiechu zmuszało. Zatem i Medard zmienił myśl przeprowadzania go, bo niebezpieczeństwo zbliżające się o wypoczynku w gościnie myśleć nie dozwalało. Z Ogrodzieńca pożegnawszy się z miłym towarzyszem, a poprzysiągłszy mu wieczny sojusz, Wacek puścił się zaraz do ojca, Medard zaś ku domowi w Lubelskie.

Podróż naówczas była to gra niebezpieczna, w której łatwo mógł każdy życiem lub swobodą przypłacić. Medard też z Gabrykiem dobrze się musieli wywijać, aby ich na noclegu nieprzyjaciel nie przydybał, w przesmyku lub lesie nie napotkał, we dworze nie zachwycił. Gromady różne włóczyły się po kraju w imię Gustawa lub Kazimierza, zatrzymując i więząc podejrzanych. Podejrzany zaś mógł być każdy... niemiły bodaj z wejścia i miny, lub gdyby mu się konia zachciało odebrać. Obaj podróżni tej strony kraju nie znali dobrze. Gabryk jednak miał przedziwny instynkt dziecięcia wioski, umysł rozbudzony, słuch dzikiego zwierza, wzrok sięgający i rozpoznający o milę... Bez niego pewnie Medardby był sobie nie dał rady, choć i jemu nie zbywało na czujności... Ale w sercu mając co innego, trudno bardzo o sobie myśleć.

Trzeciego dnia już się byli z najniebezpieczniejszych wydobyli kątów i poczynali przybliżyć się ku znajomym okolicom. Kilka razy konie tylko ratowały, bo ich ciury jakieś goniły; raz z noclegu

zawczasu zasłyszawszy o Szwedach, uszli w ciemną noc i zbłąkali się bardzo. Gabryk tylko potrafił rozpytać nie obudzając podejrzeń, znaleźć kierunek, domyślić się drogi... O wypoczynku nie było co mówić — bo ani kąta gdzieby mogli odpocząć, ani czasu na to nie stawało. Obaj z Gabrykiem wzdychali do Gołczwi i liczyli mile, a im się bardziej ku niej zbliżali, tém się jakoś oddalać od nich zdawała.

Gdy wreszcie stanęli w Lubelskiem, już na swojej ziemi, w znanym kraju — choć i tu spokoju nie było od różnego najazdu nieprzyjacielskiego, nierównie łatwiej mogli się pokierować dniem i nocą. Pośpieszyliby téż raźniej, gdyby konie starczyły. Te były drogą tak znużone, popodbijane na grudzie, wyziębłe i wychudłe, iż żal ich było dobijać. Medard zwątpił o swoim, czy go do domu doniesie.

Naostatek zostawało już pięć mil tylko... w tym zakątku jakoś zniszczenia i zagonów szczęściem wiadać nie było. Po wioskach mieszkali ludzie, gdy gdzieindziej stały one pustkami, a włości poszły w jassyry lub w lasy; po dworach siedziała szlachta, choć jak na żarzących węglach.

Miał tu pan Medard znajomego, przyjaciela i krewnego Niemirę w Laskach Borowych... Do niego postanowił zajechać w téj nadziei, że się czegoś o matce i siostrze dowiedzieć potrafi.

Niemirę tego znano w całej Lubelszczyźnie z przydomka, które mu panowie bracia nadali, niekoniecznie przyzwoitego, ale zasłużonego może. Był to człek rycerski, podżyły, który za Władysława IV rotmistrzował i wsławił się niemal we wszystkich jego wyprawach. Na wojnie swego czasu, bohaterstwo się niemal stawił i cudów dokazywał, cały też był pocięty od nieprzyjacielskich i przyjacielskich szabel, bo na rękę wyzwany bijał się chętnie i rębacz był zawołany. Tacy zaś rębacze nigdy prawie bez blizn nie wychodzą, siekąc drugich, trzeba się nastawić. Pomimo to wszystko zwano Niemirę rotmistrzem Podwiką — a przyczyną tego była jejmość, z domu Kusbejówna, mało znanego rodu, podobno tatarskiej krwi, niemajątna, nieładna, mała, chuderlawa, która Niemirą tak władała, iż drżał na jej skinienie. W domu on nic nie znaczył prawie, jejmość gospodarowała, procesowała się, kłóciła, godziła, posyłała go, miotała nim i w dodatku często jeszcze poczciała przy gościach niemiłym jakim przydomkiem.

A nie była zresztą złą kobietą, tylko natury zgryźliwej i potrzebującej mieszać się do wszystkiego, a w domu panować wszechwładnie. Niemira był już siwy, jejmość dużo młodsza i może dla tego kochana Kasia tak nim potężnie władała. Niepokój domowy zwiększał się tém jeszcze, iż nie mając dzieci, Niemirowa nie miała się czém zająć, i musiała nieszczęśliwego rotmistrza męczyć i mustrować.

Majątek mieli dostatni, trzy wsie w najpiękniejszej ziemi, gospodarstwo i dom zapaśny, a no, we dworze pustki bywały prawie zawsze, tak się miłej Kasi obawiano. Nie szczędziła ona i innych, gdy się jej co w kim nie podobało.

Pod wieczór jakoś dojechali do Lasek Borowych, położonych w istocie na skraju znacznego boru... Z kominów obu dymiło się we dworze, co było dobrym znakiem. Medard, który razem z matką był w łaskach u rotmistrzowej, spodziewał się miłego przyjęcia. Nawykł był zresztą do trajkotania Kasi, i znosił je cierpliwie.

Gdy się do ganku zbliżyli, sam rotmistrz w barankowym kożuszk, podpasany białym ręcznikiem, wyszedł przeciw nim, a poznawszy Medarda, obie mu ręce otworzył i porwał w objęcia...

— To mi gość! zawołał — Kasia ci też będzie rada... Dobrześ uczynił, że nie zapomniałeś o nas! Ale zkadże u licha?

Pełka wypowiedział mu się w kilku słowach i poprowadzili się do izby, gdzie jejmość z kluczykami za pasem, niecierpliwie na nich czekała. Poznawszy krewniaka aż zakrzyknęła z radości, ale wnet twarz jej pochmurniała.

Medard nie dostrzegł, iż dawała znaki mężowi, który na nie odpowiedział tak, jakby zaręczał, iż to, czego żądała, było spełnione...

Posypały się pytania jedne za drugimi — szczególnie o Krakowie, o panu Czarnieckim, o królu i królowej.

Na wszystko krótko odpowiadając Pełka, oświadczył wreszcie, iż spieszył do domu do matki bardzo będąc o nią i o siostrę niespokojny, gdyż żadnej od nich nie miał wiadomości.

Niemirowa spuściła oczy i dodała żywo:

— A my też nic nie wiemy o Gołczwi — nic nie wiemy, bo to teraz trudno i o miedzę co pewnego się dowiedzieć, a tu srogich pięć mil i żadnych nie było okazji...

— Przecież w okolicy spokojnie?... zapytał Medard...

— U nas dotąd jeszcze cicho — rzekł rotmistrz, jak w tęczę patrząc na żonę, aby być jej wskazówce posłusznym — a no, w Lubelskiem różnie się nosi... różnie... Co tam koło was, my o tém nie wiemy! nic a nic nie wiemy!

— O pięć mil toć się chyba nie stać nie mogło, i wolniej oddycham, odezwał się Pełka. Témbardziej, że rotmistrz nic nie słyszał...

— Nic o niczym nie słyszałem! rzekł żywo Niemira, a Kasia sama dodała:

— Nie słyszeliśmy nic...

Zwrócili tedy znowu rozmowę na wojnę i przygody żołnierskie, a tych dosyć miał do opowiadania Medard — i swobodniejszej będąc myśli, prawił im co mu na myśl przyszło...



Słuchali go, dziwnie jakoś tę wesołość przyjmując i nie biorąc jej do serca.

Rotmistrz co się rozśmiał czasem mimowolnie, to na żonę spojrzawszy nagle uciał i twarz mu się przeciągnęła. Kasia wzdychała tylko...

Z rozmowy wypadło, iż Medard oświadczył, że do dnia wyjechać musi, na to oboje gospodarstwo zakrzyknęli, żeby ani myślał, że go nie puszcza, że musi spocząć... i t. p. Kasia nawet oświadczyła, iż konie zamknąć każe i klucze od stajni weźmie do kieszeni.

— Ona to zrobić gotowa! szepnął Niemira, gdy się jej będziesz sprzeciwiał... Daj pokój, trzeba wypocząć... tak Pan Bóg przykazał. Tembardziej, iż jutro niedziela święta, i Bogu się ten dzień należy.

Medard nie chcąc się sprzeczać, a wiedząc, że z Kasiąby sprawy nie wygrał, zamilkł. W szczególnych też u niej tego dnia był łaskach, nie połajała go ani razu, a patrzyła nań ukradkiem z takim politowaniem, jakby opowiadanie o przygotowaniach żołnierskich, szczególném ją natchnęło współczuciem...

Rotmistrz sam poszedł dojrzeć, żeby konie miały wygodę, i wróciwszy zapewnił: że obrok dostaną dobry, a słomy im kazał nasłać po brzuchy. Obok izby, w której Niemira trzymał swą ulubioną broń i gdzie czasem dostawszy gości, poił ich — była gościnną, którą zawczasu opalono, łóżko posłano,

i gdy Medard z rotmistrzem odprowadzającym go poszedł na spoczynek, zastał tu już swego Gabryka...

Siedział on przed kominem tak zamyślony, z oczami jakoś od wiatru zaczerwienionymi i napuchłymi, że w pierwszej chwili Pełka pomyślał, iż płakał, a przyczyny sobie inaczey nie umiayc wytłómaczyć, zagadnął go czy koń nie zdechł.

Gabryk zerwał się na nogi żywo i zaklął, że konie zdrowe...

— A cóż ci jest? spytał Medard...

— Nic, proszę panicza — no, nic...

— Oczy masz czerwone...

Gabryk spuścił głowę, potarł czoło... i złożył to na ogień, przy którym siedział.

Niemira chciał z nim do poduszki wypić, ale Pełka się wyprosił. Ucałowawszy go więc wyszedł...

Gdy się pan i sługa sam na sam zostali, Medard, który nie wyrzekł się myśli wyrwania z Laszek, nimby Kasia wstała... poczył się po cichu o tém z Gabrykiem naradzać. Znając go był najpewniejszy, iż mu w tém będzie pomocą. Jakież było zdziwienie Pełki, gdy chłopak najprzód milczał jakoś, a potem się odezwał, że dla koni możeby lepiej spocząć.

— Toś mi dobry! rzekł Pełka: konie lepiej kochasz niż mnie! Uszły już tyle mil, dociągną i tych pięć, a nic się im nie stanie. Ja się dosyć namęczyłem tą drogą i pilno mi przecie do matki i do Tereni...

Gabryk ciągle głowę-spuszczał, nie mówił już nic. Po chwili jednak jakby sobie przypomniał, rzekł cicho: iż sułtan zakulał.

— Cóż mu takiego?

— Podbił się — rzekł Gabryk — choćby mu jaki dzień postać na miękkim, zarazby lepiej było...

Medard chciał z latarką iść zaraz do konia, lecz światła nie było i dom już zamknięto, a klucz ode drzwi był u pani.

— To się już wszystko spiknęło — zawołał, żeby mnie zameczyć... naówczas gdy mi tak pilno...

Bądź co bądź, postanowił Pełka choćby nie tak rano wyjechać. Mszy musiał już wysłuchać w parafialnym kościółku, potem rachował, że Kasia od śniadania nie puści... a tu krótki dzień zimowy... a pięć mil po grudzie... Nie chciało mu się zbyt późno do Gołczwi przybyć...

Położył się zmitrężony tym i kwaśny, a Gabryk, któremu sienniki też w przedpokoju posłano, legł nań tak wzdychając, aż Pełka rzekł do siebie...

— Temu koń prawie jak brat drogi. Żeby też się tak gryźć szkapą! Pocziwe chłopię...

Przyszedł wreszcie sen na znużonych... lecz jak to pospolicie bywa, gdy w duszy niepokój — najtwardszy sen nawet ustąpi strapieniu. Gabryk zerwał się gdy jeszcze było ciemno i wyszedł, a Pełka zbudzony ledwie dnia doczekał, wstał także i odział się co prędzej. Pobiegnąwszy do stajni konia znalazł

zmęczonym, lecz na nogę cierpieć się nie zdawał. Jakoś mu to w nocy odeszło.

Jechać wszakże nie było sposobu, bo siodła pani rotmistrzowa w śpiżarni pozamykała... Rotmistrz nad-szedł nierychło ziewając, a że dzień był świąteczny, w nowym kożuszku i skórzanym pasie. Poszli tedy do jejmości na piwo grzane... Kolebka stała do ko-ścioła, jechali znowu na mszę. Powróciwszy kazano do obiadu nakrywać, a że proboszcz był proszony, czekano nań trochę, obiad się przeciągnął... Me-dard z przestrachem spoglądał na niebo i zegar, bo się coraz spóźniało, a pięć mil to prawie cały dzień zimowy.

Gdy od stołu wstali, konie już były przed gan-kiem, choć Gabryk niesłychanym sposobem się ocia-gał. Medard począł się żegnać, rotmistrzowa się rozplakała... Niemira go prawie z uścisku puścić nie chciał...

Tknęło to wreszcie Medarda, który do takiej czułości z ich strony nie przywykł... Już szedł do ganku, gdy Kasia poskoczyła ku niemu...

— Słuchaj — Pełka — zawołała — mężem je-steś i serce mieć powinienes mężne! Nie ma ci po co do Gołczwi jechać...

Oślupiały, niemy stanął Medard, nie mogąc rzec słowa... Rotmistrz oczy ocierał...

— Gołczwia spalona — rzekła rotmistrzowa po-woli, — matka twoja zabita, nie żyje... siostra cu-dem uratowana jest w klasztorze w Lublinie... nie

masz już powracać do kogo ani do czego, biedny sieroto! Całą tę okolicę splondrowali... popioły tylko zostały i zgliszcza.

Mówiła jeszcze Niemirowa. Medard nie zdawał się już słyszeć. Ogrom tego nieszczęścia uczynił go chwilowo jakby nieczułym i zdrętwiąłym. Patrzył przed siebie długo, potem oczy i twarz zakrył, i ryknął z bólu... Niemira przypadł go ratować... lecz jakież mógł dać ratunek? Trzeba było dać się boleści wytrawić w sobie i zwolnieć samą przez się. Żadne słowo, pieszczota, pociecha skutkować nie mogły na ten stan duszy biednego człowieka... który w jednej chwili został sierotą i żebrakiem prawie, bo mu tam ogień i ludzie nic prócz nagiej ziemi nie zostawili.

Długo tak stali wszyscy niemi dokoła biednego Medarda, który ręce łamał i dźwignąć się nie mógł. To rzucał obłąkanymi oczyma do koła, to mu słupem stawały i zamyślał się o przeszłości. Nie pytał o nic, nie miał siły posłyszeć szczegółów, nie chciał może teraz o nich wiedzieć. Gdy mu sił zabrakło, zsunął się na ławę i padł na nią, bo stać na nogach nie mógł. Rotmistrz ciągle oczy ocierając przed nim straż odprawiał razem z żoną, która płakać nie mogła, ale klęła złoczyńców i pięści ścisnęła.

Niemira zbierał się coś powiedzieć i nie mógł dobrać słów... Naostatek rzekł cicho:

— Słuchaj, chłopcze — tu łzy ani rozpacze nie pomogą — mężami jesteśmy... rany znieść nauczyć się potrzeba od młodu. Dobrze ci, że cię szczęście doma kołysało... a no, czas, abyś część swoją wziął z ludzkiej doli...

Dźwignij się... pomódl się... i trzeba myśleć o sobie.

A rotmistrzowa dodała:

— Mój Medardzie, matkęście stracili — ja wam jej nie zastąpię, ale i ja, i Niemira sercem i dłońią pomożemy ci... Nasz dom, jak swój uważaj... a czego ci zabraknie, bierz u nas jak ze swego... Ogłosili mię ludzie sekutnicą... niechaj gadają... a nie takam zła, jakby mnie zrobić chcieli.

Medard w rękę ją pocałował milcząc...

— O sobie nie myślę — rzekł — aleć trzeba dom i popielisko zobaczyć, dowiedzieć się... o losie biednej Tereni postanowić... Niech się dzieje wola boża... pojedę...

Zerwał się z ławy.

— Dokąd? po co? czego się spieszyć? poczęła rotmistrzowa... Ot! wydychaj najprzód cokolwiek nieszczęście, oprzytomniej... będzie na to czas...

— A! nie! nie, przerwał Pełka błagając — dajcie mi jechać... powrócę... ale na oczy własne zobaczyć muszę co się tam dzieje... Dajcie mi jechać... w drodze myśli rozbiję...

Nie sprzeciwiali się już Niemirowie, Kasia go pożegnała, rotmistrz odprowadził do ganku... Tu

Gabryk chmurny jak noc, zapłakany, stał z końmi. Nie mówiąc słowa, siadł na sułtana Medard, pokłonił się i popędził...

Spóźnił się jednak z tą jazdą tak, że już tego dnia pięciu mil zrobić nie mógł. W lesie, który przebywać musieli, noc zapadła... Noc była mroźna, cicha, księżycowa, smutna jak śmierć...

W niebiosach mrugające gwiazdy jedne tylko żyć się zdawały. Wszystko zresztą umarłe było, suche, stężełe, zimne... Las stanowił granicę spustoszonego kraju od ocalonej okolicy...

Na granicy jego stała karczemka nie spalona wprawdzie, lecz pusta, bo z niej nawet małe okienka uchodząc powyjmowano. Wrota i drzwi stały otworem, księżyc na wylot przeświecał... Tu trzeba się było zatrzymać, Medard czuł się złamanym... Zsiadli z koni i Gabryk wszedł opatrzeć czy przemocować choć z biedy było można.

W małej izdebce utrzymała się okiennica i drzwi... Trochę przegniłej słomy i grubego siana dało się zebrać po kątach i wyżkach... na kominie było czém palić noc całą resztkami połamanych płotów... Dla koni było kawałek żłobu, a zapaśny owies mieli w trokach... Poczęli się więc rozgospodarowywać w opuszczonej karczemce.

Na podesłanym kobierczyku Medard siadł, bo się kłaść nie mógł i nie chciał. Rozniecony ogień nieco ogrzał przewiewną izdebkę. Gabryk zasiadł

w drugim kącie — nie odzywając się do siebie, przemęczyli się tak noc całą.

Już się na dzień zbierało i chłopak poszedł do koni, gdy snadź na blask ognia zwabiony... mężczyzna w odzieży odartej z długim włosiem i brodą pokazał się w progu i pozdrowił, głośno chrześcijańskim:

— Niechże będzie pochwalony !..

Podniósł głowę Medard przyglądając mu się.

— Na wieki — odpowiedział — co wy tutaj robicie ?

Wieśniak westchnął. Błagam się, rzekł, a jest nas tu gromada po lasach... wsi popalone na okół... dużo ludu poginęło i w jassyr poszło... z dworów tylko kominy sterczą... Chleba proszę! dodał głosem drżącym...

Gabryk nadchodzący począł szukać czy co w sakwach nie zostało... Była kromka zeschła, oddał ją staremu, który cheiwie po nią sięgnął i poniósł do ust natychmiast...

— Garść surowej mąki... trocha korzonków... to cały pokarm nasz teraz... nie, każdy uratował czem żyć... wielu w lesie pomarło!

Westchnął stary... Boimy się powrócić... Któż wie, czy ta szarańcza nie naciągnie znowu?

I łązy ocierał i jęczał. Siadł w progu próbując chleba suchego, któremu zęby podołać nie mogły... Nie pytany mruczał głosem osłabłym, to milczał, jakby sam do siebie mówił.



— Trzeba było bydło pozabijać... boby i ono z głodu i my z niem pozdychali... a zimą choć się powróci, gdzie głowę przytulić?..

Pełka chciał mu dać orta... popatrział nań stary. Wolałbym chleba — rzekł — cóż ja za to kupię? gdzie? u kogo?

Gabryk dobył resztkę suchara i rzucił mu ją na rozstawione ręce... Tak go odjechali... Stary do resztek ognia grzać się poszedł.

Dzień wstał jasny i blady — ku wschodowi wzmógł się mróz tylko... Jak zajrzeć okiem, okolica była wyludniona, ani żywej duszy, ani zwierzęcia na niej dostrzedz nie było można. Przejeżdżali wsi, w których węgły czarne chat sterczały tylko nad drogą i nadpalone kościołki, i poobalane krzyże, i resztki opuszczonych dworów. Stada wron tylko podlatywały wrzeszcząc nad niemi.

Droga wiodła obok Horbowa, który też nie ocalał; murowana tylko brama i kawał dworu nieopalony sterczał pośród drzew oczernionych i zrudziałych od pożaru... I tu ludzi nie spotkali...

Ztąd dawniej wyjechawszy za lasek już Gołczwie widać było... Z bijącym sercem podjeżdżał Medard... Z wioski tylko koły i słupy, i kominów gruzy zostały... Z za wałów dwór wyglądał ze ścianami białymi i kominami bez dachu... Popalone wszystko: dom, gumna, kaplica... nawet drzewa co przy nich stały... Na widok tej pustyni, panu i słudze puściły się z oczu łzy... Gabryk szlochał jak dziec-

ko... konie, jakby rozumiały całą grozę tego widoku... zżymały się co chwila przerażone... nastawiały uszy i sapały dziko... Nie poznawały miejsc do których były nawykłe...

Przed wałem Medard zsunął się z konia i puścił go. Sułtan stanął jak wryty...

Stary dwór w Gołczwi wyglądał tak jak gospoda, w której noc spędzili.

Tu tylko ze sprzętów dawnych, drogich, których rabunek unieść nie mógł, podruzgotane reszty, dla Medarda co do nich od dzieciństwa był nawykł, co je jak relikwie po dziadach szanował — mówiły o spełnionej tragedii... W izbie gościnnej zczerniałe krwi plamy na resztach podłogi rozeznąć było można... Gdzieś tam gruzem przysypanego coś ocalało... jeszcze... Grzebiąc się po tych opalonych belkach i rozbitych murów szczątkach, przeszedł dom cały... Nie było kąta gdzieby spocząć mogli i któryby nie mówił do nich głosem o pomstę wołającym... Izba Medarda zawalona miała sklepienie i stała się nieprzystępną...

W podwórzu rozpalonych ogni głównie pogaszone, reszty słomy i barłogów oznaczały najezdników legowisko...

Weszli do kaplicy, w której grobach nawet snadź szukano ukrytych skarbów, bo drzwi od nich odwalone i wyrwane z zawias na posadzce leżały... Medard zobaczył tu wśród poruszonych z miejsca trumien starych, z których wyrzucono kości... jedną,

nową, z tarcie niezgrabnie skleconą ; postawioną pod ścianą... Serce mu powiedziało, że to była trumna matki, pobożną ręką zbita i schroniona... Nie mógł od niej oczu oderwać... Stał tak nad otwartym lochem grobowym, gdy Gabryk nadbiegł żywo. Za nim szedł spieszny krokem zdyszany stary sługa domu Dębosz...

Medard ledwie go mógł poznać, tak miał wychudłą twarz, włosy rozczochrane, a odzież w łachmanach. Chłód zmusił go kilkoro sukni wdziać na siebie, poobwiązywać się chustami... szedł i chwiał się na nogach, podpierając kijem, łapiąc za ściany...

Przywłókł się tak do Medarda i w jęku serdecznym padłszy u nóg jego... przytomność utracił. Widok dziecka, matkę mu przypomniał...

Gabryk z Pełką musieli go podnieść, ocucić i nie wiedzieli gdzie z nim iść, gdy Dębosz niewyraźnym głosem począł im wskazywać piwnice pod dworem. W jednej to z nich ocalił był życie w czasie pożogi i rzezi...

Nie dopatrzyli jój napastnicy... a gdy odeszli, nierychło Dębosz się wydobyć potrafił. On to znalazł zwłoki zabitej pani i sklecił dla nich tę ubogą trumnę, którą sam spuścił do sklepu... Żyjąc okruciami, które z pod węgla i popiołów dobywał, resztkami ocalonemi po kątach... przekarmił się

tak aż do przybycia Medarda... Prócz niego nie było nikogo. Kto nie zginął w miejscu, uszedł w lasy. Napaść była tak nagła, iż ze wsi niewielu się ocalić potrafiło...

Wszyscy razem weszli do loszku Dębosza i siedli płakać nad swoją niedolą, na którą ratunku nie było. Okoliczne wsi i miasteczka na kilka mil w koło temuż uległy losowi. Gdzie bliższe były bory, tam ludność się łatwiej zbiegając do nich, od niewoli wybawiła... Kopano doły w dalekich odstępach, ryto podziemia, stawiano szałas, lękając się jeszcze powracać na zgorzeliska...

Siedzieli tak dzień i noc, i dzień jeszcze, nie mogąc oderwać od ruiny... żywiąc tém co Dębosz im mógł wyszukać. Przemysł starego czowieka ratował ich od głodu... Pozostać dłużej jednak nie było podobna... zaradzić nie miał sposobu Pełka... Podobniejszy do zmartwychwstałego trupa niż do żywego człowieka, wyszedł trzeciego dnia z lochu Medard do wychudłego konia, któremu szałas z gałęzi poobcinanych świerków Gabryk był zbudował. I pan i koń cieniami byli tych, co niedawno ztąd pełni nadziei i siły z uśmiechem w świat się puszczali...

Medard dał rękę Dęboszowi...

— Rób co możesz — co chcesz... co ci Bóg dozwoli!.. mnie tu nie siedzieć!..

I siadł znowu na sułtana, wolnym krokiem przez kupy węgla wyjeżdżając za wały... Spojrzał do koła... puścił koniowi cugle...

— Idź gdzie oczy poniosą!

\* \* \*

Jedenaście lat upłynęło od czasu, gdyśmy JM. pana Medarda Pełkę widzieli wyruszającego z gruzowisk i popiołów dworu w Gołczwi w świat szeroki, puściwszy cugle koniowi, — jedenaście z górą lat... kawał wieku ludzkiego... Miały czas odbudować się popalone sioła i dwory, powrócili ludzie, — ożywiły pustynie, ale Pełki w Gołczwi nie było i nikt nawet nie wiedział co się z nim stało, nikt o nim nie słyszał.

Utrzymywano powszechnie, że z wielkiego smutku i rozpacz po matce puścił się gdzieś ochotnikiem walczyć i w potyczce zginąć musiał. Z Gołczwi bowiem gdy wyruszył, widziano go jeszcze w Lublinie, dokąd jechał siostrę odwiedzić, i przebył tam dni kilka z nią, lecz panna Teresa powtarzając rozmowę jaką z nim miała przy rozstaniu, bo ją bardzo dobrze zapamiętała, ręczyła, iż sam naówczas dobrze nie wiedział jeszcze co z sobą pocnie. Spodziewali się go Niemirowie w Laskach bardzo długo, a napróżno, gdyż ani tam, ani gdziekolwiekindziej u znajomych się nie pokazał.

Nie było człowieka, któryby go nie żałował i nie wspominał, bo wszyscy się po nim spodziewali wiele, i widzieli w nim nad wiek młody wytrwałość a statek osobliwy. I nie było też w okolicy zebrania, żeby o nim nie mówiono, a choć wiele upłynęło lat, w pamięci go tak żywej zachowano, jakby się dopiero wczoraj oddalił.

Domysły i mowy były tak różne a tak sprzeczne, iż ich i powtarzać nie warto. Dziwiło to najbardziej, że od owego wyjazdu z Lublina, nigdzie po nim śladu nie było, nie spotkał go nikt w żywe oczy... a co prawiono, to zawsze gdzieś z trzecich, czwartych ust pochwycone, i świadka coby go widział, coby z nim mówił, nikt postawić nie mógł.

A że wyjechał we dwóch z Gabrykiem, zdawało się i to dziwném, by pan razem ze służą tak przepadł. Nie było w tém niepodobieństwa, przecież rzecz niezwykajna, aby i zwłok nawet nikt ze znajomych nie napatrzył, i wieści, i jakiejś resztki rzeczy które miał z sobą, nie znaleziono. Wprawdzie wśród tych wojen za nieszczęśliwego panowania Kazimierzowego, było gdzie przepaść bez śladu, a naginęło ludzi mnóstwo, mało kto jednak zagubił się tak, aby rodzina o losie jego nie wiedziała.

Niemirowie też dowiadawali się pilno, posyłali ludzi, i po dwóch leciech, gdy języka żadnego nie było, przypomnieli sobie Teresię, aby jój wiednąć nie dać w klasztorze. Dał do tego powód starszy

Laskowski, któremu panny żal było, ba! i wioski bezpańskiej, bo ta choć się już trochę sama przez się i przez Dębosza znowu okrzątnęła i powracającymi zaludniła... podupadła była znacznie.

Laskowski wiedząc, że Niemirowie byli z Pełkami w pokrewieństwie, pojechał do nich, nie kryjąc się z tém, iżby pannę rad sobie zaswatał, gdyby mu do tego chcieli dopomódz. Pojechała rotmistrzowa do Lublina chętnie pannę wybadać, a że w niej dosyć skłonności ku Laskowskiemu, o którym wspomniała, znalazła, wzięła ją zaraz do siebie. Tu się tedy Laskowski oświadczył. Chciała panna Teresa odkładać gody do powrotu brata, lecz gdy lat dwa się nie zgłaszał, trudno z nim było czekać w niepewności starzejąc.

Namówiono ją przecież, iż rękę oddała Laskowskiemu, a wyprawę i wesele sprawili bardzo huczne, rotmistrzostwo... W Gołczwi już wprzód jeden węgieł starego domu pokryto i staraniem Dębosza jako tako wyporządzono. Przenieśli się tedy Laskowscy do niej, bo tu było co robić, aby wynijść z ruiny, i grosza niemało włożyć musiał mąż pani Teresy. Nie myśleli oni Gołczwi sobie przywłaszczać, gdyby dał Bóg, a pan Medard z jassyru lub wędrówki powrócił, lecz tymczasem coś czynić i pilnować musieli, aby reszta nie przepadła.

Siostra która do brata była przywiązana bardzo, słała nieustannie na zwiady po wszystkich stronach, czyby gdzie nie powzięła wiadomości o nim; — po-

magał jój Laskowski téż, bo mu było markotno pracować nie wiedząc dla kogo, a dwoje dzieci im Pan Bóg dał. Musieli jednak oboje pozostać w téj niepewności, gdyż o Medardzie słyhu jak nie było tak nie było.

Laskowski był tego przekonania, iż powrócić nigdy nie może, bo przez jedenaście lat, choćby z tureckiej czy tatarskiej, czy jakiegokolwiek niewoli, dałby znać o sobie jak i drudzy, o okup się zgłaszając, a siostra utrzymywała zawsze, iż go we snach żywym widzi, i że ma to przecucie, że jego powrotu dożyje. Ani się jój sprzeciwiać śmiano, zostawiając tę pociechę, by się nadzieją łudziła.

Z każdym dniem zmniejszało się podobieństwo wszelkie widzenia ostatniego z tych Pełków na Gołczwi; zdawało się, że z nim rodzina wygaśnie. Wieś tymczasem znowu się zaludniła i nowymi przybyszami z rozbiegłych naówczas włością zasiedliła, bo w gruntach była dobrych, a Laskowski choć z gospodarstwa słynał, dla ludzi był sprawiedliwym i dobrym.

Dwór powoli do dawnego przyszedł kształtu, i porządku, mury wyreperowano, a że Laskwska chciała mieć wszystko jak za matki, więc nie poznać było prawie przez co przeszedł przed laty. Pokryto téż i odnowiono kaplicę, przyczém nieboszczce pani wojskiej uroczysty pogrzeb sprawili Laskowcy. Słowem, gdyby teraz był mógł Medard



nadjechać, rozradowałaoby mu się serce, widząc jak tu wszystko odżyło i krzewiło się po staremu.

Byłby też może do Horbowa rad zawitał, bo tam właśnie gościła razem z podczaszyną młoda wdowa po panu wojewodzie, niegdyś jego ukochana Jadwisia...

Od lat dwóch już zrzuciła była żałobę, w której nie mniej się piękną wydawała, niż teraz w wytwornych strojach, które zawsze lubiła.

Miała lat ledwie dwadzieścia kilka, a na wdzięku nietylko nie straciła, lecz wszyscy znajdowali, że jój go jeszcze przybyło. Z nieboszczykiem wojewodą pożycie było nieszczęśliwe, choć jójmość w dostatkach opływała. Nie zbywało jój na niczém prócz swobody, którą nadewszystko lubiła. Stary mąż, udając młodego, jak starzec jednak był zazdrosny... nie odstępował jój na krok, śledził każde wejrzenie, uśmiech, słowo, i męczył ukochaną Jadwisię tak, że gdyby był nie umarł sam, onaby może dłużej z nim nie wyżyła... Pomimo tój męki wojewodzina była najjaśniejszą gwiazdą na całą Rzeczpospolitą, piękniejszej nad nią nie znano. Humor jój też i fantazyja, choś przytępione za życia męża, wróciły gdy swobodniej odetchnąć mogła. Zazdrość nieboszczyka zachowała ją takim dzieckiem naiwném i niedoświadczoném, tak sobie niewinnie płochém, jakim była w Horbowie.

Nie mając innego zajęcia, Jadwisia zatapiała się po całych dniach w czytaniu ówczesnych ro-

mansów, których już było podostatkiem; a że one malowały świat i ludzi niebywałych, w młodej jej główce ludzie i świat przedstawiali się nie tak jak wyglądali w istocie, lecz jak w pismatach i roman-sach stworzyła je fantazya wieku.

I często na myśl przychodził jej ów piękny Me-dard, ów pierwszy rycerz, któremu z tak ochoczym sercem rzuciła niebieską kokardę. Co też się z nim stało? myślała sobie po cichu.

Na to nikt jej odpowiedzieć nie umiał. Żal go było trochę... lecz tyle oczu się do niej śmiało, tyle dworskich panów i książąt cudzoziemskich padało przed nią, takim ją otaczano bałwochwalstwem, że Medard w końcu wyszedł jej całkiem z pamięci.

Choć mąż zazdrosny nie dopuszczał jej bardzo znęcać się nad wielbicielami, z samych nudów musiała się rozrywać, zapalając miłości wielkie i ciesząc się, gdy od nich ludzie w oczach jej gorzeli.

Cały już regestr miała tych niemych kochan-ków, którymi się bawiła, ale się nimi nawet pochwalić nie śmiała.

Był to wiek galanteryi w Europie i panowania kobiet, a u nas choć one mniej może dokazywały, czuły dobrze siłę swą, i choć ukradkiem próbo-wały jej dla zabawy.

Podczaszyna byłaby nieszczęśliwą córkę trzy-maną w takiej niewoli chętnie zabawiła i dopomo-gła jej do rozrywki, którą lubiła sama, lecz wo-

jewoda znając pewne niebezpieczeństwo, niebardzo ją zapraszał, a od żony o ile umiał, trzymał z daleka. Byli też z sobą nie najlepiej, bo matka stała po stronie córki, a stary mąż od swego systemu nie odstępował i pilnował jej zazdrośnie. Trochę poprawiwszy swe interesa po wydaniu córki, podczaszyna miała się za mąż wydać, i nie byłoby jej pewnie na konkurentach zbywało, ale co przyszło z frymarku, to poszło z wojną i jej klęskami. Horbów był zupełnie zniszczony. Podczaszyna poniosła straty ogromne, trzeba było odbudowywać się i zagospodarowywać na nowo. Ludzi też brakło bo ich wojna rozproszyła, a potem choć ten i ów umizgać się przyjechał, choć zdawało się kilkakroć zbierać na wdowie wesele, zawsze coś stanęło na przeszkodzie i podczaszyna bawiąc się ciągle do ołtarza z nikim dojść nie mogła. Na pół drogi uciekali zalotnicy.

Nie traciła wszakże nadziei, bo wdzięki zachować umiała i wyglądała świeżo, i wesoło się zabawić umiała, i z ochotą poszła w taniec... a Horbów się znowu z pańska odbudował, i dwór zebrał, i dostatku skrzętność przymnożyła.

Radaby była posiedzieć przy córce, ale z wojewodą długo się nigdy pogodzić nie mogli. Gdy mu świekra dojadła, pozbywał się jej zręcznie, każąc konie zaprzęgać dla siebie i w pilnych sprawach uciekając razem z żoną, naówczas i podczaszyna rada nierada powracała do Horbowa.

Tak się to ciągnęło... Najmniej bolała nad tém podczaszyna, że wnuczka nie doczekała, choć wojewoda zawsze się go napróżno spodziewał. Na zdrowiu podupadając coraz bardziej, ale starając się wyglądać zawsze na młodzieńca, poszedł wojewoda w ręce lekarzy szarlatanów, którzy go tak odmładzającymi lekami nakarmili, że zamiast młodości, śmierci się doczekał.

Na pierwszą wiadomość o owdowieniu córki, nie kryjąc swęj radości z tego wypadku, podczaszyna dniem i nocą pobiegła do nięj, aby natychmiast opanować ją znowu i pod swą władzę zagarnąć. Udało się to jak najpomyślniej, Jadwisia była przerażona i znękana chorobą męża, który w jęj oczach zasłabwszy zmienił się nagle w odrażającego starca, i w strasznych skończył męczarniach. Rzuciła się w objęcia matki szlochając, i na wezwanie jęj, by razem jechała do Horbowa, przystała z wdzięcznością.

Podczaszyna pilno się wywiedziała o stanie interesów zmarłego, nie zaniebdała nic, co mogło córki los zapewnić, i pochwywszy ją, zniosła do siebie; niepłonną miała nadzieję, że teraz tę rozwiniętą różę jeszcze lepiej niż pączek potrafi przefrymarczyć, bo była w złoto oprawna i przedziwnęj piękności.

Jadwisia z razu oplakująca wiąćej to co ucierpiała, niż męża, którego utraciła — prędko bardzo przysła do siebie. Nosiła jeszcze żałobę po nim,

gdy jój wesołość wróciła i dziecięce szczebiotanie, i dawne życia pragnienie. Horbów mimowolnie przypomniał jój Medarda. Co się też z nim stało? nikt jój powiedzieć nie umiał. Gołczwia należała do Laskowskich, a o jój dziędzie, który gdzieś wyszedł na wojnę, od dawna wieści nie było.

Na wieś o owdowieniu pięknej, młodziutkiej wojewodziny, której mąż cale znaczne dobra zostawiał... nie czekając roku i sześciu niedziel żałoby, zbiegli się wszyscy, których niegdyś bystremi oczkami oczarowała. Jadwisia była im rada, ale troskliwa matka, choćby dla tego, że dobrami zarządzała, nie zbyt im ją za mąż wydać spieszyła.

— Wymęczyłaś się dosyć z tym starym nudziarzem, mówiła jój — trzeba wypocząć i rozpatrzeć się dobrze, i wybrać sobie, i do gustu, i do rozumu! Nie masz się tak czego śpieszyć... niech ichności trochę potańcują!

Jadwisi też nie był pilno — bawiły ją konkury, zaloty, ukłony i czołobitności, a im większe zjeżdżały się gromady konkurentów, tém dumniej im królowała. Horbów stał się celem podróży z najdalszych Rzeczypospolitej krańców.

Młoda wdówka tyle miała czasu głów pozawracać, że jój teraz adoratorowie jak na odpust pobożni płynęli pielgrzymi, a było ich podostatkiem wszelkiego wieku, stanu i urody... Młodzi ufali w swą piękność i rażność, starzy w majątki, pa-

nowie w tytuły, a niektórzy w złudny uśmieszek, jakim ich niegdyś obdarzyła z nudów królowa.

Starzy naprzód dostali wszyscy odprawę, spróbowawszy życia z jednym, wojewodzina drugi raz nie chciała się już poświęcić, choćby dla najpiękniejszego imienia i bogactw bez liku. Z młodymi było wesoło, nie myślała ich rozpędzać, dając jednemu pierwszeństwo.

Obie z matką śmiały się razem z ich zalotów i nadziei, obie układały komedye, jakie grać z nimi chciały — i role się dobrze godziły w zdaniach i smaku... Nie zbywało na niczem, co je uprzyjemnić mogło; samotności nie znały, do stolicy jeździły gdy chciały, zapraszano je wszędzie, rad im był każdy, — niosły z sobą wesele, trzpiotalstwo, tany i śpiewy... czegoż więc było potrzeba?

Matka zresztą surowa w tym względzie więcej przez rachubę niż z zasady, nie dopuszczała nigdy poufałości zbytnej i miała dziecko na oku, a Jadwisia trzpiotać się lubiąc, nigdy człowieka ani uczucia nie brała do serca. Bawiło ją to niewymownie, gdy nowy przybywał... strzelała doń zaraz na próbę i patrzyła czy trafiła.

— E! matuniu! wołała — już coś mu oczki się mrużą, usta mu się śmieją, już kreci się, gdy nań patrzę, nie wiedząc co począć z sobą... A! jaki śmieszny! Jutro go dobiję.

Przychodziła jutro z nowym strojem, i uśmieszkiem, i słowem. Przybyły stawał się celem naj-

troskliwszych zabiegów, biedne człeczysko wpadało w sidła... a wieczorem baby się śmiały do rozpuku.

— E! matuniu! już go mamy! mówić nie może, jąka się, on co tak oracye prawił, ręce składa... modli się oczyma, wzdycha, ale poczekaj, to nie koniec!

I znowu wojewodzina zmieniała taktykę, była wesoła jak dziecko, smutna jak ofiara, poważna jak matrona, niezrozumiała jak zagadka nęcąca, a zakochany tracił głowę.

— E! matuniu! przepadł człowiek! wróci do domu bez głowy! to pociecha! mało nie ukląkł przedemną. Dałam mu umyślnie rękę do pocałowania, drżały mu dłonie, usta drżały, a jak przyłgnął mi do palców, myślałam, że je połknie... Trzeba go jutro dobić...

Jakoż dobijała nieboraka wojewodzina, a gdy leżał u nóg jej niewolnikiem, dopiero wybuchała radością wielką... i w oczy mu się już śmiała, a ofiara szalała z utrapienia i niepokoju...

Jadwisia nie czyniła tego ze złego serca — ona sama nie kochając nigdy, była pewna, że to upojenie i u jej wielbicieli krótko trwać musiało, a nie bolało ich bardzo. Dla niej to było zabawką doskonałą, do której była stworzona. Cóż zresztą robiłaby na świecie?

Jej podobali się zarówno wszyscy piękni, zalotni, wymowni mężczyźni, każdy miał swój dzień szczę-

śliwy, lecz żeby do którego szczególniej przywiązać się miała, o tém się jej nigdy nie śniło...

W dalekich mgłach przyszłości wprawdzie za-mążpójście przesuwały się jak widmo straszne, konieczne, które kiedyś musiało, by jej odebrać swobodę... lecz czyż tak prędko? Wspomnienie pierwszego męża straszło drugim. A nużby i ów miał się stać tak nudnym zazdrośnikiem i świat przed nią znowu zatrzasnąć!

Wśród tych zabaw i osnuwanych na przyszłość planów, zaszedł wypadek, który nieco szyki podczaszynie i wojewodzinie pomieszał.

Pan starosta, syn z pierwszego małżeństwa nieboszczyka wojewody, który się był ożenił i spokojnie siedział na wypuszczonych mu dobrach, za życia ojca prawie się nie pokazując w jego domu, po zgonie jego, gdy wdowa obejmowała na siebie dobra jej przekazane, boleć zaczął nad ich utratą, nad wyjściem z imienia...

Żona i rodzice dopomagali mu w tém; znaleźli się usłużni doradcy, którzy obrachowali, że młoda wdowa rady sobie sama dać nie potrafi, procesu się ułęknie, a zresztą powynajdowali różne prawne pobudki, dozwalające się starości opponować spokojnemu posiadaniu majątności.

Złożono sanhedryn jurystów lubelskich, najszczęwniejszych lisów, znających wszystkie ścieszki bałamutne statutów, korektur pruskich, praw odwiecznych i prejudykatów... Dowiedziono starości,



że mógł spokojnie pozywać i spodziewać się wygranej, jeżeli chodzić będzie umiał około sprawy.

Ale trafili nie spodziewając się na kutą babę, bo podczaszyna po śmierci męża będąc zmuszona prawować się ze spadkobiercami, namiętnie się wyuczyła wszystkich ustaw i form procesu, i nie łatwo ją było zjeść w kaszy. Zapalała się do pie-niactwa jak gracz, i nie ułękła się wcale groźby. W chwili gdy wojewoda czynił zapisy, dopilnowała się dobrze, aby w nich nic nie brakło, cokolwiek ubezpieczyć mogło los córki, wniesiono zaraz akt do ksiąg najbliższych, a później do właściwego grodu. Zaczepka starosty była jawnie najniesprawiedliwsza, lecz miał za sobą opinię powszechną, która się oburzała za ten frymark ojcowizną na rzecz obcych.

Zapisy były prawne chociaż wstrętne. Syn miał za sobą wszystkich, macocha nikogo. Przepisywano całą robotę podczaszynie, a téj nie cierpiano za jój intrygi i szacherstwa.

Chętnie więc wszyscy dopomagali starości, a wojewodzina z trudnością, za wielkie pieniądze znaleźć mogła obrońcę. Proces się rozpoczął. Zatrudził on wesołe dni w Horbowie, lecz dał podczaszynie zajęcie, któremu cała się poświęciła, siedząc w papierach dni i noce. Pomimo sympatyi powszechnój, starosta nie wiele mógł rachować na wygraną. Choć w trybunałach wszystko się działo wpływami i protekcyą, jawnego i krzy-

czącego bezprawia nigdy popełnić nie śmiano. Można było do nieskończoności trapić procesem, lecz ostatecznie coś nim zdobyć zdawało się niepodobieństwem.

Wiedział to i starosta, którego proces kosztował wiele, a wynagrodzić się rychło nie obiecywał. Szepnęli mu prawnicy, aby pod groźbą pieniactwa starał się o układy i zgodę; lecz trzeba było tak się wziąć zrećcznie do tego, ażeby podczaszyna nie domyśliła się, że nieprzyjaciel sobie nie ufał. Złożono to na prawników, którzy mieli pierwsi rzucić słówko pojednawcze niby z własnego natchnienia. Niełatwo było podejrzliwą panią Pocijową zwieść, jednakże z razu nie domyśliła się prawdy, a że jej proces był dla rozgłosu niemiły, bo na nią zrzucano całą frymarku tego ohydę — choć się nie spieszyła do zgody, nie okazała się jej przeciwną. Zaczęto wyrozumiewać, do jakichby ustępstw była skłonna. Szły bardzo powoli układy niby przez osoby trzecie prowadzone, ale się ciągnęły. Tymczasem starościńscy juryści znaleźli jakiś kruczek, to im dopomogło do natarcia na stronę przeciwną. Żądano dla pana starosty niemal połowy dóbr zapisanych przez jego ojca młodéj żonie. Podczaszyna oddawała część trzecią. Gdy przyszło wreszcie do porozumienia, kobieta jakkolwiek ostrożna, dała się tak uwić, iż choć na pozór więcej nad to nie ustąpiła, w istocie pozostałym majątnościom córki odjąć dopuściła znacznieszą część ich wartości. Ugoda stanęła,

i dopiero po prawném jęj zawarciu matce otwarły się oczy, iż córkę pokrzywdzić dozwoliła wielce, i niemal ją zubożyła. Zabrano najlepszą ziemię, lasy i dobra czyste, gdy pozostała część obciążona była legatami. Podczaszyna darować sobie tego nie mogła, zgryzło ją to, odchorowała, ale zrzucić się nie było podobna, i wojewodzina nie miała już tak pięknego wyposażenia ani takich dostatków, na jakie liczone. Podczaszyna w oczach ludzi przynajmniej starała się ukryć swój błąd i stratę, tała się z tém jak mogła, życie prowadziła wystawniejsze jeszcze, a na wdziękach wojewodzinęj i rozgłosie o jęj bogactwach budowała przyszłość.

Chociaż jakiś czas trzymała się Szwedów i jawnie okazywała niechęć dla króla i królowej, później wszakże umiała się z tego wytłómaczyć zrzęcznie, wsunąć znowu do dworu i razem z córką odzyskać położenie w wyższym świecie stolicy.

Pędziła więc na przemiany wesołe godziny to w Warszawie, to w Horbowie, dokąd zawsze natłok był wielki zwabionych gościnnością domu i wdziękami pań obu.

Właśnie Horbów był pełen przyjezdnych gości i jednego wieczoru zabawiano się jak zwykle, gdy z Warszawy nadjechał niejaki pan Godziemba, tytułowany łowczym chełmskim, dawny amant i aspirant do podczaszynęj, stary podszpakowaciały kawaler, człek zawsze dobrej myśli, bywalec, bo zjeździł niegdyś Francję, Niemcy, Włochy, Flandryą,

i temu był winien, że mocno ojcowiznę zadłużył. Godziemba niezrażony tém, iż go podczaszyna kilka razy z grochowym wiankiem odprawiała, jeździł do niej zawsze, wzdychał, śpiewał, ręce całował, z kielichami przed nią klękał, miał nawet dosyć łaski i poufałości, ale mu pani Pocijowa mówiła otwarcie:

— Zlitujże się człowiecze, a tobym oszalała chyba, gdybym za ciebie poszła! Piękna mi rzecz: podczaszostwo koronne na twoje łowiectwo ziemiańskie zamienić, i siaść z waszcią kury hodować na folwarczku, któryby mi na konfekty nie stał!...

Godziemba się śmiał, affekt stawiać po nad wszystko, jejmość mu śmiejąc się dowodziła, iż affektem żyć nie można. Nie poważnili się z sobą jednak nigdy, i w Horbowie dobrze bywał widziany. Z nowinkami zawsze przyjeżdżał, często skrzyпки przywoził, piękne podarki czynił, a gdy zamieszkał czasem u podczaszyny, miesiącami się go pozbyć nie mogła.

Choć pięć krzyżyków skończył, Godziemba był jeszcze bardzo przystojnym mężczyzną, trzymał się prosto, a gdy szedł to się umiał wyginać jakby w tańcu, dodając sobie prezencyi. Twarz téż miał dobrze zakonserwowaną i nieszpetną, i kłął się, że gdyby tylko chciał, i młodą i posażną wdówkę zapałby dawno, ale mu podczaszyna głęboko w sercu siedziała.

Gdy się Godziemba pokazał, a było ludzi dosyć z sąsiedztwa i ze stron dalszych, powitali go wszyscy

jak człeka, co wesołość przynosi. Jedyny bo był do rozbawienia ludzi i rozochocenia.

Wnet go obrzucono pytaniami, gdy się dowiedziano, że z Warszawy jechał.

Rozchodziły się już głuche wieści, iż śmiercią królowej i troskami panowania nieszczęśliwego przybity król chciał złożyć koronę. Szlachta to różnie przyjmowała: nie dowierzając jedni, frymarku lękając się drudzy, inni oburzając się na to, aby obelgę taką tronowi i królestwu uczynił, a dobrowolnie się zrzekał tego, o co drudzy gdzieindziej się dobijają. Trzymana do sejmu w tajemnicy owo postanowienie królewskie, lecz już o niem wielu wiedziało, już się nawet powoli tworzyły stronnictwa, z których jedno Piasta chciały, drugie Kondeusza, inne różnych małych a nieznanych książąt wyciągały. Wszystkim dosyć naprzykrzyło się panowanie tego, którego zwano naówczas Kazi-pokojem, a i królowa nieboszczka mimo wielkich swych zasług i rozumu, lubiona nie była.

Najbardziej jej owego Francuza, którego na tron sadzić chciała zawczasu, wyrzucano. Rzucono się więc do Godziemby, aby im prawil co było słychać w stolicy.

— Nic nie wiem — odparł łowczy — krom tego jednego, iż noszą się wieści o abdykacyi, ale panowie senatorowie klęskę tę od Rzeczypospolitej usiłują odwrócić. A że król niestały w postanowieniach, wymodlą pewnie, iż się nam dłużej zostać raczy...

Tandem, czy ów, czy kto inny... (machnął ręką) mała różnica! Gorszego mieć nie będziemy, lepszego się nie spodziewajmy, a co Bóg da przyjmiejmy...

Ten i ów pytał o znajomych, Godziemba się odcinał, lecz że podczaszynéj dawno nie widział, a rozkochany był w niéj jak młokos, uczepił się do niéj z komplementami, i gdy odeń uchodzić zaczęła, pogonił do gabinetu.

— Nie bez zamiaru tu wchodzę, odezwał się do wypędzającej go chustką podczaszynéj: nie gniewaj się asińdzka na mnie. Coś ciekawego niosę.

— Już nie wiem istotnie — przerwała podczaszyna — czy po tylu latach ja co od was nowego posłyszę, oprócz tych nudnych zaklęć, z których się śmiać muszę, bo już nareszcie i przytęchły.

— Nie o mnie tu idzie — odparł Godziemba — rzecz ekstra-ciekawa, i zda mi się, że ją obchodzić będzie. Oto zjawił się w Warszawie, apparacya niespodziana i dziwna, ów JMPan Medard z Gołczwi Pełka, sąsiad waćpani i dawny pono amant wojewodzinéj, po długich latach niebytności.

— A toś mi dopiero z nowiną ciekawą wystąpił! śmiejąc się poczęła podczaszyna; nie uciesze się tém wcale, bo tego człowieka nienawidzę... Lecz zkądże wraca po dziesięciu leciech?

— W tém sęk, że tajemnicą jest gdzie był, co robił... jeno to wiedzą ludzie najpewniéj, iż jak znikł o jednym pono koniu i giermku, tak powrócił wiel-

kim panem, o którego skarbach ogromnych prawią cudowiska...

Podczaszyna w ręce uderzyła.

— Czyż to może być?

— Powszechna fama to głosi, mówił Godziemba, lecz toby nic nie znaczyło... Co lepiej daleko, znać pana po cholewach... dwór książęcy, konie, wozy, służba, dworzanie, klejnoty, rzędy od pereł i drogich kamieni, czapraki i dywdyki złotem kapiące, szable dyamentami sadzone... konie tureckie i hiszpańskie... Słowem występuje tak, że się ludzie nań patrzeć zbiegają.

Podczaszyna słuchała z widoczném zajęciem, ale w twarzy jęj widać téż było rozbudzony jakby gniew i niechęć. Zacięła usta, zacisnęła ręce, uderzyła nóżką w podłogę i zmarszczyła brwi.

— Co waćpan pleciesz, panie łowczy? co pleciesz? Cóż to my dzieci jesteśmy, byśmy bajkom ladajakim wierzyli? Zkąd? Co? Po latach dziesięciu i gdy go za umarłego miano, gdy do rodzonej siostry się nie zgłaszał nawet, znaku życia nie dał, nagle... a gdzież był? Zkąd to wszystko wziął?

Godziemba poważnie rozpowiadać zaczął.

— Podczaszyno! królowo serca mojego! rzekł: nie kłamię nigdy. Nie mam tego i nie miałem w obyczaju i temperamentie. Niezdrowa rzecz fałsz, bo go człek zawsze połykać musi. Nigdy nie kłamię, podczaszyno... Świadkami Warszawa cała, że ów Pełka powrócił, i jak, i z czém... ale w tém

téż właśnie *cosa stupenda*, że ani on nie chce objawić z kąd wraca, co robił, gdzie się wzbogacił, ani go dotąd poszlakować było można i dojść, czém doszedł do tych dostatków. Ludzie sobie głowy łamią, sługi przekupują, za język go łapią, ani sposobu...

Chodzą wieści rozmaite, a nawet nie bardzo poczesne...

— Prawisz mi istotnie takie rzeczy, że przychodzi wątpić, czy nie myślisz sobie ze mnie żartować, rzekła podczaszyna. Jakżeby się to ukryć mogło, gdzie bywał przez lat tyle! Zdradziłaby go mowa, strój, twarz, nieostrożne słowo? Widziałeś go waszeć?

— A jakże, przez samą ciekawość cisnąłem się do niego... Wszakże go tu młodym chłopakiem widywałem w Horbowie, gdy on do wojewodziniej, a jejmość moja, królowa, do niego słodkie oczki robiła.

— Kłamiesz, niepocziwy! rozgniewana zawołała, chustkę mu w twarz rzuciwszy podczaszyna— kłamiesz... Miałabym oczy do kogo wytrzeszczać... ja go nie cierpię!

— Królowo moja! ręce złożywszy na piersiach rzekł Godziemba — teraz go nie cierpisz, ale żeś miała do niego słabostkę... to wie Godziemba... bo gorzko mu było patrzeć i cierpieć.

Podczaszyna zwróciła rozmowę pytając znowu: — Widziałeś go! mów! jakże to było?...



Wskazała mu miejsce na ławie, a sama na krzesło usiadła. Już miał odpowiadać, gdy dodała oglądając się:

— Nie wygadajże mi się tylko z nim przed wojewodziną! Wara! Rozumiesz! bo resztę łaski u mnie stracisz! Nie chcę, aby o nim wiedziała, mam swe powody do tego.

— Milczeć będę, jak skoro i władczyni moja każesz. Jam twój sługa wierny...

— A więc gdzie i jak go widziałeś...?

— Najprzód mi go ukazano w ulicy, gdy powracał od JMksiędza prymasa... Kawalkata była znaczna, tak, że w mieście sądzono, iż najmniej wojewoda jaki lub kasztelan przybył do stolicy... Jechało przed nim ludzi w barwie sutěj, złotemi galonami obszywaněj, na koniach pięknych może dwudziestu... Za nimi on sam... na białym turku, czaprak złocisty, delia sobolowa, kołpak z kitą dyaamentową i spięciem od karbunkułów... Szabla u pasa złota... przy koniu pacholików dwóch, istne lalki, postrojone gdyby na wesele... Dalej marszałek dworu, człek poważny, koniuszy i ludzi znowu ze dwudziestu bez barwy, lecz jeszcze zawiesićciěj postrojonych. Szła i kolebka prózna... w której tylko murzynek psa pięknego na obroży od złota trzymał... Srokatyh téż psów przy koniach szło kilka...

Gdym się dowiedział kto zacz był, boń go nawet nie poznał, ogorzał bowiem znacznie i spowa-

znał, ale mężczyzna w pełni sił i piękny bardzo— poszedłem nazajutrz się submittować.

Cały dom miał najęty od wojewody czernihowskiego, którego przedówcześnie nie było w Warszawie. Wszedłszy, niemogłem się dosyć wydziwić przepychowi. Podwórza pełne bryk ładownych, koni, psów i ludzi. Nie skłamię, gdy powiem, że pewnie dworu secina jest albo i więcej. Nim mnie dopuszczono meldować się musiałem, gdyby do senatora... Wpuszczono naostatek do antykamery, gdzie na służbie stało chłopców sześciu jak jeden, przyodzia-nych z węgierska. Tu mię ów siwy poważny marszałek przywitał, i wzięwszy imię moje, poszedł panu oznajmić. Tandem czekałem dobry kwadrans, niżeli się znowu drzwi otworzyły. Puszczono mnie. Szedłem prowadzony przez marszałka pokojami snadź świeżo dopiero wyporządkowanymi, pozawieszanymi, zastawionymi mnóstwem rzeczy po stołach, którymby się dziwować było można dzień cały, gdyby rzecz przyzwoita była okazywać taką ciekawość. Zegary, sztuki bursztynu, szatki, puhary, naczynia srebrne zalegały wszędzie, niektóre dopiero dobywano i ustawiano. Podniósł marszałek wreszcie zasłonę ostatnią, i znalazłem się w obec jegomości, który z owym psem ogromnym sam jeden sobie siedział używając wczasu.

Poznał mnie do razu, wstał, i cale nie pyszny rzucił mi się na szyję.

— „Panie łowczy kochany, niech Bóg płaci, żeś o starym znajomym nie zapomniał!“

Wnet mnie posadził i wina z cukrem i korzeniami przedziwnego dać kazał. Przynieśli na tacy złocistej... kubki z przedniego szkła weneckiego, jak u króla... Poczuliśmy się rozgadywać. Wnet mnie zapytał o panią podczaszynę.

— A jak? jak? przerwała gospodyni — szczerze mi mów — jak?

Godziemba się zaciął. Widać było, iż radby był się wykręcić sianem. Poznała się na tém jejmość i chwyciła go za rękę.

— Jak mi waćpan co dobrego życzysz, zawołała, w jakich słowach o mnie spytał?..

— Otóż to — szepnął Godziemba zafrasowany, iż słów sobie dokładnie przypomnieć nie mogę...

— Kłamiesz! — wyrwało się podczaszynie...

— Nigdy — odparł Godziemba uroczyście — dyssymuluję, ale nie kłamię...

— Mów w jakich słowach o mnie spytał?

— W jakich słowach? cedził Godziemba: zwyczajnemi słowy pytał o zdrowie i ewenta domowe...

— Jeszcze ci raz mówię, kłamiesz... odpowiedziała podczaszyna... Ja go nie cierpię, on mnie nienawidzi... nie byłby człowiekiem i mężczyzną, gdyby nie bryznął...

— No, to bryznął! bryznął i nawet nieładnie bryznął — rzekł Godziemba — ale ja sobie powtarzając te wyrazy, ust walać nie chcę...

— Ale mi mów zaraz! pod posłuszeństwem! domagała się podczaszyna.

Godziemba westchnął.

— Powiedział — powiedział: — „Czyż jeszcze téż téj baby lichu nie wzięło?“

— Tegom się co najmniej po nim spodziewała — spokojnie rozsiadując się w krzesle i ręce na piersiach krzyżując zaczęła podczaszyna. — Baba mu ta zawadza, bo póki ona żywa, Jadwisi mieć nie będzie... Mów waćpan dalej.

— Cóż więcéj powiem? ciągnął Godziemba — siedzieliśmy popijając ów kanar... pytał się o wszystkich... Dowiedział się snadź już wprzódy, że wojewodzina owdowiała, i cieszył się tém, nie kryjąc, iż ma zamiary... „Dam złota ile zechcą — mówił — a moją być musi!“

Podczaszyna zerwała się z krzesła z policzkami zaognionemi...

— Za pół światabym mu jéj nie dała! krzyknęła głośno; pókim ja żywa, nie będzie jéj miał!

Zaczęła żywo przechadzać się po pokoju.

— Jadwisia może i ma trochę słabości do niego... Jakby się dowiedziała, zobaczyła, trudnoby mi ją było utrzymać, bo to dziecko serce ma aż nadto miękkie... Ale w tém ja, że temu przeszkodzę... Baby lichu nie wzięło! Zobaczymy...

W tém odwróciła się do Godziemby, który milczał.

— Nie pytałżeś się go — gdzie był? co czytał? kędy te skarby pokradł lub zrabował?

— Kimżebym był, gdybym choć nie spróbował ciekawości swęj nasycić! mówił łowczy; — ale tu — sęk. Ledwie go zagadnął, twarz mu się jakby w marmur zmieniła, popatrzał na mnie, dał mi się wygadać... a potem rzecze: — „Mój panie łowczy, gdy mi nieprzyjaciel wieś spalił, matkę zamordował, do koszuli zniszczył, gdy sierotą pozostał na świecie, albo nikt lub mało kto mnie się pytał, co z sobą pocznę, wyjąwszy rotmistrza Niemiry, nikt mi ręki nie podał, ani się losem zatroszczył. Trzeba sobie było po świecie szukać sposobu do życia... Podczaszyna mi sama powiedziała, że gdybym pieniądze miał i Jadowsię bym posiadał. Utkwiło mi to w głowie i w sercu. Poszedłem się tedy nieszczęśliwego złota dorabiać, i Pan Bóg czy nie wiem jaka siła poszczęściła... ale w tém moja tajemnica. Nikt się dziś nie ma prawa pytać u mnie, z kądem wziął, co mam. Jeśli to ciąży na sumieniu, to na mojem... Co komu do tego... Nie chcę powiedzieć i nie powiem.“

Rzeknę mu tedy: — „Nie dawajcież się domyślać, bo ludzie gorszego łatwiej będą szukali.“ — „A niech sobie szukają czego chcą i prawią co im ślina do ust przyniesie — albo mi co potem? Czyż ludziom złotem ust zapchać nie można? czyż

u nich bogactwo i trądu nie zakryje i wszelakiego brudu?”

I śmiał się — nie więc od niego dowiedzieć się nie mogłem — rzekł Godziemba. I po Warszawie téż, między ludźmi, nie doszedłem nic. Zgniewałem się na siebie, bo mi wstyd...

— Ale cóż prawią? co mówią? czego się domyślają? spytała podczaszyna.

— Mało co prawią? ach! ach! nie do rzeczy! bałamuctwa! Jedni mówią, że u Kozaków był, drudzy, że u Turków, inni że na Węgrzech... Plotą, bo nie wiedzą nic... I on to wie, a śmieje się...

— Milczże ty mi przed wojewodziną! palec kładąc na ustach ozwała się podczaszyna... I pociągnęła go do gości.

Pomiędzy wielbicielami młodej wdowy, na których jęj nie zbywało, był podówczas książę Proński, ostatni pono tego imienia albo może pod to imię stare podszywający się tylko, człek osobliwy a niepospolity. W kraju go dawniej mało znano, gdyż jak powiadał, młodo z niego wyjechawszy, a lubstancję swą na Szląsk przенiosłszy, Cesarzowi służył i na jego dworze różne funkcyje pełnił. Tam się tedy będąc zupełnie i ze stroju, i z obyczaju wyzuł polskiego, a natomiast europejskiej nabrał polityry, którą się wielce odznaczał. Człek był pięknej postaci, statysta, na senatora wyglądający,

po niemiecku się nosił, z łańcuchem zawsze złotym na szyi, na którym był wizerunek nieboszczyka cesarza rzymskiego. Nie miał wielkiego dworu, ani sług licznych, lecz przedziwnym smakiem w ubraniu i pięknymi dworskimi manierami serca niewiast brał, i w dworskim świecie wysoko się umiał stawić. Tytuł nosił cesarskiego podkomorzego, a był też uczyniony z kniazia księciem Imperyi, i choć obcych tytułów w Rzplitej nie uznawano, jako poddany cesarski, bo się był wyjczyźnił zupełnie, książęcego dostojęństwa używał. Brano go z powierchowności za cudzoziemca nawet, po polsku łamaną mową jednak, przypomniawszy sobie młodość, trochę się mówić nauczył. Po onych kniazich Prońskich, których rodzina była zesza, mając prawa do jakiegoś zawikłanego spadku, z razu na dwór Kazimierzowy przybył, potem się udał na Ruś, ale mu sprawa szła oporem.

Podczaszynę i jej córkę poznawszy w Warszawie, choć człek niemłody, rozmiłował się we wdówe szalenie. Możeby ona wstręt mając od poddeptanych takich wielbicieli, nie zwróciwszy nań uwagi, odprawę mu dała krótką; lecz naówczas w mieście i na dworze, i u wielkich panów owego księcia Prońskiego mało nie na rękach noszono, tak wysoce go ludzie cenili. Najpiękniejsze kobiety ubiegały się o jego względy, słowom jego przysłuchiwano się, gdyż mówił wielu językami bardzo

gładko i pięknie, a z rozumu słynał i polityki głębokiej.

Pochlebiało to wojewodzinie, iż mogła tak znakomitego męża uwikłać w sidła swoje, a zazdrość powszechną obudzić. Więc choć może i nie bardzo się jój podobał, i nie mogła go kochać wcale — bałamuciła chętnie. Dziwna rzecz, iż mąż poważny, statysta, którego rozum wszyscy wynosili, człek zresztą bardzo dumny i nie rad się popolitować, przyłgnał całym sercem do wojewodziniej.

Tajemnicy też z tego żadnej nie czynił, iż o rękę jój starać się był gotów. Pyszniła się tém podczaszyna, śmiała się i cieszyła wdówka, nie odprawiano owego księcia podkomorzego cesarskiego, a no nie wiedziano dobrze, co z nim na prawdę czynić. Radaby była księżecemu tytułowi dla córki podczaszyna i wyprowadzeniu jój na dwór cesarski — ale się dowiedzieć nie było podobna, czy księżę w istocie na Szlązku owe dobra miał, i jaki to był majątek, i jak wiele go... Bo co do spadku na Rusi, na ten pono rachować nie było można wcale. Wahala się podczaszyna, śmiała po swojemu Jadwisia, a księżę je zabawiał obie, bo miał dar opowiadania wielki, i na pięknych słowach mu nie zbywało... Gdyby cokolwiek był młodszy i — prawdę rzekłszy — przystojniejszy, byłby pewnie wszystkich współzawodników prześcignął. Lecz młodym cale nie był, miłym tylko gdy go słuchano, zawiedłym, a chwilami spojrzawszy mu w oczy, strach



przejmował, takiego tam coś w nich lisowatego siedziało.

Z podczaszyną już był kilka razy do rozmowy przyszedł otwartej; zwodziła go, nie chcąc ani zrywać, ani kończyć... Kunktacją tą przeciągała konkury, aby się choć księciem pochłubić. Miała więcej na myśli młodego jakiegoś Chodkiewicza, który choć naówczas nie miał jeszcze nic, spodziewał się wiele po matce... a właśnie matka szukała mu cale kogo innego nie wdowy, i nie tak mierniej fortuny. Patrzano tam na Radziwiłłów lub Lubomirskich... Matka była w wieku podeszłym, chorowita, a podczaszyna brała wszystko w rachunek, i kto wie czy nie wyczekiwała usamowolnienia Chodkiewicza. Był i młody Pac także z nadziejami, a oprócz tego kilku pomniejszych nie do pogardzenia konkurentów... Nie potrzebowano dotąd spieszyć się bardzo z wyborem, więc się to z dnia na dzień ciągnęło.

Po przybyciu Godziemby i przytoczonej rozmowie, podczaszyna wieczór cały bardzo była zamyślona, a u wieczerzy ktoby był na nią zwrócił uwagę, dostrzegłby, że niespokojnym wzrokiem zdawała się biegać po swym dworze, jakby wszystkich z sobą porównywała. I zadumywała się wsparłszy na łokciu tak, że ją Godziemba budzić parę razy musiał... stawiając gałeczki do wyboru. W humorze była kwaśnym jak rzadko i opryskliwym.

Córka się na nią patrzyła zdziwiona, zrozumieć nie mogąc przyczyny.

Gdy się nareszcie rozeszli goście, a wojewodzina do swoich pokojów, dobranoc dawszy, odchodziła, matka z nią też posunęła zadumana. Kazano przynieść włoskie konfekty, bo te obie lubiły, i sługi odprawiwszy, poufałą wszczęły rozmowę.

Była ona zawsze niemal jedna. Nie miała większej pociechy wojewodzina nad zbieranie a nianie wieczorem, gdyby paciorek na sznurek, tryumfów swe dnia każdego. Śmiały się i cieszyły.

— Uważałaś matuniu, mówiła tego wieczoru piękna Jadwiga: jak księżę był pograżony w myślach i wzdychający, a oka ze mnie na chwilę nie spuścił. Umyślniem udawała, że o nim zapominam i na niego nie patrzę, a wzdychał aż się stolik trząsł... Albo Pac, uważała matunia Paca? ten aż uwiądnął i pobladł... Co zagadam do niego, to się roześmieje... zadrży, przypadnie, i sam już nie wie, co począć z wielkiej szczęśliwości... Chodkiewicz mnie w drugiej izbie napadł samą; myślałam, że awanturę robi, bo na kolana padał i w rąbek sukni całował, żebym mu słowo dała...

— Cóżes mu powiedziała?

— Żeby od matki pozwolenie miał! odparła Jagusia — a toby go wydziedzińczyć mogła, bo wszystko w jej rękach...

— Bardzo dobrze... potwierdziła podczaszyna.

— A inni, inni! A i ten nieoszacowany młody Pociąg, który ufa w pokrewieństwo... i w czub nastrożony... Oczyma mnie gonił, żem się od śmiechu wstrzymać nie mogła...

Ossoliński już jutro jedzie — dodała — powiedział mi bez ogródki: „Gdybym tu dłużej pobył, głowębym dla pani mój stracił zupełnie... i wymianym został... Nie jem, nie śpię i szaleję...”

— Jużby też, Jadwisiu kochana, trzeba z tym raz skończyć — odezwała się poważnie podczaszyna. — Nie napędzałam cię do ołtarza, bo nie było pilno po pierwszym zaraz drugiej szukać niewoli... a terazby już skończyć.

Jadwisia popatrzała zdziwiona i ruszyła ramionami.

— Któż ci się z nich podoba najlepiej? zapytała matka.

— Czasem jeden, czasem drugi — obojętnie odezwała się Jadwisia; przyznam się matuni, że żaden z nich mi do serca nie przypada, ale to już pono inaczej nie będzie... Taką mam naturę, że mnie każdy bawi póki nowy, i póki się nie kocha, a jak się rozmiłuje, to mi już wszystko jedno...

— A ksiązę Proński? spytała matka.

Jadwisia ziewnęła szeroko i obyczajem ówczesnym przeżegnała usta prędko.

— Ksiązę Proński? powtórzyła razy parę — stary matuniu... Stary, smutny czegoś... zaschły... albo ja wiem!

— Bardzo stateczny i szanowny człowiek, i pono z nich wszystkich najlepszą ma pozycję w świecie... Zawsze księżną być, to coś znaczy...

— I na dwór cesarski się dostać! mówiła Jadwiga. Dwór cesarski musi być bardzo piękny i wspaniały...

— O! pewno... obok francuzkiego dworu, toż pierwszy na świecie...

Jadwisia się zamyśliła głęboko...

— On musi mieć z pięćdziesiąt lat, szepnęła ponuro...

— A gdyby je i miał — rzekła podczaszyna — na mężczyznę jeszcze nie stary! prezentuje się bardzo pięknie... wygląda lepiej niż młodych wielu...

— A zakochany! zakochany! śmiejąc się mówiła córka — a! żeby mama wiedziała!

— Wiem to i widzę doskonale... odparła podczaszyna...

— Cóżby mi mama radziła?... poczęła z rezygnacją Jadwisia, składając ręce na piersiach...

— Powiem ci szczerze... rzekła matka — ma lat dwa razy tyle co ty! Cóż to złego? prędej możesz być wolną! Zobaczysz świat, dwór, ludzi... a przecież ci coś zapisać musi? Inaczejbym cię nie wydała... Chodkiewicz musi czekać na matkę, Pac na braci... reszta to szlachta, albo imiona bez pieniędzy! Co tobie, co nam po tém!

— Więc będę księżną! odezwała się z lekkim westchnieniem Jadwisia... Ja myślę moja matuniu,

że i na dworze cesarskim nie bardzo źle będę wyglądała... w sukni dworskiej i fryzurze! Włożę wszystkie moje dyamenty po wojewodzie, nawet sznur wezmę do sukni. Ubiorę się cała czarno z koronkami... Matusia powiada, że mi tak najlepiej do twarzy... Drzwi się otwierają... Marszałek oznajmuje... Jaśnie Oświecona księżna Prońska, podkomorzyna cesarka!! Wchodzę... Przed cesarzem wszak trzeba przykleknąć? prawda?

— A! dziecko ty moje! rozśmiała się mimowoli podczaszyna — już ci się śni dwór... .

— Pewnie! takim go ciekawa!

Uderzyła się w rączki białe.

— Nic się nie złękne... i samego cesarza rzymskiego oczaruję... Choćby był stary, choćby był jaki... to go muszę zbałamucić! Cha! cha!...

— Więc z ks. Prońskim mówić mogę? zapytała podczaszyna.

— Ja się spuszcza na matunię — mówiła Jadwiga — niech matunia mówi... Stary jest, to prawda... ale... i ja już się starzeję! dodała wzdychając: dwudziesty i szósty rok! Za lat cztery trzydzieści lat. To okropna rzecz!

— Masz jeszcze wiele przed sobą! przerwała matka...

— A! to prawda! Proński ma pewnie lat pięćdziesiąt, i umrze, a ja jeszcze mogę pójść za jakiego króla i być — królową!

— A! dziecko! całując ją w głowę, zawołała matka — w tej chwili nie wyglądasz na lat dwadzieścia kilka, zdajesz się ich mieć czternaście!!! Co też ci się śni!..

Mówiła jeszcze przez chwilę... a że Jadwiga ziewała i była zmęczona — rozeszły się do snu. Wojewodzina tak ważne powziąwszy postanowienie, nie czuła się niemi bynajmniej poruszona.

W naturze jej było z dzieciną taką dumą heroiny patrzeć na świat, i na to nawet, co ją najbliższej dotykało.

Nazajutrz z rana podczaszyna, kując żelazo dopóki gorące, naprowadziła Prońskiego na nowe oświadczenie się jej dla córki.

— Mój książę odezwała się poważnie — nie ukrywam tego przed nim, iż zaszczyconemi czujemy się wielce tym affektem, który nam okazywać raczysz. Miałam zrzeczność wybadać Jadwisię, nie jest ona od tego — ja także — lecz położenie nasze zmusza do pewnych warunków. Jadwiga była dosyć nieszczęśliwa w pierwszym małżeństwie... majątek znaczny, który jej mąż zostawił, wydarła potem rodzina... Z siebie niewiele mamy. Muszę czuwać nad jej przyszłością. Onaby o sobie nie pomyślała sama... Co jej książę możesz zapewnić?

Podkomorzy się zamyślił głęboko.

— Pani podczaszyna pozwoli mi być zupełnie szczerym. Moje dobra szląskie, całe dożywociem oddaję.

— Mógłbyś księżę je zapisać — rzekła — nie masz blizkiej familii. Jeżeli Pan Bóg pobłogosławi potomstwem, toż weźmie ono po niej co do niej należeć będzie... jeżeli nie... wszakbyś księżę sam wolał, aby ona odziedziczyła, niż kto inny...

Zimny ten targ nieprzyjemne zdawał się czynić na Prońskim wrażenie.

— Jako matka strzegę interesów dziecięcia, dodała, postrzegając chmurkę na jego twarzy podczaszyna. — Ona o tém nie wie... to dziecko!.. Nie wspominaj jęj księżę o naszej rozmowie...

W czas się zastrzegła podczaszyna, gdyż właśnie nadeszła Jadwiga, tak piękna, tak urocza, takim blaskiem oblana, że widok jęj na Prońskim ostygłym nieco, uczynił wrażenie, które rozmowę zatarło. Uczuł pan podkomorzy, iż takiego skarbu dosyć drogo nigdy opłacić nie było można. Całe życie spędziwszy w pracy i wysługach tajemniczych, w nadziejach jakiegoś szczęścia różnie marzonego, — teraz je widział w tęj kobiecie, której piękność go czarowała... Zapomniał o wszystkim, mówiąc sobie w duchu: — „Na wszystko przystanę.“

Wojewodzina posłuszna matce, przyszła uśmiechnięta, dziecięco roztrzępana, wabiąca i nęcąca starego dyplomate cesarskiego dworu... Instynktowo wiedziała, że powinna była oczyma i uśmiechem dobić targu. Kazała sobie podać rękę i wywiodła go do ogrodu.

To szczęście pierwszy raz spotkało podkomorzego. Mimo wytrawności, wieku i doświadczenia, stracił głowę zupełnie. Nie mając o czém z nim mówić, Jadwisia naprowadziła rozmowę na swoich wielbicieli, których bardzo trafnie wyśmiewać umiała.

— Pani, rzekł podkomorzy, lękam się mocno, by i mnie ich los nie spotkał.

— A! nie! Książę daleko lepiej od nich wyglądasz, rzekła naiwnie, ja księcia nad nich wszystkich wolę.

— A gdybym panią wziął za słowo? odezwał się drżącym głosem Proński, i ośmielił się...

Jadwisia tłumiąc uśmiech, spojrzała mu w oczy.

— Jeśli mnie książę bardzo kochać przyrzekniesz, ale bardzo! i być mi posłusznym, i spełniać moją wolę, i być dla mnie dobrym... no... to pójdę za księcia...

Proński rzucił się na kolana. Jadwisia odskoczyła.

— Czyż to być może? Byłżebym ja tak szczęśliwy!?

Reszta rozmowy odbyła się w ogrodzie po ciuchu. Jadwisia zaraz o dwór cesarski rozpytywać go zaczęła.

Poszła więc sprawa tak dalece po myśli podczaszynęj, że tegoż dnia przy wieczerzy Godziemba, króry podchwycił tajemnicę, wypił za zdrowie zaręczonych, bogdana i bogdanki, księcia podkomorzego i wojewodziny.



Można sobie wystawić, jak piorunujące wrażenie wywarła ta niespodziana nowina na wszystkich wielbicielach i zakochanych, których czarną polewką nie poczęstowano, ale jak mówił Chodkiewicz, czarną zdradą! Po cóż było uwodzić, dawać nadzieje, trzymać ich na uwięzi!?

Oburzenie było tak wielkie, że Chodkiewicz od stołu się zerwał, ledwie skłoniwszy, wyszedł w podwórze, konie zaprzęgać kazał, w dziedzińcu stał póki mu ich nie podano, i natychmiast wyjechał. Inni także srodze byli dotknięci... Zaczęto się pospiesznie rozjeżdżać, tak, że ledwie dwóch czy trzech młodszych i mocniej rozkochanych, już dla tego tylko, by w te węzowe, bazyliżkowe oczy co ich wiązały patrzeć a patrzeć, zostało, na płacz i zgrzytanie zębów.

Książ Proński był szczęśliwy i na chwilę nie odstępował narzeczonej, która go męczyła zapytaniami o suknie, stroje i ceremoniał dworu. Ile razy on zaczynał o miłości swój, ona zagadywała czém inném... Zamieniono pierścionki nazajutrz, już przy małej liczbie świadków, do których należał Godziemba.

— Królowo moja, rzekł wzdychając do podczaszynnej, do siwego włosa ściągnęłaś szczęście moje. Kiedyż my zamienimy obrączki?

Uderzyła go po rękę podczaszyna.

— Nie bałamuciłbyś, rzekła, z tego nic być nie może, chyba pojedziesz jak Pełka okraść gdzieś jakiego Mogoła.

Godziemba nie nastawał już, złożył ręce poddając się przeznaczeniu.

Wesele wojewodziny miano odroczyć, bo matka miała jeszcze jakieś formalności do dopełnienia, to jest, wymagała czegoś od córki dla siebie, a wytargowanie wymagało czasu, ażeby przyszło niby nie wywoływane i nie żądane.

Z razu książe tak był szczęśliwy, iż się na to zgadzał, bo godził się w ogóle na wszystko, czego po nim wymagano; po kilku jednak dniach zaczęło mu być coraz pilniej tę śliczną laleczkę nazwać swą żoną.

Pokazało się, że musiał bardzo rychło powracać na dwór cesarski, dokąd go powoływano dla spraw wielkiej wagi; począł więc przebąkiwać o konieczności przyspieszenia ślubu, przeciwko czemu nic nie miała wojewodzina, chcąc co najrychlej przedstawić się na cesarskim dworze. Matka różne błahе powody zwłoki przytaczała, w ogóle wszakże obronić się ani mogła, ani miała prawa, wojewodzina rozporządzała sobą, napomknął jęj o tém książe Proński, gdy mu się wola matki składała. . .

Miał tylko po kolebki i konie wyjechać do Warszawy, powrócić z indultem i zabierać żonę do Wiednia.

Wiedeń cesarski, świetne otoczenie dworu, zabawy, wszystko to wabiło tak bardzo Jadwigę, iż niecierpliwsza może była od zakochanego podko-

morze. Szepnęła mu więc, aby po kolebki, konie i indynty jechał zaraz, a jak najrychlej powracał, i wypędziła go z Horbowa w dni kilka. Tego czasu zamierzała użyć podczaszyna, aby w zamian za wytargowany dar dóbr szlążkich od księcia, sobie od niej wyżebrać choćby jedną folwarczynę.

Zostały same z panem łowczym Godziembą i dwoma utrapionymi młodzikami, którzy już bez nadziei, wzdychając dosiadywali w Horbowie i dawali drwić z siebie, byle ich nie wypędzano.

Był wieczór jesienny, piękny, pogodny i ciepły. Podczaszyna na szeroki pokryty ganek w Horbowie, z którego niegdyś Jadwisia wstążkę niebieską rzuciła pierwszemu rycerzowi swemu, wynieść kazała stół do wczesnej wieczerzy, aby z ciepłej pory korzystał. Jadano jeszcze naówczas obiad w południe, a wieczerzę dobrze przed nocą, później, jeśliby towarzystwo zabawiło się dłużej, krzepiąc się jeszcze „podkurkiem“.

Już misy przynosić miano... Podczaszyna w dosyć dobrém usposobieniu, wesoło podżartowywała z wiecznie zakochanego Godziemby, strzelistemi ją prześladowającego affekty. Jadwiga trzymała przed sobą obu wiernych, pozostałych jej adoratorów bez nadziei, szydząc z nich po trosze i bawiąc się nimi, a płacąc im zalotném wejrzeniem, gdy po za bramą murowaną na gościńcu spostrzeżono poczet jeźdźców okazały, który wszystkich zwrócił uwagę.

Kierował się on widocznie wprost do dworu w Horbowie, ale zkąd i kto mógł być, nie umiano odgadnąć. Z dala wyglądało to nader świetnie i wystawnie.

Przodem mężczyzna pięknej postaci, na białym koniu, z sutym rzędem, na głowie konia z piór ponsowych kita, dywdyk na nim od złota. Kawaler w żupanie atlasowym białym ze złotem, kontusz ponsowy, pas z szalu wschodniego, szabla krzywa u boku na rapciach sadzonych kamieniami. Twarz młoda, ogorzała, ale pięknych rysów, wąs do góry podkrecony, oko ognia pełne. Siedział na rumaku jakby od niechcienia, jedną ręką w bok się ująwszy, drugą wiodąc go tak lekko, jakby nie potrzebował nim kierować. Za nim kilkunastu dworzan pod wodzą starszego, wszyscy w jednej barwie białej z ponsowem, rzędy jednakie, uzbrojenie dobrane. Dwa psy tarantowate biegły u boku.

— Jak mi Bóg miły! wykrzyknął nagle Godziemba: to Pełka.

Podczaszyna z dawna się go domyśliła, twarz jej oblała się purpurą, nie chciała tylko tego nienawistnego wymówić imienia, którego wspomnienie na twarzy Jadwisi odbiło się ogniem i błyskawicą. Wstała, ręce załamawszy, poruszona cała, oczy wlepiając w jednego, który w téj chwili od bramy puścił się cwałem, i konia u ganku osadził wrytym, gdy dwór się nieco opodał zatrzymał. Był to w istocie pan Medard Pełka, tegoż ranku do Goł-

czwi przybyły i spieszący czołem uderzyć przed wojewodziną. Siedząc na siodle, podniósł kołpaczek z kitą nad głowę.

— Czołem pani podczaszynie! czołem wojewodzinie, zawołał głosem donośnym. Oto wracam w domowe progi, a pierwszy krok mój tu, z kądem nigdy myślą nie odchodziłem...

Spojrzał na zarumienioną Jadwigę.

— Pani, dodał, tu na tém miejscu raczyłaś mnie pobłogosławić na ciężką wędrówkę żywota, odbierz tu dzięki moje, bo dzięki błogosławięństwu twemu powracam, z tysiąca niebezpieczeństw uszedłszy cało... z sercem pełném tego samego uczucia, które mnie tu niegdyś po raz pierwszy przywiodło.

Jadwiga, na którą się zapatrzył, oczy miała prawie łzawe, pierwszy raz może w życiu poczuła jakieś drganie serca.

Podczaszyna, którą pozdrowiwszy tylko zaniebdał Pełka, burzyła się widocznie gniewem, usta jej drgały już zbierając się na odpowiedź...

Tu, zawsze jeszcze na koniu siedząc, Pełka zwrócił się do matki.

— Pani podczaszyno dobrodziejko — rzekł spoglądając na nią śmiało — i pani odemnie należy się wdzięczność: pani mnie nauczyłaś pierwsza co w życiu i świecie popłaca... jęj radom byłem posłuszny... i oto z owocem nauki wracam...

Gospodyni sama nie wiedziała dobrze co pocnie, czuła tylko wzbierający w sobie gniew, nie wiedząc

jaki dać obrot wybuchowi jego, bo rzeczywiście gniewać się o co nie miała. Wszystkie jej szyki przybycie to pokrzyżowało! Wprawdzie Jadwiga była zaręczona, lecz znała ją matka zbyt dobrze, by się mogła tém uspokoić... Płocze dziecię tak łatwo było wziąć na błyskotki!

— Wcale z waszmości niespodziewany gość, panie Medardzie, odezwała się głosem poruszonym: jakbyś waćpan z podziemi powrócił, bo przyznam się, że myśmy go tu dawno pogrzebali i opłakali.

— To właśnie najlepszy *omen*, rzekł śmiejąc się Pełka: kogo żywego grzebią, ten ma długie życie lata! Dziękuję za miłą obietnicę...

Podczaszyna ruszyła ramionami.

— Jużciż waszmość na koniu siedząc tak konwersować z nami nie myślisz. Kiedyś nas zaszczycił odwiedzinami swemi, zsiadać proszę.

Jadwisia dawno mu to już oczkami powiedziała. Niezmiernie była ciekawa metamorfozy starej gąsienicy na złotego motyla.

Dwóch chłopaków jednakowo oszamerowanych, jadących z tyłu na małych konikach, podbiegło panu jeden konia odebrać, drugi u strzemięcia stanąć. Pełka zeskoczył rażno i kołpaczek z głowy zdjawszy, kroczył na ganek. Zaraz też cały dwór z koni zsiadł, i ująwszy je, ustawił się porządnie w szyk. Psy się przed końmi pokładły.

Jadwisia nie mogła oczu odwrócić od pięknego, acz mocno zmienionego Pełki. Młodość jeszcze

świeciła na jego ogorzałym obliczu, ale znać było znużenie, walki, smutki i zmarszczki wybite troskami i niebezpieczeństwami. Parę blizn bielszych świeciło na skroni i policzkach. Przybyło mu niezmierniej jakiejś powagi i pewności siebie. Podczaszyna, która była rada upatrzeć coś niedorzecznego, złego, śmiesznego bodaj w panu i otoczeniu, próżno szukała. Bolało ją to jeszcze bardziej.

Wszedłszy na ganek, submittował się raz jeszcze pani domu i wojewodzinie, przywitał z Godziembą, i zabrał wskazane mu miejsce przy gospodyni.

— Sądziłem, odezwał się, że tu przyjadę nieoznajmiony, istotnie jak upiór z grobu, lecz widzę po panu łowczym, że mnie tu musiał oznajmić. Chybiłem więc z występem moim...

Jadwiga z wyrzutem spojrzała na Godziembę.

— Łowczy nam nic nie mówił! zawołała.

— Przepraszam, wtrąciła matka, wspomniał o tém, tylkoś zajęta twym księciem nie uważała...

Wyrazy „twym księciem“ odbiły się w sercu Pełki, który poruszył się jak przestraszony i spojrział na zakłopotaną Jadwigę.

— Cóż to za książę? jeśli wolno zapytać? odezwał się zwrócony do wojewodziniej.

Matka nie dając jej odpowiedzieć, podchwyciła:

— Książę Proński, podkomorzy cesarski, rzekła, narzeczony córki mojej.

Pełka pobladł, ręką powiódł po czole, po oczach, zmarszczył się, ale usta mu się skrzywiły sarkastycznym uśmiechem.

— Proński... podkomorzy cesarski, odezwał się jakby przypominając sobie, dojrzały człek, statysta wielki... Pewnie ten, co ma dobra i zamki na Szlązku?

— A tak! przerwała spiesźnie podczaszyna.

— Wiem już! wiem! odrzekł śmiejąc się Pełka. Zamki dwa, w obu szczury mieszkają i nietoperze, a dobra w takich piaskach, że ich stanie do końca świata na zasypanie wszystkich niepoczciwości, które Niemcy napiszą. O! pyszne dobra i wielki pan! mówił zwolna. Jest czego powinszować, bo i człowiek co się zowie i dobra godne pana.

Jadwiga zbladła, podczaszyna była czerwona z oburzenia.

— Od waćpana mu się trudno pochwał spodziewać — odezwała się — nie bardzo też to weźmiemy do serca... Waszmośćbyś rad nam go zbrzydził, wiemy czemu. Kiwnęła głową i dodała cicho: — Nic z tego nie będzie.

Pełka jakby nie dosłyszał, mówił dalej:

— Człowiek na dworze cesarskim wysoko położony... Za cesarżową jejmością czasem wachlarz nosi, a za cesarżem Imością laskę i rękawiczki... Nie wstyd to być lokajem u takiego władcy świata, rzymskich Cezarów spadkobiercy...



— Jak to lokajem? przerwała oburzona Jaddwiga — jest przecie podkomorzym!

— A no... tak się to tam zowie, nie przeczę, mówił Pełka; lecz jeśli sobie wyobrażacie, wojewodzino dobrodziejko, iż to tam podkomorstwo jak u nas koronne, jedyne, mylicie się. Cesarz jegomość ma ich tam z tuzin, a służby się mieniają, bo ją ciężką mają.

Tu nieco zamilkł.

— Co się stało wszelako, pewnie odstać się nie może, dodał z goryczą. Gdy mi Prowidencya kazała przybyć w tak szczęśliwą godzinę do tego domu, niechże mi wolno będzie złożyć życzenia i powinszowania. Na dowód, żem dawnym dla domu tego sentymentom i respektom wierny powrócił — mówił ciągle z coraz lepiej udawanym spokojem — niechaj mi wolno będzie złożyć nietylko słowo *ex intimo corde* płynące, ale z moich podróży i włączęgi po świecie małe przywiezione podarunki.

Zwrócił się ku podczaszynie z półuśmiechem na ustach, ale z respektem wielkim w pokłonie, i dobył z za kontusza sepecik małuczki ze skóry jakiejś zamorskiej dziwnie pięknej, bo wyglądała tak, jakby ją kto perełkami osypał, z była twarda i lśniąca... Ten zręcznie otwarłszy, ukazał piękniejszy jeszcze wewnątrz na aksamicie zielonym leżący krzyżyk z dyamentów, w którego środku świecił ogromny opal, co go kociem okiem zwano, mieniający się, jak gdyby na ludzi patrzył i mrugał.

Na dłoni podał go podczaszynój.

— Racz waćpani dobrodziejka przyjąć ten ma-luczki dar od sługi swojego. Mały on i lichy jest, ale krzyż Pański i Chrystusa ojca miłosierdzia przy-pomina... Komuż to godło słuszniej należy jeśli nie pani, która jesteś tak dobrą, łaskawą, przeba-czającą, miłości pełną, a szczególniej mnie z łask swych pamiętną?

Wyglądało to na dyamentowe drwiny z podcza-szynój, która do dobroci nawet najmniejszej nigdy nie rościła pretensyi. To téż choć ją dyament i opal neciły, ręką odtrąciła sepecik, i rzekła nadaśana:

— Dziękuję waszmości, panie Pełka, za dobrą intencją, a no daru przyjąć nie mogę. Nigdym dla waszmości dobrą nie była... jako żywo! do tego się nie przyznaję. Ja mam do syta klejnotów, a waszmości się to na nowe gospodarstwo przyda.

Pełka skłonił się, i sepecik dla tego na stole postawił. Obrócił się potem nieporuszony do woje-wodziny.

— Pani będziesz na mnie łaskawszą, rzekł, do-bywając z pod serca drugie, kamieniami pięknie sadzone pudełeczko złote, a z niem razem wypło-wiałą kokardę niebieską, na której widok Jadwisia się zapłonila. On milcząc nazad ją na sercu poło-żył. Za pociśnięciem otwarło się owo misterne pu-dełko, i w niem na aksamicie ponsowym ukazała się leżąca balsamka złota, u której końca wisiała jak gruszka wielka perła precudnej wody.

— Wojewodzino! pani a królowo moja! zawołał, chyłac kolano przed nią... obdarzyłaś mnie niegdyś droższym mi nad wszystkie skarby świata klejnotem, przyjmże sercem dawném odemnie mały upominek ten... Balsam zamknięty w tój puszczece, droższy jest od niej samój. Rośliny, z których oddechu został zdobyty, kwitły na dalekim Wschodzie, na granicy rajy ziemskiego, i z niego może ciągnąc soki, nabrały tój przedziwnój własności, iż gdy serce ludzkie strapienie uciska, gdy smutek duszę dręczy, dosyć jest otworzyć balsamkę i wciągnąć jój ducha w siebie, aby o wszelkiem utrapieniu zapomnieć. Perła, która jak łza zawisła na niej, niech pani przypomni starego młodości przyjaciela, którego żywotowi na łzach tóż nie zbywało.

W czasie gdy tę oracyę mówił Pełka, oczy Jadwisi biegały to na niego, to na balsamkę kosztowną, którą u nóg jój składał. Wyciągnęła rączkę białą i paluszkami niecierpliwemi chwyciła dar dygając z uśmiechem. W tójże chwili otworzyła balsamkę, i nim podczasyna czas miała jój wzbronieć niebezpiecznej próby, w której posadzała czary, pociągnęła upajającej woni.

Woń ta rozeszła się, jakby świeżo rozkwitłych róż po całym ganku... Czuć w niej było wiosnę... róże i coś jakby szafran, który koi bole i nieznanne jakieś kwiatów wyziewy...

— Na miłość Boga! Jadwigo! zawołała podczasyna — to może być czar, lub gorzej!..

Balsamka już była zamknięta... wesołe oczy Jadwigi świadczyły, że jej nie struło odetchnienie tą wonią i pospiesznie skryła, jeszcze raz główkę skłoniwszy Pełce... pudełeczko do kieszeni.

— Wdzięczna jestem panu za pamięć, rzekła cicho — zachowam dar... i choć matunia się go lęka... ja wam wierzę...

Podawała mu rękę, którą Pełka z zachwytem ucałował...

Na twarzy matki zniecierpliwienie, gniew, zajądłość niemal znać było... Wnoszono właśnie wierzę, odwróciła się ku niemu z szyderskim półuśmiechem...

— Jakże tu tak wielkiemu panu, co dyamenty garściami sypie — rzekła — podać nasze ubogie potrawy? Waćpan ich jeść nie zechcesz, do pulpetów nawykłszy?

— Więcej do razowego chleba, mościa podczaszyno dobrodziejko, siadając rzekł niezmiyszany Pełka... i odwrócił się ku wojewodzinie, która widocznie milój coraz spoglądała ku niemu...

Zawiązaniu rozmowy, któraby ich zbliżyć mogła, mocno się postanowiła opierać i przeszkadzać matka. Nim potrafił usta otworzyć, mrugnęła na Godziembę, a sama sądząc, że go zakłopotcze, wnet poczęła :

— Radzibyśmy też wiedzieli, zkąd do nas z temi skarbami przybywasz?...

Pełka uśmiechał się.

— To jest właśnie *arcanum*, tajemnica, której nie wyjawiam nikomu. Pytał mnie o to król Jego-  
mość sam i tom mu odpowiedział, co podczaszy-  
nie — po ziemim się włóczył, a do domu tęsknił.

— Więc po za domem... na obczyźnie...

— Już jak nie w Lubelskiem, to po za domem,  
mówił Pełka... a gdzie siedział, wędrował, bił  
się i zdobywał, to między mną i Bogiem...

— Ostrożnym być potrzeba — odezwała się pod-  
czaszyna z przekąsem — boć co dobrego a chwa-  
lebnego, to się nie tai...

— Ani téż przystało własną chwałę głosić, bo  
*propria laus sordet*, odparł Pełka.

— Więc się od waszmości nic nie dowiemy?  
nastawała podczaszyna.

Namarszczył się i westchnął p. Medard.

— Nie ma o czém mówić — zamknął — da-  
leko ciekawszy ja jestem, co się tu w kraju na-  
szym działo, jak się żyło paniom obu... jak się  
zmarło wojewodzie...

Jadwiga oczy spuściła.

— I o tém téż mówić nie ma powodu — rze-  
kła podczaszyna. Co Bóg dał, to się przeżyło...  
a co dalej? on wie jeden...

— Daj Boże jak najlepiej! westchnął Pełka —  
ależ to losy moje dziwne! Zawsze przybywać za-  
późno, jeśli nie na wesele, to na zaręczyny... Ha!  
dodał z udaną wesołością, my coś oba panie łowczy

losy tu mamy podobne... Waszmości się posiwiąło, jam poczerniał, a dalej téż zbieleją czekając...

— Na co? spytała żywo podczaszyna.

Pełka udał, że nic nie zrozumiał, spojrział na Jadwigę...

— Będę czekał! szepnął cicho.

Pochylił się nieco ku niej: — Wszakże przysiągłem tu, odbierając tę wstęgę... (ukazał nieco wyjmując ją), a com poprzysiągł, dotrzymam.

Podczaszyna siedząca dalej nieco, nie mogła tych wyrazów dosłyszeć, mocno ją to zniecierpliwilo. Groźno popatrzyła na Jadwigę, którą nawykła była prowadzić jak chciała. Lecz tym razem wojewodzina zręcznie uniknęła wzroku, a w odpowiedzi Pełce, rzekła:

— Jabym pana uwolniła od przysięgi!

— Ani żądam, ani przyjmuję — pochwycił Pełka, owszem wiernym jój chcę zostać... dobrze mi z nią, a cierpliwości dano mi więcej niż pospolitym ludziom. Starczy jój na długo...

Godziemba, któremu ciągle nakazywała gospodyni, aby się w rozmowę mieszał, odezwał się głośno:

— Miły panie Medardzie — cóż to księciu bogdankę chcesz bałamucić! Ot lepiej zwróć się ku nam, a uczynić ciekawości słusznej zadość... Widzimy, że koło waszmości dostatnio... przyznajże się, na długo to tego stanie?

Pełka wążem ruszył z gniewu.

— Przybyłem tu nie bez interesu, rzekł z wolna... Moich poczciwych Laskowskich spłaciłem w Gołczwi... ale mi w niej ciasno trochę... Pani podczaszyna ma inne dobra i w Horbowie pewnie rezydować nie myśli... Nabywam Prosiniec od Żołudków, targuję folwarków dwa u Laskowskich, kupiłbym i Horbów, gdyby mi go podczaszyna sprzedawała... Płacę na stół gotówką... Oto wacpan masz moją odpowiedź — dodał z wolna... a jeśli w okolicy dobra wiesz na sprzedaż, któreby się z temi stykały... daj mi je — kupię...

Godziemba w język się zakąsił.

— Wiele podczaszyna Horbów ceni? zapytał Pełka...

— Drogo dla waćpana — rzekła z gniewem gospodyni, — a no i sprzedawać nie myślę.

— Jeśli nie ma intencji, trudno zmuszać, ozwał się Pełka — bo gdyby o cenę szło... moglibyśmy się porozumieć...

Po tém oświadczeniu zamilkli wszyscy.

Podczaszyna się zadumała... Jedyłą jej pociechą było myśleć, że Pełka kłamie i chełpi się napróżno. Wszystko co go otaczało, zdawało się świadczyć o prawdzie tych słów... Gniewała się więc bardziej jeszcze, na co Pełka nie zdawał się zważać.

Wieczera ciągnęła się na zrywanęj rozmowie, w której Jadwiga półsłowami tylko cichemi do Pełki skierowanemi mały udział brała; pierwszy

raz od dawna podczaszyna postrzegła, że córka nie tylko jej uczuć nie podziela, ale zdawała się zniecierpliwiona i nie rada temu, co matka mówiła...

Gdy od stołu wstali, mimo całych zabiegów podczaszyniej, Pełka się zbliżył do Jadwigi i odszedł z nią rozmawiając w drugi koniec ganku. Cicho coś mówili z sobą.

Mrok padał i noc się zbliżała...

Pełka czuł się tu gościem nie miłym, chwycił więc za kołpak i dał znak ludziom z końmi stojącym...

W chwili znalazł się gotowy kaganiec, i dwóch ludzi zapaliwszy gałki smolne, stanęło poprzedzać orszak, a Pełka począł się żegnać... Jadwige wyciągnęła mu rękę do pocałowania... skłonił się z dala podczaszynie, uścisnął Godziembę coś mu szepnąwszy, i skoczywszy na koń nie dotykając prawie strzemia — puścił się z całym pocztem do Gołczwi.

— Szatan go tu chyba przyniósł! szepnęła w duchu podczaszyna...

\* \* \*

Gdy trzeciego dnia potém Medard z innym a jeszcze piękniejszym pocztem odmiennie przybranych dworzan przybył z wizytą do podczaszyny, znalazł główną bramę zamkniętą, a po długim stukaniu do niej, z jednego okna w piąterku łysa



głowa wysunęła się ziewając, i stróż wierny zamczyska, na zapytanie oświadczył, że tegoż dnia rano pani podczaszyna z wojewodziną i księciem Prońskim bardzo pilno wyjechały, snadź na dłuższy czas z domu.

Poczem zamknęło się okno i brama stała milcząca. Tą odpowiedzią lakoniczną nie chciał się natarczywy Pełka zadowolić, i bił dopóty czekaniem do wrót, aż furtka się otworzyła nakoniec i wyszedł burgrabia. Była to figura znana z dawna Medardowi, człek kwaśny i zły, lecz dający się ująć datkiem. Wciśnięto mu więc coś w rękę, aby przynajmniej raczył objaśnić, dokąd i w jaką drogę wyruszyły jójmoście. Wzbraniał się tego z razu oglądając na wszystkie strony, potem gdy sam Pełka z konia do niego zeskoczył i począł go po dawniej znajomości ścisnąć i zaklinać, a pierścień piękny z palca zdjawszy, wetknął mu go, odeszli razem na stronę, bo się przy ludziach snadź mówić obawiał; a nawet odsunawszy się od nich, ciągle nasrożoną zachował postać, aby myśleli, że się z Medardem kłóci.

— Zakazano panie pod cherimem — rzekł cicho — nikomu o wyjeździe nie mówić nic. Domyślam się, że podczaszyna nasza obawia się od jaśnie pana pogoni... Zakazano pisać, zakazano się wdawać w rozmowę, inaczej fora ze dwora!

— No, to w Gołczwi dla ciebie dwór otwarty! Burgrabia westchnął.

— A! co to panie Gołczwia, a choćby i raj, kiedy człowiek do miejsca przyrasta... Ale mnie, na rany Chrystusowe nie wydawajcie na zemstę podczaszyny... albo żeby się ludzie nie wygadali, żeśmy z sobą na szeptach byli...

— Z moich ludzi nikt ust nie otworzy — rzekł Pełka. Dokąd pojechali?

— Albo, z pozwoleniem, ta stara sekutnica, choćby ona i moją panią była — rzekł burgrabia ramionami ściskając — albo ona kiedy komu prawdę powie? Już to się domyślać łatwo, że córkę wydawać! Dokąd? gdzie o indult najłatwiej — a gdzie najłatwiej, jeśli nie w Warszawie? To jasna rzecz... Lecz że nikomu nie powiedziała dokąd jedzie, to też pewna... ani mnie.

— Jakże się wybrały? spytał Medard.

— O! ani na dzień, ani na dwa, panna Brzeska mi rozповідаła, że co było najlepszego, to pozabierały, a wojewodzina ze swoich rzeczy nie prawie nie zostawiła, tylko kufer starzyny...

— Kiedyż Proński przyjechał? badał Medard niecierpliwie.

— Wczoraj w południe — mówił burgrabia wciąż oglądając się ze strachem — a jak tylko przybył, wzięła go podczaszyna do siebie na rozmowę... potem biegała do córki i do wieczora tak pracowała, tak się kręciła, tak zabiegała, że na rano konie zadysponowano w nocy już... Wojewodzina

plakała — a co z tą naszą panią poradzić, gdy się uprze! Z nią nikt nie potrafi nic — to darmo...

Medard się zamyślił smutnie...

Znowu więc przybywał za późno... Nagle podniósł głowę.

— Mosanie Krępa — rzekł do burgrabiego — jeśliby, czego się nie spodziewam, bieda jaka waszności urosła z tego, żeś mówił ze mną, słowo moje trzymam. Gołczwia otwarta — dworek się znajdzie... Bywaj zdrów.

W mgnieniu oka siadł na konia i już tumanem kurzu pędził znowu ku laskowi, który od Gołczwi oddzielał.

Stare domostwo wyporządzone już przez Laskowskich, teraz za przybyciem dziedzica i rozgospodarowaniem się jego, całę inaczéj wyglądało. Laskowscy oboje ustąpili mu chętnie za słusznym obrachunkiem nakładów... Dwór starego szlachcica, ba! i pański w Polsce, zawsze miał trochę natury namiotu obozowego.

Ściany, dach, skorupa, zlepiona była ladajako, byle się to trzymało, nigdy jednak z powierzchowności opuszczonej i niepoczesnej sądzić nie godziło o wnętrzu. Gdy się szlachcic rozpakował i rozgościł, porozwieszał, poprzybijał, gołe ściany i smutne izby całę inaczéj wyglądały. To téż przybycie wozów tajemniczych Medarda natychmiast nową postać nadało dworkowi szlacheckiemu. Stało w nich sprzętu na ubranie daleko obszerniejszego

domu. Poczęła liczna służba uwijać się, wedle rozkazów pana, około przybrania izb i stały się okazami komnatami. Podłogi ponakrywano kobiercami, stoły oponami, ściany makatami; gdzie tylko miejsce się znalazło, tam rozrzucano naczynia: pułhary, zegary, roztruchany, kufle, dzbany, konwie srebrne, oreż wspaniałe i osobliwe... Przybrało się to do niepoznania — po pańsku, a Pełka wnet po rzemieślników posłał, bo mu tego wszystkiego było mało, chciał dom przerabiać... chciał kamieniem wykladać ganki... i słupy do galeryi kuć w Chęcińskich górach... a ogrody zakładać i sadzawki kopać...

— Gołczwia mi się tu musi odmienić! mówił do siostry i szwagra, że jej nie poznacie — zrobię z niej cacko!

Wszystkie jednakże te plany i planty rozbiły się bardzo prędko, gdy z Horbowa powrócił do-wiedziawszy się, że wojewodzinę Proński zaswatał. Właśnie był Laskowski do niego przyjechał gdy wysiadał po odwiedzinach u podczaszyny. Weszli razem do izby... Medard padł na ławę jako pobity i zwyciężony.

— Wystawże sobie, panie szwagrze, odezwał się — już ta baba przez Godziembę o moim powrocie zawiadomiona, tak poprowadziła sprawę, żebym córkę zaręczoną zastał. A przyjęła mię jak psa... tylko żem na to nie baczył!

Ale — dodał — rozpoczęła ona — nieskończona

to jeszcze rzecz... zobaczymy kto wygra. Wojewodzina jest panią swój woli, serca ma dla mnie dosyć, wyrwę ją z tej opieki matczynój, nim znowu staremu sprzedana zostanie.

Nie wypadało natychmiast jechać nazajutrz, a nie spodziewał się Medard, by mu tak uciekły prędko. Tymczasem... podczaszyna go ubiegła!

Popędził więc do Gołczwi nie dając za wygraną, żeby się zaraz w podróż gotować i w tropy lecieć... Gotowało się w nim od gniewu i zapalczywości wielkiej.

Ledwie w ganku, przywołał marszałka i nakazał do podróży się gotować.

— Pilna sprawa, rzekł, dziś jeszcze wieczorem wyruszę. Konie, troki, wozów dwa z podróżnemi rzeczami, ludzi dziesięciu dosyć...

Marszałek chciał rozpytywać, gdy na starym dereszku nadbiegł pan Godziemba, przyjaciel podczaszyny, który się był do Gołczwi obiecał. Przybycie jego za nowy jakiś podstęp lub zdradę biorąc, Medard mruknął tylko na ludzi, aby milczeli i przyjął go wesoło.

— Widzę, rzekł, że waszmości panie łowczy jak i mnie odprawiono z Horbowa i z przed nosa nam bogdanki dmuchnęły. A! dokąd? szukaj wiatru w polu!

— E! e! zawołał Godziemba ściskając go — łatwiej je pono znaleźć i dogonić, niżeli wiatru w stepie... Nie ma w tém sekretu, choćby chciano

go robić... Podczaszyna mnie całe życie zwodziła, a waszmości nie nawidzi... Wyrwała się z wojewodziną... aby ją coprędzej za Prońskiego wydać. Ot — co jest... Do Warszawy pojechały...

— Ja też za parę dni mam sprawę do stolicy...

— A no — przyjedziesz waszmość powinnować państwu młodym, z których jedno dobrze stare — wzdychając odezwał się Godziemba. Takie nasze przeznaczenie!

Wierz, nie wierz, dodał wszedłszy do postrojonych izb, wśród których się rozglądał ciekawie łowczy — wierz nie wierz... jak stary jestem tak głupi... i płakać mi się chce, że mnie ta kobieta bez serca tak zwodzi.

— Plunęłbyś i porzucił! krzyknął Pełka.

— Dobryś! — pluńże i porzuć jegomość wojewodzinę, a daj mi dobry przykład...

— To co innego! westchnął Pełka.

— Nie ma wcale nic innego — mówił siadając stary: kocham się tak samo w matce, jak jegomość w córce, tak samo jak wy, widzę jej wady i defekta, czasami się brzydę, a przyrośłem do niej duszą i sercem, i stałem się niewolnikiem. Nie męzka to rzecz, powiecie! a właśnie, że tylko męzka, bo żadna baba tyle nierozumu nie ma w kochaniu co my...

Jak któremu dadzą za młodu tego napoju (bom przekonany, że mnie napoili — dodał cicho Go-

dziemba — przysięgłbym na to) — całe życie szaleć musi.

— A cóż myślisz panie łowczy? zagadnął Pełka.

— Albo ja sobą władam? wykrzyknął Godziemba. Gdybym miał rozum, myślałbym do domu jechać, gospodarować i z siwym włosem na pośmiewisko ludziom, a babie na igraszkę się nie podawać... a no — rozumu nie mam, więc pewnie skorci i pojadę za podczaszyną... takim, z pozwoleniem, głupi.

Godziemba szczerem się być zdawał...

— No — a waszmość co myślisz? zapytał.

— Słowo w słowo to samo co wy. Gdyśmy jednak chorzy — odezwał się Pełka — radźmyż obaj...

— Stękałmy obaj — rzekł Godziemba, bo my nie poradzimy na podczaszynę.

Zbierało się na wieczór, i Godziemba widocznie chciał zancocować, skłopotalo to Pełkę, bo mu wyjazd tamowało, a tu czas płacił, czas tracił. Musiał pospieszać. Nie było więc sposobu tać się dłużej.

Kazał co prędzej wieczerzę dawać, a do drogi się ludziom sposobić — ale nie mówił nic.

— Uczynicie mi przecież tę łaskę, że zancocujecie u mnie — rzekł przy wieczerzy.

— Anim się ruszać myślał — odparł Godziemba.

— Trzymam za słowo — mówił dalej Pełka — chociaż przeprosić muszę, bo mnie sprawa pilna zmusza na kilka godzin z domu wyjechać. Znajdziecie w Gołczwi wszystko na wasze rozkazy...

Godziemba się popatrzał z uwagą w twarz mówiącego.

— Żartujesz, czy drogi pytasz! Zawołał. — Za kogoż mię masz sądząc, iż nie odgadnę co się tu święci? Chcesz gonić podczaszynę! E! gdybym ja z waszecią, a deresz mój z waszym koniem dotrzymał, dalipan kopnąłbym się z wami... Jedyna okazjka!

— Porachujcie się z kośćmi waszemi — odezwał się Pełka — za deresza dam wam mojego astrachańca, który chodzi kłusem ogromnym, a nosi jak w krzeselku... deresz na stajni u mnie zostanie... *Miseri succurere disco...* Uśmiechnął się pan Medard: — chcesz jechać — jedź. Któż wie! może gdzie podczaszynę spotkamy, to wy mi ją będziecie trzymali na uwięzi, gdy ja córkę sobie zagarnę.

— Dalipan — zgoda — krzyknął kielich wychylając Godziemba — i niech ci Bóg płaci. Jedziemy... Pasa ściągnę... przeżegnam się i chociam stary... ale jary!

Tak się tedy złożyło, że obaj wyruszyli nie poczekawszy nawet, by wieczerzę wydychać.

Droga wiodła mimo Horbowa, i zaraz przy pierwszej gospodzie zaczęto języka się starać. Wska-



zano im gościniec, którądy podczaszyna z rana jechała; że jednak w pobliżu ludzie namówieni być mogli, sprawdzano później co wioska. Nie było wątpliwości, iż uciekały do Warszawy, gdzie się właśnie na sejm zbierało, a że ówczesne drogi większe jedyne były, któremi kolebki z kobietami, koczki i karoce przejść mogły, uciec w bok gdyby chciały nie potrafiłyby... Nad ranem łowczy, gorzej niż koń jego bokami robił, a Pełka pędził.

— Miłosierdzia, mój kawalerze, bo nieboszczyka dowieziesz do stóp podczaszyny — wołał — wypocznijmy! Kochać się piękną jest rzeczą, *probatum est*, ale żyć jeszcze lepszą. Dopóki siedziałem na dereszku, z którymśmy się zrosli, miarkował on lepiej nademnie, ile ja wytrwać zdołam, i stawał sam czując, że mi wypoczynek potrzebny; a z tym djablím astrachańcem nie ma sposobu... szedłby dwa dni i dwie noce, bez jadła i spoczynku...

Juściż baby w czwał nie pojedą, ani nocą... a karku kręcić dla nich nie warto...

Choć Medard pono innych był usposobień i zdania — zatrzymał się przecież nad ranem, aby Godziembie dać odetchnąć. Ten gdy do gospody wszedł, a słomę zobaczył w kącie, nie pytając, kto na niej niedawno leżał, padł byle się wyciągnąć i kości wyprostować...

Wedle opowiadań ludzi, podczaszyna musiała nocować w najbliższém miasteczku, bo wieczorem

tu ją widziano. Powinni więc ją byli przed południem napędzić. . .

Konie zhasane równie jak łowczy potrzebowały spoczynku trochę. Gotowano jajecznicę i bigos... Ranek był chłodny. . . Trzeba czemś było zapić. . . Godziemba na pociechę w troskach uraczył się, a podjadłszy, nim koniom zęby przetarto i napojono je, zdrzemnął się w słomie.

Gdy wszystko gotowe było — poszedł go Medard budzić. Z trudnością się to dało przyprowadzić do skutku.

Otworzył wreszcie zaspane oczy, i długo nie mógł zrozumieć, ani gdzie się znajdował, ani czego od niego chciano. . .

Czas upływał, Medard się niecierpliwił. W ostatku przyszedłszy do siebie, zrozumiał łowczy swe położenie, i czego po nim wymagano. Lecz słaba ludzka natura, wyczerpanemi siły dalej mu służyć już nie mogła — spuścił głowę na piersi, westchnął, po łysinie ręką się pogładził.

— Miły Pełko — rzekł — zbytem o sobie wiele rozumiał... Astrachaniec wprawdzie nosi jak w krzeselku, lecz kości rozłamuje. . . Nie czuję w sobie odrobiny ani mocy, ani ochoty gonienia dalej podczaszyny... Co tu począć? Nie mam nawet ani myśli, byście mnie swojego bachmata zostawili, a szlachcicowi bez konia tak osieroconemu w gospodzie się znaleźć *ignominia!*

— Ale ja waćpanu astrachańca zostawuję chętnie — odezwał się Pełka, tylko mnie żywego puszczajcie, bo mi pilno.

Godziemba rzeczywiście dalej nie mógł. Porzucano go razem z koniem, a Pełka jechał dalej. Był pewien, że podczaszynę tegoż dnia napędzi jeszcze, i koni nie żałował... Do wieczoru jednak śladu nie było, a co gorsza, i języka o niej dostać niepodobna. Przesuwało się pod ów czas sejmowy tyle ludu różnego do Warszawy, iż nikt nie mógł dokładnej dać wiadomości.

Tém niepowodzeniem utrapiony jechał Medard ku stolicy się coraz zbliżając i już wreszcie doścignięcia w drodze podczaszyni straciwszy nadzieję, gdy na ostatnim noclegu w gospodzie spotkał się ze dworem jakimś nie bardzo okazałym i sutym, tak, że mu on zrazu na Prońskiego dwór wyglądał, zwłaszcza, że go książęcym nazywano. A że w nim kobiety téż były i mężczyzna jeden po cudzoziemsku ubrany, prawie pewien już, że podczaszynę doścignął, wparł się do gospody.

Zawiodła go jednak nadzieja, bo dostawszy się do wnętrza, poznał zaraz błąd swój i ludzi innej mowy i obyczaju, i nareszcie nazwisko inne, znane, któregoby nie przybierali.

Dwór to był pański, poważny, nie mnogi wcale, cichy, układny, ludzie po większej części starzy, służba siwa, chodząca na palcach. Na pierwszy rzut oka dwoje tu poznać łatwo było: jakąś wielką

przeszłość i smutną a zbiedzoną terażniejszość. W istocie dosyć było nazwiska, ażeby, zrozumieć dla czego szczątki wielkich dostatków łączyły się tu niemal z ubóstwem... Podróżną jadącą z synem była wdowa po wielkim Jeremim Wiśniowieckim, wnuczka Zamojskiego, święta a pobożna pani, z najbogatszej na całą Rzeczpospolitą, dziś zesłała na najuboższą z tych, co tytuł i pamięć wielką do dźwigania miały.

A znać też było, iż w wyszarzanych sukniach chodziło dostojęństwo ducha nie zmniejszone, i pięknie było temu bohaterstwu w szarych szatach bez złota. . .

Bohaterowi, co walczył życie całe, wystawując swoim kosztem pułki całe, prowadząc wojny o groszu ostatnim, nie pozostało nic nad pamięć ofiar... i żal, że owocu nie przyniosły... Synowi pobłogosławił, nie zostawując nic prawie na życie podobne... poświęceń bez zapłaty...

Chciał się Pełka wycofać z gospody, czując natrętnym, mu gdy młody ksiązę Michał, którego już był w życiu spotykał, drogę zastąpił — a poznawszy go, uprzejmie prosić zaczął, żeby pozostał, ręcząc, że się razem pomieszcza. Wzdragał się z razu Pełka, lecz miłą grzecznością Wiśniowieckiego ujęty, pozostał w końcu.

A że księżna pani w osobnej izbie spoczywała z jedną tylko panną z fraucymeru, bo naówczas na większy już poczet nie stawało, ksiązę Pełkę do

swojej izdebki wziął... Tu się najlepiej przekonać mógł Medard o ubóstwie księcia, o którym już był słyszał, bo sobie o nim naówczas cała Rzeczpospolita rozповідаła. Wstyd mu niemal było własnego dostatku, widząc pańskie dziecię tak skromnie wyposażone.

Książę Michał, acz z cudzoziemska wyglądał, bo był w części za granicą i przez obcych wychowany, a z wielkim rygorem, skromnością i słodyczą charakteru ujmował. Nosił się po niemiecku i mówił kilku językami doskonale, — a no, żołnierska, kozacza, bohaterska dusza ojca jeszcze w nim rozkwitnąć nie miała czasu. Nieśmiały, cichy, małomowny, zdawał się przybitym wspomnieniem tego, którego imię nosił.

Rzadka naówczas charakteru skromność i łagodność, grzeczna pokora wielkiego pana, który się zdawał lękać obrazić, aby nie być zmuszonym odierać wzajemną obrazę i godność swą łatwiej zaszanować — nadawała księciu powab ujmujący. Zadumanie i smutek malowały się na twarzy bladej i choć młodej a już jakby życiem zmęczonej.

Pełka mając poszanowanie dla wielkiego imienia Jeremiego, którym długo brzmiała Rzeczpospolita, trzymał się dosyć z daleka od księcia — ten go wszakże do poufałości zachęcał i ciągnął.

Wiózł książę do Warszawy matkę potrzebującą spoczynku, lekarza i przyjaciół, coby jęj pomogli dźwignąć nieco resztki już tylko drobne wielkiej

ruiny. Z milionowych dochodów zostały teraz matce i synowi tak szczupłe intraty, iż królowa nieboszczka litując się o ich ubóstwo, księcia Michała własnym groszem podtrzymywała. Nie taił się z tém oplakując jój zgon... i utyskując nad stratą przez króla poniesioną.

— Nie tajna to, rzekł w końcu, iż królowi Jmci troski już panowanie obrzydziły, a śmierć królowej życie i królowanie ciężkiem czynią. Mówią o abdykacyi — a czy nam, postradawszy ostatnią krwi jagiellońskiej kroplę, lepiej będzie z nowymi panami? Bóg tylko wiedzieć raczy...

Pełka też czarno dosyć czuł przyszłość.

— Słyszeliśmy i wiemy wszyscy — odpowiedział — iż nam stręczą Kondeusza, wojownika sławnego, jakiegoby nam też właśnie potrzeba. Lecz miasto mu ułatwić elekcję, przyjaciele i sama królowa Jmość wielce mu ją utrudnili. Szlachta się wzdryga narzuconemu panowaniu i wszelkiej gwałtowności. Nim przyjaciół miał czas pozyskać, wrogów mu poczyniono.

— Prawda to może — rzekł Wiśniowiecki — że i dla tegoby król Jmość dobrze uczynił piastując obyczajem ojców berło do końca życia, aby się namiętności czas miały ukołysać i wszystko poszło obyczajem a porządkiem dawnym... Ciężkoby się kto o ten tron zgłosił chętnie, z którego oto drugi już monarcha uchodzi...

— Pierwszy się dla nas nie urodził, odezwał się Pełka; obcy nam był i pozostał. Obyczajów naszych przyjąć nie mógł, ani nam swoich wszczepić... Lękam się, by to i Kondeusza nie spotkało, bo inna to rzecz Francya, a inna nasza Rzeczpospolita...

— Niech Bóg radzi o swęj czeladzi! rzekł książę Michał spokojnie. Gdy do elekcji przyjdzie, on rozstrzygnie... komu naznaczyć, by na czele narodu stanął... a no — nie zazdrosne to brzemię...

Mówili tak długo w noc o ludziach i sprawach różnych; a poznając się bliżej z księciem Michałem, coraz większą dlań czuł Pełka sympatyę. Nigdy dziecka magnata nie spotkał, któreby się tak swego świetnego pochodzenia wstydziło i tak o niēm drugim zapominać kazało.

Gdy nazajutrz rano wyruszyć mieli podróżni, Pełka przekonany, iż podczaszynę wyprzedzić musiał, zhasane mając konie, postanowił pozostać w gospodzie dłużej. W oczach więc jego wyciągał ten dwór książęcy wdowy Jeremiego, na który patrząc ła mogła zakreścić się w oku. Kolebka była stara i połatana w domu, konie niegdyś piękne, chude i stare, dwór cały niemal ze starców złożony... ale z ludzi, co nie mieli serca opuścić swęj pani, choćby z nią i głód cierpieli. Książę Michał koni miał kilka nieszczególnych, służbę małą i przyodzianą zbyt skromnie. Lecz wszystko to razem obudzało większe poszanowanie, niż najwystawniejsze poczty

nowych magnatów, których też same wojny wyniosły i zbogaciły, w jakich Jeremi wszystko co miał utracił.

A gdy wiedziona przez syna, wyszła owa wnuka wielkiego hetmana, wdowa po wodzu wielkim, w czarnych szatach wytartych, w futerku popielicowém ubogiém, z różańcem u pasa, zakwefiona, zgięta wiekiem i bolem — wszystkie się głowy skłoniły przed nią mimowolnie. Ks. Michał przedstawił jój Pełkę, który o ten zaszczyt prosił. Staruszka, oczy zbladłe podniosła nań mileżąca, i uśmiechnęła mu się łagodnie.

— Kochaj waćpan mojego syna, a bądź mu przyjacielem proszę — rzekła cichym i spokojnym głosem. Słyszałam wasze wczorajsze rozmowy, choć — Bóg widzi — podsłuchiwać myśli nie było... Podobałeś mi się waszmość ze szlachetnych sentymentów i radabym go przyjacielem syna widziała. Mój Michał ma ich niewielu, mało kto poznał go lepiej, cichy jest i nadto skromny... Radabym mu serc więcej pozyskać, bo ludzie z ludźmi żyć powinni... .

To mówiąc, podała rękę Pełce, który ją z poszanowaniem ucałował.

— Jedziesz waszmość do Warszawy... ja tam też mieszkać będę; dowiesz się łatwo o domu moim... odwiedź nas proszę... miłym nam będzieś gościem... .



Pełka odprowadził hetmanową do powozu, w którym i syn zajął miejsce, a na przedzie podżyła ochmistrzyni. Reszta dworu na dwa wozy i kilka koni się pomieściła. Dziwna sprzeczność była we wszystkim, bo co tylko z dawnych pochodziło czasów, kosztowne było i wspaniałe, co nowsze raziło obok prostotą... A że nikt nie myślał ukrywać ruiny, bo się nią prawo mieli pochlubić przed światem, szła tak na dziwowisko ludzi spokojna w sumieniu... i mało kto spojrzał na nią...

Długo Medard patrzył na oddalających się, i przypadkowe to spotkanie wiele mu dało do myślenia... Pospolite to ludzkie losy a sprawy powszednie, że kolosy padają a maluczcy rosną na olbrzymów; ilekroć jednak spotka rodzinę lub człowieka doła taka — smutkiem i trwogą napełnia... Pełka przypomniał sobie własną ruinę i zbogacenie... i niemal się zawstydził swoich ludzi, koni, szat i dworu, widząc co zostało synowi Jeremiego...

Przecież w ciągu całego wieczoru i dłużej rozmowy, nie wyrwało mu się słowo jedno utyskiwania i żalu przeszłości, — niósł wesoło ubóstwo swe, nie wspominając nawet przeszłości. Z tęsknieniem jakimś uczuciem pozostał Medard w progu gospody, patrząc na oddalający się zwolna powóz i dwór Wiśniowieckich, gdy z drugiej strony na gościńcu turkot wozu dał się słyszeć i uwagę jego odwrócił. Uderzyło go to, iż za wozem biegł koń wielce do

astrachańca podobny, a na wozie siedział ktoś mocno przypominający Godziembę. Już mieli minąć gospodę nie zatrzymując się, gdy Pełka poznał konia i krzyknął: Stój!

Odwrócił się drzemiący łowczy i oczy przetarłszy, gdy postrzegł Pełkę, uśmiechać się począł, lecz kwaskowato.

— Cóż to się waszmości stało? zapytał przyskakując Medard. Siodło na wozie, szlachcic w półkoszku, a mój astrachaniec luzem...

Godziemba wstawał, ale mu było nieraźnie.

— Zechciałeś waszmość! stare kości a młode affekta, aż mi wstyd... Na koniu już gnać się nie mogłem, a zostać nie chciałem... nająłem sobie wóz... przynajmniej waszmości astrachańca nie osednię.

— Miałeś waszmość powracać? spytał Medard.

— Tak jest, miałem! potem przyszły refleksye, tęsknota — to i owo...

— Mów waszmość szczerze... przerwał Medard. Coś mi kryjesz...

— Dowiesz się aż nadto wczesnie, westchnął Godziemba.

— Co się stało? chwytając go za rękę krzyknął Pełka — mów a nie cedź!

— Baba z pozwoleniem, wywiodła nas w pole — zamiast do Warszawy, pojechała do Lublina na ślubowiny i przyspieszyła je... a teraz jest już

w drodze do Warszawy, ale przybędziemy — po harapie.

— Zkądżeś się to waszmość o tém dowiedział?..

— Dominikanina spotkałem, który z Lublina jechał. Nimem się z téj słomy wygrzebał, furka go tam do gospody przywiozła... A żem znał go, bo na kapelanii u podczaszyny bywał i spowiednikiem jój jest, sam mi się zaraz ze wszystkiém wygadał... W Lublinie było gotowe już co trzeba do ślubu, najmniej pono pani młoda, bo ta długo się wzdragała, ale z taką matką nie ma sposobu... Dała ją księciu i pojechali na dwór się przedstawić, a potem w dalszą drogę. Żal mi się waszmości zrobiło, chciałem go dogonić, a astrachaniec doskonały koń, tylko nie na moje kości — wziąłem furę, aby ci oszczędzić daremnego strapienia — bo tu nie ma co począć, tylko powracać...

Twarz Pełki okryła się dziwnym jakimś smutkiem spokojnym. Godziemba się wybuchu spodziewał, a znalazł jakąś rezygnacyę upartą, ufną w siebie, żelazną.

Nie wrócę jako żywo — rzekł Pełka — owszem, jeśli na długo mam ją utracić — boć nie na zawsze, da Bóg, to ją choć zobaczę...

Westchnął mówiąc...

— I wystąpisz im na oczy, aby podczaszyna sobie z jegomości drwiła, że mu szyki pomieszczą?

— Nie będzie śmiała drwić gdy mnie zobaczy — odezwał się Medard z pewną dumą. Szydziłaby

może, widząc mnie pomieszanym i przybitym; ja jęć się pokażę spokojnym i ufny... bo to nie koniec! to nie koniec! dodał Pełka. Dwa razy mi ją wzięto — no! do trzech razy sztuka. Zobaczymy... Książę Proński nieśmiertelnym nie jest.

— A waszmość? spytał śmiejąc się Godziemba.

— Jam trochę młodszy — rzekł Pełka, — no — i myślę, że mi Pan Bóg stałą moją miłość nagrodzi...

— Więc jedziemy do Warszawy? spytał Godziemba.

— Niech tylko astrachańcowi zasypią obroku.

Tak się też stało — Godziembie zwarzono jeść, koniowi dano owsa, a gdy ludzie i szkapy wypoczęły, siedli już nie pędząc wcale i dążąc do stolicy... A tu już na zbliżający się sejm ludzi jechało zewsząd tylu, iż gościniec był jakby wojskiem nabity. Z różnych stron szlachta, w różnych strojach i rynsztunkach ciągnęła. Poznać było można każdą ziemię i województwo, byle szlachcic usta otworzył, bo choć mowa jedna, ale śpiew jęć był różny. Więc na gościńcu nieznajomy nieznajomego witał pana brata i wnet się po staremu kleiły drużby, bo wszyscy byli niby jedną rodziną. Znali się z dala nie widząc, z nazwisk, z kolligacyj, z herbów, z charakterów; dosyć było imienia, żeby się z niego cała nieć wysnuła i napytał jakiś związek.

Szlachta ciągnęła sobie, panowie osobno, a choć między magnatami i szaraczkami często nazwiska

i tarcze były podobne i jedna krew łączyła wszystkich, czuć było, że to dwa obozy, które na się ukosem patrzyły. Kłaniali się jedni panom senatorom nisko, drudzy sobie z nich nielitościwie drwili... a gdy w gęstszy tłum panów szaraczków wsunęła się kolebka senatorska z niewielkim pocztem, sobolowy kołpak kłaniał się nisko, bo z zawadyakami nie było co żartować.

Pod zły humor a butę jak nicby na szablach roznieśli. Umieć trzeba było chodzić koło nich i obejść się z nimi.

Po ruinach szwedzkich znowu się wznosiła Warszawa i świeciła murami i nowemi dachy kościołów. Gdzieniegdzie tylko stały jeszcze ściany okopcone i porośłe wały, a szanice przypominały wojnę.

Głośno już mówiono o królewskich zamiarach, bo się wieść była rozniosła, iż mu korona obmierzła. Burzyli się jedni, gniewali, a cieszyli drudzy, gdyż elekcję za złotodajną krowę mieli. Chodziło projektów podostatkiem kogo królem obierać, a mało kto swojego już kandydata nie wiozł za nadrą. Chcieli niektórzy takich, którym się o koronie nie śniło... a bez wielkiej żałości rozstawano się z Kazimierzem, którego panowanie ani jemu szczęścia, ani drugim dobra nie przyniosło...

„Żadnego pokoju nie mieliśmy — mówili ludzie — po wsze czasy jego, ani wesela, ale zawsze w smutku i trwodze w pół z płaczem dniśmy prowadzili nasze.“

W tak nieszczęśliwy czas owego sejmowego zbiegowiska przybywając do Warszawy, Godziemba się już trwożył, że im może obozować przyjdzie gdzie dachu nie znalazłszy a namiotów nie mając, lub bodaj do klasztoru pod klauzurę się wpraszać, gdy mu Pełka oświadczył, że wracając z podróży dwór tu sobie kupił i ciepła izba ich nie minie, bo przodem już sługę posłał, aby się tam do przyjęcia miano. Ucieszył się łowczy wielce miłą nowiną, bo właśnie most przebywali wśród takiego tłumu, iż się zdawało, jakby go miasto pomieścić w sobie nie mogło...

— Gdybym i ja wiedział, że gdzieś się zatraciwszy na lat kilka, potem się znajdę na powrót tak jak waszmość z trzosem nabitym i dwory po miastach, a wsi po województwach będę kupował — choćem stary, rzekł Godziemba, ofiarowałbym się na one rekolekcyje... Ależ mi na miłość bożą objaw, kędy się poławiają owe złote ryby?

Pełka namarszczył się i pochmurniał.

— A no mi waszmość powiedz lepiej, odparł, na co się to wszystko przydało, kiedy kto szczęścia nie ma? Kupić go i za największe pieniądze nie można... Kłamała podczaszyna zaręczając mi za to, iżbym i Jadwisię miał, gdybym wcześniej pieniędzy dostał... Doli poźrzeba i szczęścia a nie złota, aby człowiekowi na świecie dobrze było.

Zbity z tropu Godziemba już nie odpowiedział nic, a pytać na nowo nie śmiał o ową tonię szczęśliwą, o której nikomu Pełka słowa rzec nie chciał.

Zajechali do dworku, gdzie z podziwieniem łowczego, wszystko znaleźli czego dusza mogła zapragnąć, bo i stół nawet nakryty, i na misach wielkich podane jadło wyśmienite, i wino wystawę, i tuwalnie szyte, i nalewki pozłociste. On co się był w Gołczwi nie mógł napatrzeć dostatkom Pełki, obrachowując na grzywny srebra i na talary bite sprzęt bogaty — tu nowy znalazłszy a równie kosztowny — prawie oniemiał.

— Zkąd ten człowiek mógł jednak to wszystko wziąć i co zrobił, ażeby to sobie wysłużył? To zagadka, mosanie, mówił w duchu do siebie Godziemba. A jużby też trzeba być ostatnim gapiem, żeby z człowiekiem się przyjaźnić, u niego żyjąc, z ludźmi i służbą obcując, nie dowiedzieć się, zkąd się to wzięło?

Albo mi się przez sen wygada, albo po pijanemu zdradzi, albo mu wyciągnę tajemnicę tę na słówko jak na wędkę, a że wiedzieć muszę, to muszę...

Tegoż samego dnia jeszcze Godziemba podjadłszy dobrze, puścił się na zwiady, czyby gdzie podczaszyny i córki jej nie znalazł. A było to zadanie nielada, czasu sejmu odkryć tu kogo, zwłaszcza kobiety, chybaby los je dał spotkać na ulicy, bo nikt nikogo nie pytał zkąd przybywał, jak się zwał, ani

co robił, a uchowaj Boże! było szlachcica o to zaczepić, śmiertelnieby się uraził, iż go śmiano badać jak włóczęgę...

\* \* \*

Dwa dni potrzeba było pracowitym nogom i niemniej żwawemu językowi łowczego, aby odkryć miejsce pobytu pani podczaszyny. Znalazł wreszcie jejmość swą i pierwszy się jój przedstawił, zapowiadając razem Pełkę.

— Nie uciekłyście nam — rzekł całując pulchną rączkę, — widzisz asińdzka, co to wierna miłość znaczy.

— Pełki tego, tom się domyślać mogła, ale co waszmości, tom się nie spodziewała — odezwała się podczaszyna...

— On mnie téż *volens nolens* pociągnął — dodał łowczy, — bo to człek woli żelaznej...

Podczaszyna brwi ściągnęła.

— Daj mi pokój, rzekła — to zbój!

— A kogoż zabił? spytał Godziemba.

— Mów nie kogo, ale ilu? a zkądżeby te jego bogactwa pochodziły, jeśli nie z rozbojów? Gdzież to się kopią takie precyoza i klejnoty, i dostatki tak, aby nikt o tém nie wiedział, i żeby się z tém taić potrzeba? Oczywiście rzecz, iż pochodzenie ich nieczyste być musi.

— Któż to wie? szepnął zamyślony Godziemba — prawda, że się tai, ani słowa — to zły znak...



— Ja wiem, że się go boję — dodała podczaszyna.

— A oń nie mniej pani się pono lęka — boś go pani podczaszyna na szczęściu całego życia rozbiła...

Nic nie odpowiedziała piękna pani, popatrzała na łowczego z jakąś niemą pogardą.

Rozmawiali jeszcze z sobą, gdy z drugiego pokoiu wyszła blada i smutna nowa księżna, na którą spojrzawszy stary domu przyjaciel, nie miał jój serca szczęścia winszować. Na twarzy téż matki, która na swoim postawiła, nie znać było wielkiej radości — raczej jakiś gniew w sobie zamknięty, co się wstydział wybuchnąć. Zdziwienie odmalowało się na licu Jadwigi. Matka spojrzała znacząco na łowczego, ażeby się z tęsknością Pełki nie wygadał...

Serce się staremu ścisnęło. Domyślał się, iż mu może zakaze téż Pełce mówić, że ją znalazł, a nie chcąc się ani poddać rozkazowi, ani przekroczyć, wolał uniknąć i co prędzej podczaszynę pożegnać. Wyszedł więc rychło. W domu zastał już Pełkę ubierającego się, jakby w odwiedziny.

— A to dokąd? zapytał...

— Najprzód do księżny... westchnął Medard, a potem do króla Jmci...

— Wiecież o księżnie?

— Od wczora, rzekł Pełka — przecież moi ludzie wyszukać ją musieli... i wynaleźli.

Godziemba nie powiedział mu nic o swęj bytności, i tak się rozstali, a Pełka na zamek jechał. Przybył wszakże w porze, gdy ks. prymas był na radzie u króla, i wskazano mu inny dzień na posłuchanie, z czego prawie rad był. Wprost więc ruszył do podczaszyny i księżnėj.

Nie wzbroniono mu wstępu, lecz sama tylko matka go przyjęła.

Pełka wszedł poważnie, z twarzą spokojną, i nie okazując wielkiego wzruszenia; podczaszyna blada była i drżąca.

— Przybyłem pani podczaszynie i pani exwojewodzinie winszować, rzekł nie siadając i trzymając się z czapką w rękę w środku komnaty — czy jest czego czy nie, to już nie moja rzecz, a obowiązkiem przyjaciela domu dopełnić co należy...

— Przyjaciela domu! podchwyciła podczaszyna z przekąsem; bardzom wdzięczna, że się waszmość przyznajesz do tego nazwiska, ale ja w waszmości tylko sąsiada widzę.

— Jak się podoba — odparł Pełka, — ja z siebie sędzę, pani wedle siebie — to pewna, że najlepiej życzę, choć serce boli.

— Zkądże ten ból? syknęła jejmość.

— Jeśli go pani się nie domyślasz, po cóżbym o nim prawił? — mówił ciągle spokojnie bardzo Pełka. Nie byłbym może ośmielił się natrętnie wciśkać, gdyby nie było obowiązkiem mym oznajmić

téż pani, iżbyś się miała na ostrożności, bo wiem, iż już zaszła jedna omyłka.

— Jakaż to? szydersko mówiła podczaszyna.

— Co do księcia Prońskiego, ciągnął dalej Pełka. Prońskich rodzina nic o nim nie wie, dla tego i w sprawie o spadek odsunięto go. Prońskim być może, ba! i podkomorzym cesarskim, ale nie księciem... Dobra szląskie w piaskach i wydmach długami oberowane... a o samym człowieku różnie mówią...

Podczaszyna słuchała coraz się mocniej rumieniać.

— Gdyby nie był zięciem moim, powiedziała-łabym, aby się z maszmością sam za te potwarze rozprawił, — ale go na jatki i waszmości szablę posyłać nie myślę — więc tylko odpowiem sama wam: że to nasza rzecz a nie jegomości... Trzymaj sobie o nim co się podoba, a my téż o was będziemy to myśleli, co chcemy...

Warga jój drżała, gdy to mówiła.

— Pani podczaszyno, zimno odezwał się Pełka — nie pierwszy raz w życiu spotykamy się coraz nieprzyjaźniej — racz mi pani objawić, com przewinił?

Pokora Pełki, zamiast rozbroić, do najwyższego gniewu przywiodła panią Pocielową.

— Waszmość jak kleszcz wpiłeś się w nasz dom, ze swoją przyjaźnią nieproszoną i nie dzięko-

waną. Nie chcemy z wami nic mieć wspólnego, ani nawet znajomości... Idź waszmość swoją drogą.

— Pójdę niezawodnie — odezwał się Pełka; ale mi pani nie możesz zabronić szacunek i affekt dla pani ex-województyny zachować w sercu...

To mówiąc, skłonił się poważnie i odchodził, gdy z drugiego pokoju weszła powoli dziwnie zmieniona Jadwiga. Pełka aa widok jój się wstrzymał, nie patrzył już wcale na podczaszynę, która wzrokiem go zdawała się chcieć wyganiać; przeszedł bokiem i z litością, jakby dla ofiary postąpił ku młodej pani, witając ją czule. Tém zuchwalstwem poruszona matka, sama nie wiedząc co począć, zwróciła się doń plecami, jakby w pomoc z drugiej izby wołać kogo chciała. Lecz na szczęście księcia tam i nikogo nie było.

Medard podszedł ku Jadwidze.

— Przyszedłem pani winszować i życzyć, rzekł — zmuszając się do uśmiechu.

Jadwiga podniosła oczy pełne wyrazu, i smutny uśmieszek przebiegł po jój ustach; podniosła rękę, jakby mu ją podać chciała, w tém matka odwróciła się i spostrzegła to, i gwałtownie pochwycwszy córkę za rękę, cała zaperzona, gniewna, drugą wskazała drzwi.

— Dosyć tego! idź mi waszmość natychmiast i nie pokazuj się więcej! kwitujemy go ze znajomości, z przyjaźni i z odwiedzin...

To mówiąc, ciągnęła córka za sobą.

Pełka z litością się uśmiechając, stał i patrzył, spokojność jego do reszty wzburzyła rozgniewaną matkę.

— Pani, odezwał się do Jadwigi — widzisz i słyszysz, jak jestem sponiewierany — choć za prawdę na to nie zasłużyłem... Nie sądź jednak, żebym wziął to do serca... Proszę nie zapominać, że przysiągłem na niem nosić jej barwę, a w niem pamięć o was... i gdybyś pani kiedy pomocy, dłoni, opieki potrzebowała — racz się o nią udać do mnie... Choćby z drugiego końca świata przybędę...

— Spojrzeli tylko na siebie, Jadwiga opierała się jeszcze, matka silniejsza pociągnęła ją już gwałtem i obie znikły za zatrzasnkującymi się drzwiami.

W chwili, gdy miał Pełka wychodzić i zmierzał do progu, ukazał się na nim nieznajomy mu z osoby książę Proński. Domyślił się tego Pełka łatwo z opisów, a on też musiał odgadnąć w nim nieprzyjaciela, bo się oczyma zaiskrzonemi zmierzylili obaj stając przeciwko sobie.

Podczaszyna, która czy sądziła słysząc drzwi odmykające się, że Pełka wyszedł, czy domyśliła się powrotu księcia, wbiegła rzuciwszy Jadwigę, do pierwszej izby.

Medard obróciwszy się spostrzegł ją i miał tyle zimnej krwi jeszcze, że się odezwał:

— Może pani podczaszyna zechce mnie księciu przedstawić, abyśmy, gdy się zdarzy gdzie w świecie spotkać, obcymi sobie nie byli.

Tego już było za nadto, zapomniała się pod-  
czaszyna.

— Tak! należy, abym waćpana przedstawiła księciu — zawołała trzęsącym się głosem: jest to sąsiad nasz pan Medard Pełka, o którym mu podobno wspominałam — który nas raczy ścigać i prześladować, i swojemi affektami pokoju nam nie daje... Czasu wojny szczęściem znikł był nam z oczu na lat kilka, i zjawił się chwając nie wiedzieć jak nabytemi bogactwy... a dziś przybył nas łaskawie ostrzedz, że księżę jesteś może Prońskim, ale pewno nie żadnym księciem, i że dobra szląskie trzech szlągów złamanych nie są warte.

Mówiła tak prędko, iż pochwycony nagle tém położeniem niespodzianém, księżę stanął jak wryty... Był to człowiek wytrawny, zimny, dworską służbą do hamowania się snać przyuczony, polityk wielki.

Pobladł słuchając i zdając się namyślać co odpowie. Oczyma zmierzył raz i drugi Pełkę, który téż ruszać się nie myślał.

— Nie wiem zkąd waszmość — odezwał się w końcu zwolna cedząc słowa, jakby je ważył — wiedzieć możesz o mojem księztwie i o wartości dóbr szląskich?

— Panie podkomorzy cesarski — odparł Pełka, bo tego tytułu mu nie odmawiam: nie ja mu zaszczytu księztwa przeczę, ale własna jego rodzina. Co się tycze dóbr, kto bywał po świecie, ten zaważać mógł o Zielony Gród i o Kamień...

Proński spojrział nań długo wlepiając oczy — ruszył ramionami i odstąpił odedrzwi, jakby mu drogi do wyjścia nie chciał dłużej tamować.

— Honoru to mojego nie dotyka! odezwał się podkomorzy — wolny sąd każdemu. Kłaniam uniżenie.

Pełka, który sądził, że się to gorzej skończy, skłonił się spokojnie i odszedł do progu, gdy za jego plecami odgrywała się niema scena między podczaszyną a zięciem... Popatrzała nań pogardliwie, szydersko i powróciła krokiem szybkim do córki...

Pan Medard szedł wolno, sądząc, że go dogoni pan podkomorzy cesarski, lecz miał czas i konia dosiąść, i wyjechać z podwórza nie śpiesząc, a nikogo nie ujrzał za sobą. Tak się skończyły te odwiedziny, które groźnemi być obiecywały.

Smutny powrócił do domu pan Medard, rozmyślając co dalej pocznie, bo mu tylko jeden obraz Jadwigi stał na myśli. Postanowił zostać w Warszawie, dopóki by ona tam była, a może i dłużej, bo mu już w Gołczwi i okolicy nie smakowało.

Znać w tej długiej wędrówce, z którą się taił i niej nic nikomu mówić nie chciał, nawykł był do czynniejszego życia; gwar więc miejski potrzebny mu był do niego, a cisza wsi nie smakowała.

Znalazło się też w stolicy, z powodu sejmu znajomych i powinowatych, z wojska towarzyszków i różnych -starych jeszcze ze szkolnych ław braci

a druhów podostatkiem, a tegoż dnia wieczorem zjawił się i Wacek Rożański.

Od owego pamiętnego rozstania nie widzieli się wcale, ani wiedzieli o sobie; najprzód więc wielkiem sercem padli w objęcia jak przyjaciele, których rozłąka przywiązania pomnożyła, nie ujęła.

— Wacku serdeczny! a zkadże mi cię Bóg dał! zawołał Medard...

— Pełko miły, jam cię opłakał! Szczęśliwa godzina, gdy cię żywym i zdrowym mógł ujrzeć...

Ściskali się tedy jak rodzeni, a Godziema przytomny czuł, że tu się już bez kubków nie obejdzie, i ślinę połykał...

Ledwie na ławie posiadali, sypnęły się pytania...

— Gdzieżeś bywał? rzekł Wacek.

— Trzymaj, że na tamtym świecie, śmiejąc się, zawołał Medard. Nikomu o tém nie mówię, a są przyczyny ważne dla czego tak czynię — nie pytaj więc o to, co się dziś ze mnie nawet dla ciebie dobyć nie może. Niech ci będzie dosyć na tém, że mnie zdrowym i całym widzisz. — Cóż z tobą? ożeniłeś się?

— A jakże! westchnął Wacek: pięć już lat temu jak do ołtarza szedłem, dwóch synków dała mi moja Julka... Widziałeś ją?

— A! jakże, choć krótko! owego wieczoru ze Szwedami! zaśmiał się Medard, i pamiętam ją doskonale.



— A no, terazbyś nie poznał, bo mi jeszcze wypiękniała, i owa nieśmiała, rumieniąca się dziewczynina, tak mnie za czuprynę trzyma...

Zatulił usta kułakiem: — No — a ty?

— Jam wolny dotąd jak ptak — westchnął Medard, a raczej skuty niewolnik, bom o pierwszej, którą umiłowałem zapomnieć nie mógł nawet wówczas, gdy o całym sobie zapomniałem... Wojewoda mąż jejmości zmarł — śpieszyłem na głowę, by w czas przybyć, a że mi się sporo grosza przez te lata uciulać dało... myślałem, że matkę skruszę... A no, gdy komu nienawiść i zemstę poprzysięże kobieta, nigdy nie przebaczy. Wydarto mi ją znowu! wydarto mimo jej woli! wołała nie do rzeczy wydać znowu za starego córkę, niżeli mnie do szczęścia dopuścić.

Pełka spuścił oczy i podparł się na rękę...

— Toż mi cię żal szczery! odezwał się Wacek; ale też bracie mój — dodał — nie godzi się ani przeciw wodzie płynąć, ani przeciwko losom się opierać, a życia krótkiego święcić... Z temi kobietami, jak moją Julkę kocham — a!.. wszystkie one podobne! Było sobie twarzyczki poszukać, a posiedzieć, a przystać, a zasmakować, tamtęjbyś zapomniał i byłbyś szczęśliwy!

— Nigdy — odrzekł Pełka — naturę mam upartą, za nią pokutuję... ale mnie nie przerobi już nikt... Rad jestem, żeś ty szczęśliwy.

— W domu! jak w raj — mówił Wacek —

ale po za nim gospodarka! bieda... a łanowe, a podatek, a staje, a nieurodzaj, a posucha, gradobicie... woda... a chłopiska zdradliwe... pokoju mało, kłopotu wiele.

— Gdzież go nie ma! odezwał się Medard — widząc, że niosą kubki i wino... zabijmyż troski winem i siadaj, rozgość się jak w domu... boś u mnie.

— Słyszę, toś i dwór sobie kupił! mówił Wacek — szczęśliwy człecze.

— I Gołzwięm odebrał, — rzekł Pełka, i ziemi do niej szmat cudzej przybędzie, bo mnie na groszu Bóg błogosławił — ale co mi po tém! wolałbym ja inne błogosławieństwo...

Tręcili się kubkami, do których i łowczy przystąpił.

— Przecież z podeczaszyną poszło dobrze? spytał ciekawy.

— Tak — dobrze, uśmiechając się odezwał się Pełka — że mnie za drzwi forowano, a na progu omiał podkomorzy nie pokąsał.

Łowczy się po twarzy uderzył, bo miał zwyczaj taki, Wacek ciekawie rozglądał się po domu i rozłożonych bogactwach...

— Po pańsku u waszeci! zawołał — co się zowie... Dobrze ci posłużyła podróż...

Medard nic nie odpowiedział. Poszli tedy razem po izbach, gdzie zaraz szkatułę bursztynem i kością słoniową sadzoną, misterną wielce ofiaro-

wał na znak druzby Wackowi, a gdy przyszli do sypialni, gdzie oręż był rozwieszony, i samych szabel z garniturami ze dwadzieścia wisało w pochwach bogatych, dodał do niej i piękną szablę, przyczém łowczy, który się bardzo dziwował karabeli jednej, dostał ją na swój dział, bo go też z próżnemi rękami odprawić przy obdarzonym nie wypadało.

Obszedłszy cały dwór i nadziwowawszy się różnym osobliwościom, poszli do stajni. Tu też było się czém lubować, bo koni stało do trzydziestu tak dobranych, że między nimi i jednego nie zobaczyłbyś, coby nad kilkaset nie był wart złotych. Osobno pańskie wierzchowce pod dekami szytymi, osobno woźniki grube, dorodne, silne a dobrane po cztery i po sześć jak bracia rodzeni. Zatém szły niemniej godne widzenia przybory stajenne też pańskie, bo do każdego wierzchowca był rząd i siedzenie dwojaki, na dzień powszedni takie, żeby drugiemu i od święta uszło, i od parady, któremu się było tylko dziwować, bo i to z czego je robiono i robota sama równo drogie były. Sam Pełka miał oprócz tego dla własnego wyboru dywdyków i rzędów kilka, i czubów dla koni swych i wszelkiego rynsztunku wielki zapas, tak, że mógł gdy chciał wystąpić z tatarska, z węgierska, z turecka, i po niemiecku, i po flamsku, i jak mu się żywnie podobano. Do tego kołczanów w łubach szytych bogato co niemiara, było i skrzydeł husarskich...

Jedna kolebka pozłocista i koczce całe, najprzedniejszymi skórami kryte, a aksamitami wybijane, stały też pod dachem. Czemu wszystkiemu Wacek się dziwił i radował, bo miał duszę poczciwą a całe nie zazdrosną — ciekawość go tylko zdejmowała coraz gorętsza nad tém, jak Pełka do tego wszystkiego przyszedł, i gdzie to mógł zdobyć.

Z samych tych bogactw wcale domyślać się nie było można, bo były różnego pochodzenia, i jak pospolicie naówczas w Polsce, z całego snadź świata poprzywożone, ze Wschodu i z Zachodu.

Służba zaś Pełki cała nowa, oprócz jednego Gabryka, który z nim powrócił tak ogorzały, jako i sam pan, a jeszcze więcej milczący — nie wiedział o niczém.

Gdy tak wszystko obesзли, a napowrót przy dzbanie siedli — począł Wacek zręcznie zachodzić ze skrzydła, jakby się co nieznacznie o losach i przygodach Pełki dowiedział — ten jednak miał się dobrze na ostrożności, i choć obaj pijąc się podweselili, a łowczy pił tak, iż podczaszynę kłął, Medard się nie wydał z niczém.

Ani Rożański ani Godziemba nie dobyli z niego słowa, z któregooby cokolwiek wysnuć mogli — a że nie było nigdy w naturze polskiej do zbytku się taić, dziwiło to ich, — nareszcie i wszystkich zarówno... bo do dworku Pełki niejedem zagładał.

Skończyło się też na tém, na czém zwykle lu-

dzie kończą, gdy zagadkę mają przed sobą: poczęto ją rozwiązywać z najgorszego końca.

— Mówcie co chcecie, szeptał nazajutrz Godziemba między swojemi, gdy się człowiek tak tai, że pary z siebie nie puszcza, już tam na dnie męty jakieś być muszą. Gdyby w kraju był, toćby go przecież ktoś kędyś spotkał, więc oczywista rzecz włóczył się za granicą...

Było tego wieczoru szlachty dosyć przy winie, gdy tak rozmawiał łowczy — szczególnie Chełmian, Lubelczyków, Podlasiaków i sąsiedniej Rusi.

— Żeby go nikt nigdzie nie spotykał — odezwał się Mierzwiński niejaki, który służył wojsko wo pod Potockim — tego nie powiem. Opowiadał mi Żabicki, iż lat temu ośm zjechał się z nim na Ukrainie, gdzie podówczas Pełka też żołnierką się bawił.

— Pełka! odparł Godziemba — i ja też niejednegom Pełkę spotykał, bo ich po województwach gosić, lecz czy ten sam, to wielkie pytanie. Na Rusi, w Lubelskiem, na Mazurach, w Sandomierskiem, w Krakowskiem Pełków się snuje dość — młodego mógł spotkać, a nie tego.

— Czemuż właśnie nie tego, gdy go opisuje podobnie? zarzucił Mierzwiński.

Wszczął się spór, podniósł głos Żołudek, który był postarzał i utył ogromnie, że dla brzucha ledwie chodził i tém swe nazwisko usprawiedliwiał — dowodząc, iż fama niosła, jakoby Pełka przez

Szwedów w niewolę wzięty był i w niej długo trzymany, że potem w niemieckim wojsku służył, u księcia jakiegoś w łaski wpadł i obdarzony przez niego powrócił, po śmierci dobrodzieja. . .

Zaprzeczał znowu temu Parafianowicz Rusin, bo ten słyszał za najpewniejszą rzecz, iż w cesarskim wojsku był i w jakimś oblężeniu miasta na skarb wpadł, który mu się prawem łupu dostał. Mówili inni, że w Siczy Kozackiej się ukrywał i z Zaporozcami na miasta tureckie chodząc z czajkami, ztamtąd owe bogactwa przyniósł.

A Grabiński na ostatku przysięgać był gotów, że z Węgier dostatki te przywiózł, i że go widziano, gdy z wozami ładownemi od Bardyowa ciągnął na Spiż i Kraków do domu. . .

W rzeczy jednak samej były to powiastki ukute z tego, że czego się jeden domyślał, to drugi zasłyszawszy już na pewne podawał. Bądź co bądź, jak to u nas bywało, że tajemnica nikomu na zdrowie nie wychodziła, choć ciekawi byli wszyscy tego Pełki i jego fortuny, choć doń chodzili jak na odpust konie i siodła oglądać, i wino wypijać, wszyscy się odwracali od człowieka, którego przeszłość była pokryta jakąś zasłoną, — kłaniano mu się z daleka, zasiadano go słuchać, a w poufałość nie wchodził nikt — jakby się osmolić lękał.

Jeśli kogo to bolało, najwięcej pono Wacka Rożańskiego, który od innych więcej nie wiedział, ale kochał Pełkę i wierzył, że niczém się niepo-

czciwém skalać nie mógł. Uczęszczał on codzien do dworku przyjaciela, a w końcu na dłuższy pobyt dając się namówić, przeniósł do niego. Siadywali po całych dniach rozmawiając o przeszłości lub grając w warcaby; bywało i tęskno, że Rożański chciał więcej ludzi przywabić — odsuwali mu się i wymykali, albo przyczyny nie mówiąc, lub dając do zrozumienia, że im coś w tym człowieku śmierdziało. Parę razy ujawszy się za przyjaciela, Rożański do szabli się musiał brać; markotno mu to w końcu było.

Jednego tedy wieczoru postanowił się rozmówić we cztery oczy.

Odstawiwszy więc warcabnicę — co miał na sercu wypowiadał szczerze, kończąc:

— Wierzaj mi, Medardzie miły — najgorsza to rachuba chceć się ciemnością oblekać — ludzie za to samo potępiają.

— A mnie to co szkodzi? odezwał się Pełka obojętnie — niech sobie mówią co chcą! Kto mi ufa a żyje ze mną, temum tém więcej wdzięczen; kto nieżyczliwy, ten choćby co posłyszał, za baśń weźmie i téż będzie prawil co i przedtém. Nie ma więc nic do czynienia, tylko tém sobie krwi nie psuć i dać im pokój. Gdy przyjdzie czas, to się wszystko wyjaśni.

— A kiedyż czas ten przyjdzie? spytał Wacek.

— Albo ja wiem! ruszywszy ramionami rzekł

Pełka. Juściż, gdyby mi się godziło mówić, tobie-  
bym zwierzył moje przygody — a no — nie pora!

Zaciął się tak na tém, że go już Rożański ru-  
szyć dalej nie mógł — a że przeprzeć postanowił,  
jął mu tedy dowodzić, że i on w końcu za innymi  
idąc porzucić go będzie musiał, gdyż widział w tém  
słuszność, że ludzie jasno w przeszłości przeglądać  
się chcieli.

— Słuchaj Wacek — rzekł Medard, — wolno  
ci czynić co zechcesz. Opuścisz mnie, to cię ze  
łzami uściskam i przebaczę tę krzywdę — a no,  
mnie groźba żadna nie zmusi do postąpienia prze-  
ciwko myśli własnej. Wola twa...

Wackowi go się żal zrobiło — dał pokój, ale  
ciekawość urosła jeszcze.

Gdzie się kolwiek pokazał Pełka z końmi i lu-  
dźmi, oczy wszystkich na siebie obracał. Mężczy-  
źni jeszcze nie tyle może byli ciekawi i natrętni,  
ile kobiety. Dla tych historia Pełki i podczaszanki  
była taką ponętą, iż gdy przez miasto jechał, okna  
wszystkie pełne były i pokazywano go sobie pal-  
cami.

On zaś na żadną kobietę ani spojrział, co naj-  
więcej pono Wacka dziwiło, bo ten choć żonę ko-  
chał, oczyma się bałamucić był gotów zawsze i słów-  
kami igrać.

Nierychło po przybyciu do Warszawy, przypo-  
mniał sobie Pełka spotkanie na gościńcu z Wiśnio-  
wieckimi i zaprosiny księżny wdowy... Namówiwszy



więc Wacka z sobą dla komitywy, wybrali się obaj w odwiedzinę. Ale tu już występu żadnego i parady nie było, aby szlachetnemu ubóstwu wielkiego rodu nie urągać. Wziął Medard i najmniej pokaznego konia, i najpospolitsze siedzenie, i rząd rzeźmienny, i służby niewiele, a sam się czarno odział, od kity nawet spięcie odjąwszy.

Księżna hetmanowa zajmowała dworek mały z wielkiem podwórzem na przedmieściu ówczesném... Został on z prastarych czasów jeszcze, choć nigdy za rezydencję nie służył, a na chwilowy pobyt ledwie starczył. Dziś i tego pobożnej pani dosyć było, bo się tu mało kto zjawiał, chyba z krewnych a kolligatów.

Do bramy rzadko kto zastukał, chyba ksiądz staruszek, lub osiwiła głowa dawnego lat szczęśliwszych przyjaciela, co sobie przypomniał wdowę po Jeremim.

Gdy podjechali do dworu, nierychło otwarto, a posiadawszy z koni, wpuszczeni w dziedziniec, czekali aż im stary sługa wyszedł oznajmić, że hetmanowa rada będzie gościom.

Dwór choć niepokąźny z pozoru, we wnętrzu był pańskim i wspaniałym pamiątkami przeszłości. Zostało z niej aż nadto do przybrania ścian i komnat, które słudzy przywiązani może nad wolę swęj pani przyozdobili. Sprzęt wszystek zdradzał magnata... i tu już nie łatwoby się kto ubóstwa domyślił. Wszystkie ściany wybite adamaszkami

i skórami złożonemi, podłogi kobiercami perskiemi, a sprzętu wspaniałego więcej było niż go mały dom mógł strzymać. Więc od sieni począwszy rozlegały się szafy z zamorskiego drzewa rzeźbione, sadzone, i stoły z marmuru i mozaik, i obrazy, i kredensa jeszcze sreber pełne, ale więcej gliny i cyny, której na wojsko sprzedawać nie było można.

W izbie wielkiej, nieco mrocznej, a obitej ciemno-zieloną materyą, u stołu rzeźbionego na delfinach, siedziała staruszka nad księgą, we wdowim czepcu i zasłonie, skromnie ubrana... przy niej ochmistrzyni też sama, którą w drodze widział Pełka. Na ścianie komnaty wisiał wizerunek hetmana, z podpisem tych słów, które często powtarzał: *Calamitas patriae, lamentatio Jeremiae*. Obok niego wisiał dziad księżny wielki hetman Zamojski, przy którym też owo przyznane mu wyryto: *Sumus electores regum!* Jakby dla przypomnienia, że wszystko ludzkie ulega nieszczęściu i zmiennym losom, naprzeciw wielki przybity był obraz niemieckiej szkoły, Chrystusa wystawujący otoczonego zgrają urągającą się jego koronie cierniowej i berłu ze trzciny... Poczwarne oblicza nikczemnej tłuszczy znęcającej się nad potępionym niewinnie Bogiem—wyraził mistrz ze straszliwą prawdą, zozdzierającą serce... Tak może upadłemu Jeremiemu urągały niewdzięcznych zgraje.

Podniosła się nieco witając gości hetmanowa, a choć im wskazała miejsca, przez poszanowanie usiąść nie chcieli. Księcia Michała nie było, gdyż przy królu się znajdował. Już naówczas mimo zaklęć i prośb, abdykacja królewska była postanowiona i losy kraju przyszłe niepokoiły wszystkich. Jedna hetmanowa z rezygnacją chrześcianki patrzyła w przyszłość.

A gdy rozmowa się poczęła o tém, rzekła:

— Już od śmierci królowej Jmci spodziewać się tego należało; z nią Kazimierzowi największa siła, najzdrowsza rada, najjaśniejszy rozum i najtętsze serce ubyło. Dodajcie żal i zniekanie, jakże to brzemię miał dźwigać?

— Prawda to odezwał się Wacek — aliści dla kraju i srom, i niepewność wielka co mu losy zdarzą; król doświadczenie miał, kraj znał i na sercach mu nie zbywało — a któż wie co spotka nowego?..

— Wierzmy w Opatrzność! przerwała księżna... Przypomnijcie waszmość, co w gorszej może chwili, po śmierci ostatniego z Jagiellonów śpiewał ten, który nam powtórzył pieśni Dawida proroka... Jan z Czarnolasu... -

Przybyli goście spojrzeli po sobie, bo żaden z nich książkami się tak nie zabawiał, aby Kochanowskiego ową pieśń zapamiętał. Więc hetmanowa zwróciła się ku ochmistrzyni, i wskazując jéj otwartą księgę, prosiła aby czytała:

A ochmistrzyni, panna Talwoszówna, poczęła zaraz :

Nie frasuj sobie, Mikołaju, głowy,  
 Kto ma być królem! Już dekret gotowy  
 Przed Bogiem leży, nie piórem pisany,  
 Lecz w dyamencie twardym wykowany.  
 Nie z pół lub nocy, lub dnia, nie ze Wschodu,  
 Ani czekamy pana od Zachodu:  
 Ten królem będzie, kogo Bóg mianuje,  
 Łatwiej on ludzkie serca spraktykuje.  
 Precz krasomówcy! Wywody na stronę!..  
 A my, gdzie w polu, na słupie, koronę  
 Zawieśmy złotą. Jeśli nie mędrszemu,  
 Niech ją da szczęście przynajmniej ręszemu.

Uśmiechnęła się staruszka, gdy czytanie ustało.

— I my też, rzekła, nie mamy sobie co głowy frasować, bo już pretendentów do tej korony tak ciężkiej a cierniowej dosyć jest, jeśli nie nadto... Mamy dawno zapowiedzianego Kondeusza, mamy Nejburga, mamy Lotaryńskiego, jest więc w czém wybierać. A nim do elekcji przyjdzie, drugie tyle jeszcze zgłosić się może.

— Nigdy tronowi kandydatów nie zabrakło — odezwał się Rożański, — ale często narodowi wodzów — więc że się troskamy nie dziwna, a smutna też, gdy pan co nam ślubował opuszcza... .

Na tę rozmowę wszedł powracający z zamku z wesołą twarzą książę Michał, i przypadł zaraz do kolan matki, która go czule za głowę uścisnęła.

A znać było z oczu jój, iż tych u króla odwiedzin ciekawa była i niecierpliwa skutku się dowiedzieć. Na bladłej twarzy jój odmalował się niepokój, wstrzymała rękę syna, patrząc mu w oczy. Zawahał się nieco młody pan, ale prędko przemógł jakiś wstyd i odezwał się głośno:

— Wielce mi był miłościwy król jegomość — anim potrzebował mu się przypominać, bo zobaczywszy mnie i rękę swą pańską do pocałowania dając, odezwał się: „Tak mi jest miła pamięć królowej jejmości, iżbym rad co było żywej wola, po zgonie spełnił. Wiem, że wam dawała pensyę z własnej szkatuły, więc póki królem jeszcze jestem, zapłacę i ja, uważając to za dług święty. . .“

Gdy domawiał tych wyrazów z widoczną radością, księżna podniosła oczy, w których się łza kręciła.

— Niechże mu Bóg zapłaci! za jego serce królewskie dla dziecięcia Jeremiego i pamięć woli nieboszczki. Bogdaj mu wygnanie, na które się skazał, lekkim było i ziemia obca gościnną, i lata ostatnie spokojem, którego nie zaznał na tronie...

Tak ze szczerością wielką spowiadali się z ubóstwa swego, matka i syn... a snadź nie wielki ów dar przychodził w porę do domu ogołoczonego, bo księżę zaraz dodał, iż się do podskarbiego królewskiego udawał, i że mu nazajutrz wypłacić przyobiecano.

Zwrócił się zatem z uprzejmością wielką do Pełki, pytając go co czynił? Na co odpowiadając, przyjaciela przedstawił mu Medard i względem polecił.

Usunęli się wszyscy ku oknu nieco o królu mówiąc i abykacyi... o której rozprawiali wszyscy, i o niczem już mowy nie było po zakątkach najdalszych Rzeczypospolitej, tylko o tym jednym wypadku, a o bliżkiej elekcji.

— Będziemy wszyscy z Kondeuszem i za Kondeuszem trzymali, ozwał się ks. Michał, choćby dla tego, iż nam go królowa nieboszczka życzyła, której dobro Rzeczypospolitej drogie było zawsze... A sławią go też jako wojownika znacznego i ryce-rza, któremu równego nie ma w Europie.

— Jest czas się namyślić do wiosny — dodał Rożański, boć pewnie szlachty nie zwołają wprzód i *interregnum* się przeciągnie... .

Wesoło dosyć rozmawiając, poznawali się bliżej z księciem Michałem, który jedną tylko zbytnią nieśmiałością grzeszył, zresztą umiejac się podobać wszystkim... bo w nim dobroć i chętne serce czuć było. Lecz w synu Jeremiego nie było odwagi ojca, snadź w młodości nieszczęście i troski go złamały i nauczyły pokory... Wśród obcych też żyjąc, nabrał obyczaju nie swojskiego, układnym będąc do zbytku... Grzecznością swą ziębił, choćby się doń radzi ludzie zbliżali.

Chwilę jeszcze na rozmowie tój zabawiwszy, Pełka z Rożańskim pożegnali hetmanową i księcia, który ich do ganku przeprowadził. Kazano konie podać z ulicy na podwórze, a gdy Pełka swojego miał dosiadać, spojrzął nań książe Michał...

— Dzięki królowi Jmci, rzekł, i ja też dawno pożądanego pod siodło konia dostanę, bom, z czém się nie taję, i jednego dobrego nie miał... .

— A cóż się ze stadami książęcemi stało? zapytał Rożański.

— Poszły jedne pod żołnierzy i padły razem z nimi, drugie popędzono za rubieżę nasze! wzdychając rzekł ks. Michał. Już ojciec nieboszczyk opłakiwał ich stratę, mnie się i widzieć ich nie dostało... .

Gdy się rozstali — westchnął Pełka.

— Nie wstydże to Rzeczypospolitej, rzekł, dać synowi takiego ojca zostać bez konia i dworu, bez ziemi prawie i sługi?

— I Rzeczpospolita też straciła ziemię i sługi! rzekł Rożański — a syn jakże do ojca niepodobny! Niemca z niego zrobili nieśmiałego i grzecznego, snadź aby mógł ocaleć w pokoju — bo ten zda się do wojny niezdatny!

— Może się choć późno odezwie krew... . dodał Pełka... .

Smutny widok żałobnego dworku hetmanowej długo im stał w oczach. I nie oni tak jedni czuli żalność na widok zubożenia wielkiego rodu... Naza-

jutrz w ulicy mógł się przekonać Pełka, iż los ks. Michała szlachtę szczególniej bolał i obchodził. Wskazywano go sobie palcami jadącego z małym poczem dwóch ludzi tylko — i skłaniały się przed nim głowy, jakby cień Jeremiego witano...

W niemieckiem paniątku trudno się było domyślić spadkobiercy hetmana, lecz mu i to przebaczano dla miłości wielkiego rodzica.

Wstrzymywał jak mógł przyjaciela Medard, aby mu w stolicy towarzyszem był, lecz w końcu i Go-dziemba za podczaszyną gdzieś wyciągnął, i księżę Proński żonę zabrawszy znikł gdzieś pociągnąwszy ku Szlązku, i Rożański zaczął się do swojej Julki wybierać pilno.

Przyszło pożegnawszy go pozostać Pełce samemu prawie, bo się do niego mimo zaprosin nikt nie garnał... W tém osamotnieniu ledwie nie jeden ks. Michał mu został, do którego czasem mógł pójść i godzinę przebyć na rozmowie... Resztę czasu spędzał albo przy książce, której nie bardzo lubił, lub w stajni z końmi i wiernym Gabrykiem, albo na przechadzce samotnej. Ale mu się na gorszą samotność do Gołczwi nie chciało. Prędzej już mógł się spodziewać zobaczyć tu jakim trafem księżnę, niż na wsi, a był tego przekonania, iż ona tam spróbowawszy cesarskiego dworu, nie wytrzyma, i albo z mężem lub sama do Polski powróci... Myślał, że może potrzebować jego pomocy i opieki, którą jęj przyrzekł, naostatek — sam do-



brze nie wiedział, dlaczego w stolicy został... Jakiś instynkt raczej niż rachuba tu go trzymała; a choć ludzie od niego stronili, nie wiele zważał na to.

\*            \*            \*

Skończył się sejm — abdykacja króla wydała Rzeczpospolitą na łup intrygom nowej elekcji. Cały też kraj się poruszał, a szczególnie czynni byli panowie, senatorskie grono, które w istocie władło szlachtą, i Rzeczpospolitą. Każdy z możliwych miał ogromny zastęp klientów z dawna do swojego domu przywiązanych, a przez nich wpływ na dalsze kręgi po prowincyi rozszerzał... Rodziny owe rozporządzające i bogactwy, i wojskami, i stonsunkami po dworach zagranicznych — podzielone były na fakcye... trzymając z kandydatami, którzy dla nich najlepsze stawili warunki. . .

Smutno to wyznać, że już naówczas, pieniędzmi i obietnicami urzędów, tronu dobijać się musiano... Elekcya nowego króla padła na kraj znękany i wycieńczony wojną, ledwie cokolwiek wypoczęty, odrętwiały — i poruszyła szlachtę całą budząc w niej poczucie praw jej — które od głosów ogółu tron czyniły zawisłym. Szlachta podnosiła głowy z pewną dumą, powtarzając sobie owo: „Sumus electores regum!“ W pańskich sferach, gdzie nieco lepiej znano europejskie stosunki, nie można po-

wiedzieć żeby głębiej w nie kto wnikał. Kandydatów z odgłosu tylko i famy sądzono. Cóż dopiero między szlachtą, gdzie każda baśń i plotka posłuch znajdowała, gdzie o kandydatach tyle wiadziano, że większa część mających głosować na nich, nazwisk ich nawet powtórzyć dobrze nie mogła. Najgłębsi politycy nie widzieli nic nad to, co który z książąt przynosił w posagu Rzeczypospolitej. Łudzano się obietnicami summ i korzyści, których żaden z ówczesnych ziścić nie mógł. Kondeusz przynosił może najwięcej, ale tego zawczesném on staraniem zohydzono. Neuburg był ubogi, a książę Lotaryński wielkiego rodu i pańskiej wspaniałości, żył także łaską stryja i cesarza. . .

Za Kondeuszem byli najznacniejsi panowie i dygnitarze, z dawna na jego stronę pozyskani, prymas najprzód, dalej Sobieski marszałek w. koronny, Lubomirscy, Potoccy, Jabłonowscy, Leszczyński kanclerz; biskupi niemal wszyscy. Sapiehowie i Pacowie na Litwie, jemu téż byli oddani — Radziwiłłowie za Neuburgiem głosować chcieli. Najmniejszego jednak nie było podobieństwa, aby Neuburski mógł się utrzymać. . .

Książę Lotaryński, choć się opóźnił bardzo, miał nader zręcznego pełnomocnika w hr. de Chavagnac, który umiał pozyskać potajemnie pomoc cesarza i dworu austrijackiego.

Szlachta płynęła masami na pole elekcyjne na Wolę, lecz stojący u steru panowie, nie bar-

dzo ją sobie ważyli, wiedząc, że tłumami włada kto je zażyć umie.

Mówiono więc wiele o prawach owój szlachty, chociaż w istocie na niewielu głowach i gębach cały ten gmach się obracał.

Brali rozkazy u góry potajemnie wodzowie, i pojąc a karmiąc, poddawali też opinie swe i umieli je rozpowszechniać.

Od dawna stolica tak nadzwyczaj pełną nie była, ani tak ożywioną... Ktoby się był jednak wpatrzył w ten lekceważony tłum panów szlachty, okurzonój, niepoczesnej, zmęczonój, znudzonój, dostrzegłby łatwo, że pomiędzy nią a magnatami, którzy pochlebiali sobie, iż nią władać będą mogli — nie było zbyt serdecznego związku... Rozbudzone uczucie praw szlacheckich, dziwnie oddziaływało na najpokorniejszych nawet... Ci biedacy, przybyli z odległych zakątów o kilku bitych talarach, nocujący w polu, z biedą mogący się przekarmić, poubierani w szare kapoty wytarte, z szabelkami na czarnych rapciach, w juchtowych butach, w płóciennych kitlach, nawet w słomianych dziurawych kapeluszach — patrzali z pewnego rodzaju niechęcią i nieprzyjaznym usposobieniem na wspaniałe poszóstne kolebki marszałka, kanclerza, prymasa i świeckich senatorów sadzących się na przepychy...

Niejeden co o surowej cebuli i chlebie dzień przeżywać musiał, spoglądając przez parkan na zastawione srebrami pańskie stoły: Sobieskich, Pa-

ców, Radziwiłłów, kłął po cichu i wzdymał się myślą, że te wielkoludy przecież siły jaką ma szlachta nie posiadają.

Chodziły też powieści o rozdanych sumach znacznych z Francyi, o podarkach któremi i Neuburg i Lotaryńczyk szafował, — frymark ten panów szlachtę oburzał. Z wolna iskierka ta mała niechęci, sama się rozdmuchywała przedłużoném leżeniem a obozowaniem i wszelakimi wieściami.

Mówiono, że prymas miał już w garści króla, że ten a ów się sprzedał, że panowie intrygowali — a te zawczesne obietnice i rozporządzenie koroną, którą szlachta za swoją uważała — oburzały i jątrzyły.

Ci, którzy po województwach mieli największe stosunki i trzęśli niemi innych czasów, czuli teraz, że im szło twardo, opornie, i że duch jakiś niepodległości się odzywał cale niespodziewanie. Lekceważono go sobie, wzmagał się.

Z każdym dniem rosła niechęć ku frymarczącym koroną. Tu i owdzie odzywały się na przekor głosozy za Piastem... Ażeby tych butnych usposobień republikańskich mieć pojęcie, dosyć wiedzieć, iż już Kazimierzowi, który królem być przestał, wielu czapki nie uchylało... a krzyczano nań bez miary. Rozpowiadano sobie przygodę niejakiego Pisarskiego, który z byłym królem spotkał się jadącym przez Pińczów do Krakowa. Pisarski miał z sobą nie więcej nad dwudziestu ludzi i służy,

a zajął był gospodę jedyną i najlepszą w Pińczowie dla siebie. Nadjechał komornik królewski, i po staremu zaczął go forować z gospody, mówiąc, że tu król będzie stał. Jaki król? zapytał Pisarski, my teraz żadnego nie mamy... Słowo na słowo, przyszło do sporu żwawego, nadjechał Kazimierz, a miał z sobą jeszcze z pięciuset ludzi — i — czy z rozkazu, czy sami się domyśliwszy dworzanie, z obuszkami porwali się do szlachcica, a gnając go z gospody do rosołu zbili. Nazajutrz sińcami okryty Pisarski pojechał do Krakowa i pozwał pana Jana Kazimierza Wazę przed sądy kapturowe, które naówczas zasiadały... Wysłano pozew, na który król nie zważał, a bodaj go za drzwi wymieciono, ale sąd niestającego Wazę — od czci odsądził.

Bawiło to ichmościów, iż takim dekretem go pożegnali...

Szlachta też, której powaga królewska nie zdołała odjąć dumy i fantazyi, równie z pod oka patrzyła na magnatów. I im bardziej się oni pysznili i występowali z bogactwy a wytwornością, z dworami i klientami, tém oburzenie rosło. Mogli się tego domacać panowie marszałek i kanclerze, bo ci co na polu leżeli obozem w słońcu i skwarze, gdy do nich braciszkwowie w pięknych barwach pańskich przychodzili w odwiedziny, służebnictwem im w oczy pluli tak, iż wielu dworzan pańskich musiało chleבודawców opuścić.

Gromady darmożjadów owych strojnych codzien się zmniejszały widocznie.

Z młodzieży niejeden miał tam na Woli ojca, starszego brata, stryja, opiekuna, posłał go który z senatorów nawracać dla Kondeusza, aż ten co się podjął apostołowania, powracał sam skruszony i za służbę a łaskę dziękował.

Wszystkiego tego początkowo bodaj narobiło, że zawczasu się ks. prymas i inni chwalili, jako zrobią co chcą.

Nieprzyjaciele Kondeusza, Neuburczyki i Lotaryńczycy, rozsieli to w obozie — okrzyknięto zaraz: Powoli! zobaczymy kto tu wybierać będzie. Ksiądz prymas naszą wolę ma ogłosić, ale nie nam swoją narzucać...

Poszło tedy jak ogień po suchych wiszarach hasło. Szlachta swoje uczyni... i co jej duch święty da do serca, to ogłosi...

Pomiędzy Warszawą, w której się rozpościerali magnaci, a Wolą, gdzie jakie dwadzieścia tysięcy szlachty stało... rozbrat się stał zupełny...

Już do okopów pojechać mało się kto ważył, tak mrucono na panów i tak ich tam przyjmowano... A przybył kto z księży biskupów, lub sam prymas nawet, poszanowano w nich kapłanów, ale byle usta otworzyli *de publicis*, zamykano im je trefnemi szyderstwami...

Choć na złość intrygantom kondeuszowskiemu, szlachtaby była rada obrać sobie kogo innego —

dobrze nie wiedziała komu rzucić koronę... Wlekło się tak odednia do dnia...

W górze krzyżowały się intrygi...

W samym początku zjazdu tego, w Pełce odezwała się ta stara-krew, co to nigdy dworować nie lubiła. Może i gorycz, jaką go ludzie napoili, uspasabiła też do niechęci, do oporu... Jak się tylko lubelska szlachta zjawiła na placu pod Wolą, pojechał do niej Pełka. A miał tam swoich Laskowskich, Zołudków, Masłowskich i wielu innych, którzy go oburącz powitali... Choć paradnie mógł do nich wystąpić, miał ten rozum, że się w szaraczek odział, buty czarne i pas skórzany wziął, i konia najgorszego, aby w nikim zazdrości nie budzić. Znano też Pełków z dawna, że się nigdy nie bawili w dworactwo, a ze szlachtą czystą trzymali... A co o panu Medardzie pletli ludzie, jak się dorobił fortuny, o tém mało kto wiedział, a mniej jeszcze kto wierzył. Dość, że to była kość z kości, szlacheic Lublinianin, swój, o którym wiadano, że przedpokojów niczych nie wycierał. Ścisnęli się więc doń tłumem, i serce uderzyło w piersi Pełce. Zobaczywszy swoich na polu, że ich wszystkich z sobą do domu zabrać nie mógł, sam z nimi pozostał. Posłał tedy po namiot do miasta i Gabrykowi kazał co było w zapasie wywieźć, i baryłek, i mięsiwa.

Tegoż wieczoru u braterskiego stołu, zbitego z tarcic, a ustawionego na czterech kołkach, po-

siadali wszyscy na czém kto mógł, większa część na ziemi. Przyłączyło się Chełmian i Podlasiaków dosyć, przyplątali się inni, nuż gwarzyć.

Znalazł się stary łowczy Godziemba, dosyć innych, od Krakowian przyszedł Rożański; dosyć, że tu sejmikować poczęto — zapomniawszy o nocy.

Zaraz tedy Pełka poznał co się święci, a do serca mu przypadło, że szlachta się za nos wodzić nie daje... Pili więc na zabój: szlacheckiej potęgi — przez zdrowie! A co tam za mowy były, tego powtórzyć dziś trudno.

Nad rankiem się tam wszystko dopiero pospało pokotem, gdzie kto legł, ten z głową na kulbace, inny na zwiniętej oponczy, ów na kułaku. I tak ich tam słońce zastało.

Pełka już się ze swoimi nie rozbratał, ani do domu poszedł. Baryłki jeszcze suche nie były, napalono ognia, aby co zwarzyć, przywiózł kuchta mięsa i korzeni, i krup, i co kuchnia obozowa potrzebowała! a na śniadanie żywiono się wędliną.

Litwa, można powiedzieć, że już od tych dwóch z górą tygodni niczém się inném nie karmiła, tylko wędzonkami i serem, bo tego z sobą pełne sakwy nawieźli. Życie w okopach brzydnać poczynają i obmierzać wszystkim, a tu do głosów zbierania nie dopuszczano, bo jeszcze posłów przyjmowano, i różne formalności wrzekomo dopełniać miano; w istocie zaś u góry ks. prymas i marszałek, i inni



knuli, aby Kondeusz przeszedł, gdy u dołu o nim na złość im nikt słuchać nie chciał.

Próżno prawiono, że rycerz sławny, i że potęgę francuzką miał za sobą. Ten i ów bąkał, że już Walezyusza kosztowali i oskomy od niego dostali.

I tak się to wlokło, a słońce parzyło elektorów i pył im oczy wyjadał. Rachowano na to, że się zmogą, zmęczą i porozłożą, a zmniejszą kupą łatwiej sobie rady dać będzie. Dla tego i z kresów a rubieży województw nie powoływano, strasząc nieprzyjacielem.

Pełka odżył w tym warze, gdy inni w nim powiędli. Zabawiano się gawędami, warcaby, końmi, czém Bóg dał, i kubkiem téż niezgorzėj.

Z Lubelczyków Godziemba, ba! i Zołudek jawnie byli ponadmuchywni, jeden przez prymasowskich, drugi od Lotaryńczyków. Tych było niewielu, ale chodzili tak, że ich nikt nie dojrzał, aż dopiero nazajutrz ślady...

Pod wieczór z miasta stosy papierów zbiegały się do obozu, drukowane zalecanki kandydatów i pisma różne faworyzujące Kondeusza... Czytano jednak najwięcej *Censura Candidatorum*, i przypadało to do serca, że polecano im Piasta...

Już w trzecim tygodniu po obozie myśl tę propagowano i noszono, a Pełka ją téż gorąco uchwycił i za nią przemawiał.

— Próbowałismy Francuza, próbowali Szwedów, czas przecie w domu pana poszukać. Czemu Rzecz-

pospolita Wenecka na dozę sobie nie wybiera nikogo, tylko rodowitego Wenecyanina? albo to nie jest przykład wielki? A któż będzie lepiej znał i potrzeby, i obyczaj wojowania, i naturę tych, którymi ma rządzić, jeżeli nie swój?

— Szlachcica wybrać! koś z kości! dodawali drudzy.

Gdy przyszło do Piasta, jak mrowie sypało się kandydatów okopowych, więcej na śmiech niż na prawdę. Uznawali to wszyscy przecie, że trzeba było i statysty, i wojownika, a tego w uboższej szlachcie trudno było znaleźć, musiano by go szukać pomiędzy senatory, do których zaś miano...

— Gdy przyjdzie chwila, mówił Pełka — Pan Bóg nam do serc imię poda człowieka...

— Byle nie Kondeusza i nie jednego z tych, co ich nam za pieniądze swatają...

Taki był głos powszechny, a z każdym dniem niechęć do frymarczących rosła. Dawano też do niej niemało powodów występowaniem świetnym przed nosem tych, którzy często jeść co nie mieli, a którym duma przez dziurawe kontusze patrzyła.

Już tydzień prawie obozował Pełka ze swoimi w okopach, gdy jednego dnia rano, stojąc przed namiotem sam jeszcze, bo inni się wywczasowywali po nocnych sporach — zobaczył idącego wprost ku sobie szlachcica, za którego by z daleka nań patrząc nikt nie dał trzech groszy. Gabryk przecież stojący za panem swym, który wielkim sprytem

wszystko odgadywał i wiedział co się pod Wolą działo... szepnął wskazując przychodzącego swemu panu.

— Widzi pan tego z cienkim wąsem, długą szyją, w zblakłym kontuszu i czerwonych niegdyś butach, z czapką na bakier?... To jeden z tych, co szlachtą jak chęą wodzą... Mówią o nim, że wywłoka, i że jezuitą był, a no, prawda, że gdy języka z pochew dobędzie — jest czego posłuchać, i tnie, i smaruje, jak mu się żywnie podoba...

— Kto on taki? zapytał Pełka...

— Mówią, że się zowie Piotrowski, Sandomierzanin... dodał Gabryk...

A tu już i ów Piotrowski do namiotu się zbliżał. Wyglądał w istocie jak go Gabryk opisał: suchy, chudy, długi, cytrynowy, głowa nieco wypełzła, wąs skąpy, ręce z rękawów wychodziły ogromne, nogi też ze stopami wielkich rozmiarów a chude miał i piszczalkowate... Na nim odzież pozał się Boże! ale w polu kto na pył, słońce i deszcz lepszą kładł?...

Pełka go nie znał, ledwie sobie przypominał, że go czasem na pieńku stojącego i do szlachty przemawiającego widywał.

Piotrowski mu się ledwie nie jak znajomemu skłonił, szeroką dłoń podając.

— Pana a brata... Czołem!

— Czołem...

— Ireneusz Piotrowski herbu Sas, Sandomierzanin. Siedzimy tu w sąsiedztwie — począł stawańszy i biorąc się w boki oburącz. Wasindziej panie Pełka Lublinianami trzęsiesz, ja też mam tu przyjaciół. Przyszedłem się z jegomością powąchać.

Począł się śmiać.

— Dla czegożby nie? odparł Pełka — proszę do namiotu, i choć na kulbace przysiąść... coś się znajdzie na przyjęcie gościa.

— E! Bóg zapłać! na czezo najlepsze sprawy... a mam dalipan ważną... Ot, wiesz co — gdybyśmy za okopy, tam pod wierzby poszli? Głos się nie tak rozlega... a musimy pomówić na osobności... Na osobności! powtórzył cicho.

Pełka wziął za czapkę; wyszli tedy mijając i śpiących, i myjących się, i już śniadających — za okopy... Kilka wierzb obciętych kalek stało na uboczu... Nikogo tam jeszcze nie było...

— Choć nieznajomy, począł obejrzawszy się Piotrowski — ale waszmości znam i estymuję... będę więc szczerym i serce mu otworzę. U nas tu nigdy końca nie będzie. Wodę warzymy...

— To prawda, rzekł Pełka...

— Magnaci pieniędzy nagarnęli, a my za ich grzechy pościmy i smarzymy się na słońcu. Ba! gdyby się było już choć w czém smarzyć, a no, nie — pieczemy się, bośmy tłustości wszelkiej pozbyli. *Respice finem*, trzeba do końca dążyć? He?

Spojrzał w oczy Pełce, aby poznać co myślał.

— Ja i waszmość możemy kapitalną oddać usługę Rzeczypospolitej, mówił dalej. Dla tego chciałem się z nim powąchać. Trzeba tego dyabła Kondeusza precz wypchnąć, a prymasowi, marszałkowi, kanclerzowi finę przystawić. Zgoda?

— Kondeusza się zbyć? spytał Pełka — czemu nie — zbadźmy się go — a no — jak?

— Jak? rozśmiał się Piotrowski — tylko się za ręce weźmy — dokażemy tego nie dalej jak dziś. Za mną pójdą Sandomierzanie, a za Sandomierzaniem innych kupa, a na waszmości waga, abyś swoich Lublinian, Chełmian i Podlasiaków za nami ruszył... Wyekskludujemy Kondeusza... za przekupstwo i korrupcyę... a kto się sprzeciwi... ten zyskany... rozsiekać...

— Zlituj się... wszak prymas...

— Prymas się złęknie... drudzy też... Nec Hercules contra — plures... będzie nas kilka tysięcy... A no słuchaj waszmość, do okopów ich powpuszczać i do szopy wszystkich, dopiero gdy ich mieć będziemy w rękę... pójdziemy na nich... kupą...

— A gdy wyekskludujemy Kondeusza, spytał Pełka. Co dalej?

— Mospanie — odezwał się tajemniczo Piotrowski — myślę, że z waszmości rozumny człowiek... Powyrzucajmy najprzód pańskich kandydatów, co pieniędzmi kupują koronę, szlacheckiego sobie znajdziemy, Panu Bogu będzie na chwałę, gdy ta Simonia weźmie w łeb...

Jam ci sam szlachcic — dodał nachylając się do ucha Pełce — kocham moich panów braci, ale, mospanie, naród w takim tłumie głupieje... Potrzebują, aby ich kto za nos wodził... proszą się, suplikują... Czemu nie mamy pokierować nimi? He?

Pełka nań popatrzył w milczeniu...

— Głupi są — dodał Piotrowski — a no, wielce poczciwi... W tłumie głupota rośnie, to prawda, ale i poczciwość się wzmaga... Daj im waszmość dobrą myśl, to się za nią pozabijać dadzą... A woda potrzeba, choćby takiego, z pozwoleniem, kiepskiego jak ja... bez prowodyra barany, mospaneńku, nie pójdą...

Panom nie wierzą, za nimi nie pociągną... Dawniej może byliby się dali prowadzić, ale tu ktoś ciemierzycy nasypał, nosami kręcą na nich... A co dzień to gorzej... Cóż to będzie? z głodu pomrzemy w polu... Trzeba iść do końca...

— Do jakiegoż końca? spytał Pełka — ja go nie widzę?

— I ja go nie widzę — przerwał Piotrowski... ale go czuję! Tak jest! na złość tym co Rzeczpospolitą trzęsą, co nas za *plebs* mają, którzy na złocie legają, a nas za boże stworzenia nie liczą... na utrapienie pysznych — wstawim nad nich człowieka... Bóg natchnie, na którego patrzeć nie chcą... damy mu w dłoń berło i posadzimy na tronie, i będą musieli ci dumni matacze bić mu czołem...

Z oczu Piotrowskiemu ogień tryskał, Pełka go porwał i uścisnął.

— Możeż to być? zawołał — damy my temu rady?

— Tylko my... rzekł Piotrowski — a wiesz waszmość dla czego, podnosząc połę wypełzłego kontusza do góry kończył ex-jezuita — dla tego, że ja mam opończę lichą, a waszmość szaraczkową, że obaj nie mamy tytułów, i żeśmy równi panom braciom... w których się ozwało przecież, że coś i oni warci...

— Zgoda, panie bracie! zgoda! podchwycił Pełka — stokroć zgoda... Słowo i ręka...

Podali sobie dłonie...

— Ale kiedyż?

— Gdy ja narobię wrzawy — rzekł Piotrowski — wyciągnijcie zaraz za mną... i szlachtę wiedzcie... Gdy Kondeusza uprzątniemy — z resztą téj rzeszy paniątek pójdzie łatwo... zjemy ich na jedno śniadanie.

I śmiać się począł Piotrowski...

— Widzisz waszmość, dodał pobrzękując garścią złota w kieszeni, mam za co moich podpoić i rozgrzać. Boć i koniowi dla fantazyi podtykają pieprzu, gdzie się patrzy. Ja téż moich zawczasu zaanimuję.

Jest tu od Lotaryńczyka poseł, bardzo układny człek, i myśli, że tak jest rozumny, iż nas wszystkich oszuka... Występuje pięknie, choć grosza tam

skapo. Wiem, że mu o to szło, aby Kondeusza się zbyć... wziąłem u niego wczoraj a raczej dziś — o czwartej rano sto dukatów, na pogębienie Kondeusza... Pewny jest, że mnie kupił! Cha! cha! Niech się cieszy zdrów...

Podał znów rękę Pełce, który już mniej miał ochoty mu ją wyciągnąć — i co prędzej pospieszył w okopy, a Medard też za nim zamyślony pociągnął...

Do południa nie zaszło nic — bo się szlachta dopiero gotowała i naradzała w małych kupkach... Około dwunastej, ukazała się kolaska ks. prymasa jadąca ku szopie... Tuż za nią poczęli ciągnąć i inni... Jechał marszałek Sobieski, pięknej postaci mąż rycerski kłaniając się na wsze strony, któremu jeszcze jakkolwiek odpowiadano, bo znano go, że mężnym był, tylko mu francuzką żonę za złe miano, a ta się bardzo kręciła i intrygowała... Za nim kanclerz wielki i podkanclerzy, Pac i Moršztyn. Tym już nikt na ukłony nie odpowiadał, a po drodze rzucano im już w oczy... Kondeuszowi! zaprzedańce!

Udając, że to ich uszu nie doszło, i nie widząc jak się gdzieniegdzie i szabla groźnie do góry podniosła, przejechali panowie... Ciągnęły się jeszcze kolebki inne, na które też z ukosa szlachta patrzyła, nie wyjmując żadnej, bo w sercach już wszystkich posiane było niedowiarstwo i niechęć.



Dano im tak do szopy się pozjeżdżać i zasiać na obrady wszystkim — i wpaść jak w łapkę. Dopiero po dobrej chwili spokoju, coś się szlachta ruszać zaczęła i obozowisko jak mrowiem całe drgnęło... Kupki rosły na gromady, gromady na tłumy... zlewali się z najdalszych kątów w jedną masę ogromną...

Szmer jakby fali morskiej, groźny mrok tej sturamiennój istoty, która się ludem nazywa, rozszedł się do koła... W tej chwili po nad głowy, wysoko wdrapał się człowiek... Pełka poznał Piotrowskiego... siedział na koniu, aby przemówić z góry, ale mu tak jeszcze było nisko... z pomocą swoich wdrapał się na siodło... a konia mu trzymano i stał na grzbiecie...

Zaczęto psykać nakazując milczenie, bo go znano i z głowy, i z mowy, i ze szlacheckiego serca. Wiedzieli, że nie darmo na kulbakę się drapał... Wszyscy czuli, że tu się na coś ważnego kroi...

Piotrowski począł — ale głosu jego z razu słyszeć nie było, wiatr słowa odnosił...

Dopiero po chwili, gdy się uciszyło... a orator się rozchodził... imię Kondeusza wypłynęło po nad tłumy...

— Przekupieni wszyscy — wołał — sprzedali się... a jak Judasz za srebrniki koronę i pocziwość sprzedadzą... Nie mianuję ich, bo wszyscy kupieni... co siedzą w szopie... wszyscy... i od lasek i od pieczęci, i w infułach, i w szyszakach

hetmańskich, i buławy, i pastorały... Prawo jak wół, panowie bracia, kto pieniędzmi koronę kupić chce, ten jój nie wart! Ekskludujmy Kondeusza, kupił on panów, ale nie zapłaci szlachta, bo ona kocha kraj i poczciwość swoją...

Ekskludujmy Kondeusza! Hasło nasze... Duch Święty, a nie dukat złoty! Kogo nam do serc poda Bóg, ten królem niech będzie, a nie laska pry-masowska... a nie bałwan, którego sobie ulepili panowie, magnaci i zaprzedańce... Ekskludujmy Kondeusza! na szope! na szope!

W tej chwili Piotrowski, choć się na kulbace i grzbiecie końskim ledwie trzymał, porwał za rękojeść szabli, powtarzając: Na szope! Ekskludujmy Kondeusza!

Jednym okrzykiem ogromnym rozległy się okopy, rzekłbyś jednym głosem potwory stugardłanej... Tysiące szabel w powietrzu błysło...

Pełka stał z Lublinianami i odwrócił się do nich. Wahali się patrząc nań, gdy i on też do szabli sięgnął. Za nim wszystkie dłonie brzękły po rękojeściach...

— Panowie bracia mili — ekskludujmy Kondeusza, to faworyt pański a nie kandydat szlachecki... Na szope...

Ruszyło się tedy wszystko co było na nogach, inni widząc, że gromada sunie wielka, nie pytając już ani zacz, ani przecz, szabel z pochw doby-

wali i biegli, aby ze swymi być razem i od gromady nie odstać.

Falą ogromną płynąc posunęła się szlachta ku szopie, w której senat zasiadał, a z dala słychać ją było tak jak burzę nadchodzącą... Jedni ze śmiechem, drudzy z klątwami, inni z krzykiem ogromnym szli i passyą... Prymas i kanclerze usłyszeli tę wrzawę... Cisnęło się rycerstwo do szopy i otaczało ją do koła... Panowie senatorowie zbledli widząc tłum z nagiemi szablami nacierający jak na nieprzyjaciela. Piotrowski szedł przodem, otoczony swojami...

Prymas siedzący w krześle, patrzył milcząc... Stał i skłonił głowę...

— Nie ja tu przychodzę jeden, ale całą szlachtę za sobą wiode... Jawném jest bezwstydnie, oczywistém, dowiedzioném, że strugami złoto Kondeuszowskie tu płynie i czyste ręce wala, i sumienie białe czerni...

— A tak! a tak! zawrzał tłum za nim. Precz z Kondeuszem!

Prymas, który miał, jak słychać było, poprzysięgać, iż się da raczej ukrzyżować, niżby innego kandydata nad Kondeusza dopuścił — pobladł... usta mu się zatrzęsły... Senatorowie popatrzali po sobie...

— Proszę spojrzeć na nas, ilu tu jest co krzyczą — precz z Kondeuszem, mówił Piotrowski. Nie odejdziemy ztąd, nie ruszymy kroku, póki nie pod-

piszecie ekskluzyi Kondeusza! Niesiemy wolę narodu! Kto skórę sprzedał na żywym niedźwiedziu, niech się sroma! Nie dopuścimy Kondeusza!

— Precz z Kondeuszem! zawrzał tłum, precz z Kondeuszem!

Prymas chciał usta otworzyć.

— Żadna wymowa nas nie przekona, ks. prymasie... zawołał Piotrowski... Nie chce go szlachta! Vox populi — vox Dei...

— Precz z Kondeuszem! powtarzał chór niecierpliwac się widocznie zwłoką, precz... precz!..

Mruczenie tysięcy, które słyhać było idące w głąb, w dal i słabnące za okopami... wtorowało okrzykowi. Senatorowie patrzali po sobie przelekli... Prymasowi pióro drżało w ręku...

Jeden z biskupów, przed którym leżał papier, najbliżej był Piotrowskiego...

— Mości księżu biskupie... pisz ekskluzyę! powtórzył Piotrowski — abyśmy my ją szablami pisać nie byli zmuszeni.

Za każdym odezwaniam się oratora, jakby echo zgodne ostatnim słowom jego odpowiadało... Szlachty coraz więcej cisnęło się do szopy i pod szopę, której słupy trzeszczeć poczynały...

— Precz z Kondeuszem! odzywało się jak wystrzałami do koła.

Prymas szukał pióra i papieru... nie śmiejąc ust otworzyć... Biskup i on spojrzeli po sobie... westcheli, i zwolna pióro potoczyło się po papierze.

Po nad piszącym stał utrapiony Piotrowski i patrzył w każde urodzone słowo...

Gdy pismo było gotowe, z szyderskiem poszanowaniem podsunął je ks. prymasowi. Tłum wrzał... Nie można było zwłóczyć, pióro zadrgnęło w ręku, ale prymas podpisał... Dwaj kanclerze siedzący niedaleko, bladzi byli jak chusty, obaj wyprzedzając się pospieszyli do podpisów, aby się nie dać w podejrzenie. Musieli z kolei kłaść podpisy i inni senatorowie... a Piotrowski, który za papierem chodził jak za dziecięciem, o ktoregoby się życie lękał, śledził każdy ruch i wyraz twarzy przytomnych. Wśród senatorów panowało teraz głuche milczenie, rozpaczliwy stan wątpliwości, co począć dalej. Wykluczenie Kondeusza było samo przez się nieszczęściem wielkiem dla tych, co po nim się spodziewali już przyrzeczonych dostojęństw, starostw i summ... ale stokroć gorszém było to, że nieokiełznana szlachta wzięła górę i panowała nad obradami, że ten tłum, którym kierować miano, stawiał się wyżej tych co nim rozrządzać mieli, że przyszłość w obec tego zawikłania stawała się straszliwą i ciemną...

Kłoby był zadał sobie pracę czytania w tych oniemiałych twarzach ludzi zwyciężonych przez jednego odrapanego człowieka, na którego wczoraj niktby nawet spojrzeć nie chciał — byłby na nich zobaczył wszystkie stopnie trwogi, upokorzenia, oburzenia, jakich ukryć nawet nie mogli. Prymas

szczególniej, ów *interrex*, który wystawiał sobie, że w rękę już trzyma koronę, że nią sam rozrządza, w którego dłoniach zbiegały się wszystkie nici misternej tkaniny, osłupiałym był widząc ją poplątaną — i przez kogo? przez nieznanego szlachetkę — rozporządzającego tysiącami szabel i głosów.

Blady, oniemiały, trzymał jeszcze pióro w rękę, i patrzył, to na współtowarzyszów niedoli, to na Piotrowskiego i na naciskający się tłum, w którego twarzach czytał jakby szyderstwo...

Tymczasem za szopą brzmiały tysięczne okrzyki: Precz z Kondeuszem! ale wesołe, zwycięzkie, nagrawające się...

Podnosząc do góry papier z podpisami, Piotrowski ukazał się znowu na grzbiecie końskim... głosząc otrzymany tryumf. Był w istocie bohaterem tej chwili, i szlachta porwała go na ręce, niosąc między siebie. On ją przedstawiał i jej niepozorną a niezwyciężoną siłę...

W szopie pozostali senatorowie długo do słowa przyjść nie mogli. Obrady dnia tego były skończone — a nie ruszali się z kurulnych krzeseł swych, wstydząc się powrócić do miasta i przyznać swym paniom, które wielką też rolę odgrywały w elekcji, jak się sromotnie wzięć dali.

Niektórzy z nich nie radzi też byli wynijść, pókiby tłum nie odpłynął, aby się nie narażać na jego szyderskie wejrzenia i okrzyki... Prymas w miarę jak wrzawa się oddalała, z białego stawał się czar-

wonym i gniewniejszym coraz. Wstał nareszcie, i ruszyli się wszyscy. Kołem otoczyli go: Sobieski, Morsztyn, Pac...

— Zwyciężeni jesteśmy na dziś, szepnął prymas cicho — to sprawka Lotaryńczyka... Nie ma wątpliwości... posypał złoto między szlachtę. Lecz — nie koniec elekcyi, ani mu to pomoże! dodał gniewnie. Wszyscy przyjaciele ks. Kondeusza zwrócić się powinni przeciwko Lotaryńskiemu...

Nie wszyscy na to wezwanie odpowiedzieli, kanclerz Pac patrzył gdzieś daleko... prymas szedł do powozu... w milczeniu dano mu się oddalić... Za nim marszałek Sobieski, na którego dwór jego złożony z młodzieży najdorodniejszej oczekiwał... wyszedł pochmurny i zamyślony. Szlachta poglądała na odjeżdżających uśmiechając się po cichu...

Dzień ten zdawał się wyrokować o elekcyi, a chociaż prymas zaręczał, że wszyscy przyjaciele Kondeusza przejdą do obozu 'przeciwnego Lotaryńskiemu, stało się weale inaczej.

Już na drodze do miasta rozmyślano, iż jeden w istocie Lotaryński pozostał.

Wiedziano też, iż chociaż pozornie dwór austryjacki oświadczył się za Neuburgiem, potajemnie sprzyjał Lotaryńskiemu, za którego chciano wydać arcyksiężniczkę Eleonorę...

Opodał nieco od okopów na drodze do Warszawy, miała kanclerzyna Pacowa dwór obszerny, którego galerya zaszklona wychodziła oknami na go-

ścieniec wiodący z miasta do Woli. Ztąd niemal codziennie panie mężów wyprawiwszy, przypatrywały się i dalekiemu ruchowi obozowemu, i mnogię szlachcie, a panom pod oknami przejeżdżającym...

Właśnie świetne grono pań zabawiało się w galeryi, gdy powóz prymasa przyszedł... Zatopiony w myślach, *interrea* ani spojrzął na ciekawe kobiety, które z jego twarzy pochmurzonej wyciągały wnioski różne.

Doszła je aż tu wrzawa obozowa...

Za prymasem jechał marszałek Sobieski, którego żona wyglądała właśnie wiernego swego męża i najrozmiłowańszego z kochanków... Na widok jej twarzy, na skinienie, skoczył Sobieski z konia i wbiegł na galeryę.

Już mu z oczu czytać było można złowrogą jakąś nowinę.

Piękna Marysienka pobiegła naprzeciw niemu. Załamał ręce...

— Co się stało?

— Kondeusz ekskludowany!

Zbiegły się na te wyrazy wszystkie panie od stołu, jak spłoszone ptaki z krzykiem i lamentem.

Były to najwdzięczniejsze kwiaty wielkiego świata... kanclerzyna Pacowa z domu de Mailly, Sobieska, Francuzka także d'Arquien, młoda i śliczna księżniczka Radziwiłłówna... W ich towarzystwie znajdował się także ostatnią modą dworską ubrany hr. Chavagnac... Na wieść o ekskluzyi Kondeusza,



załamały się dłonie, zachmurzyły czoła, na twarzy Marysieńki odmalował się gniew, stara księżna Radziwiłłowa, która była za Neuburgiem, pierwsza wskazując posła Lotaryńskiego, rzuciła nań wymówkę, iż z jego naprawy stać się to musiało...

— Słowo honoru, księżno! zawołał Chavagnac — nie przyczyniłem się do tego wcale. Nie obrałbym był téj drogi.

Z niedowierzaniem, z trwogą jednak spoglądano nań...

— To nic jeszcze — szepnął cicho Sobieski — ale co się stało, za tém idzie, że *patres conscripti*, i *interrex*, i *senatus*, nic już nie znaczą w Rzeczypospolitéj... *populus*, wszystkiém! Tłum panuje... my posłuszni mu iść musimy...

Kobiety załamały ręce...

W téj chwili, orszak znaczny konnój szlachty, ze śpiewem i huczkami przeciągał pod oknami... Niektóre głowy zwróciły się ku galeryi, i od okien cofnęły się przerażone kobiety... Szlachta w tryumfie jechała grzebać kandydaturę Kondeusza... Piotrowski upojony z czapką na bakier przodował im... Spojrzał w okna... zobaczył Chavagnac'a i szydersko mu się skłonił.

Lotaryńczyk uczuł się zgubionym.

\* \* \*

Hrabia Chavagnac tegoż wieczora stał się najposzukiwańszym z ludzi. Parę dni temu niemal w śmiech obracano poselstwo jego i osobę, chociaż wielce poważną i piękną; — kilka godzin zmieniło położenie. Dał dowód niepospolitej zręczności, odsadzając najniebezpieczniejszego kandydata; nie wątpiono, że reszty dokona. . .

Prawdę rzekłszy, zręczny ten dyplomata, przyjaciel od serca tego, któremu chciał zapewnić koronę, nie dobrze wiedział, jak się to stało. Z Piotrowskim mówił niespełna się rozumiejąc przez pół kwadransa, dał mu owe sto dukatów, lecz wcale się nie spodziewał, aby one tak dobrze skutkować miały. Nabrał otuchy i wiary w siebie... szczęście widocznie mu sprzyjało. Chciałby był przynajmniej podziękować temu, który mu tak wielką wyrządził przysługę, lecz jak się było dowiedzieć o Piotrowskiego wśród niezliczonej ilości rozmaitych Piotrowskich, których pełno było na polu elekcyjnym? Miał nadzieję tylko, że sprawca tak wielkiego czynu ukaże mu się domagając nagrody. . .

Tymczasem, ów Piotrowski we dworku Pełki z kilku innymi odpoczywał.

Było bo po czém, ochryplł biedak, nałamał kości, utrzymując się ekwilibrycznie na końskim grzbiecie, pył mu gardło palik i pot z nim pomieszany czoło oblewał...

— Dajmy się cieszyć Lotaryńczykom, mówił cicho... Niech się ambasadorskie odegrają komedye,

niech panowie nowe piszą kontrakta i traktaty z posłami — niech prymas sobie nową nawiąże intrygę, niech się trochę uspokoją po dzisiejszej trwodze... a naówczas zobaczymy...

— Tylko nie zawsze, rzekł Pełka, szlachta jak dziś pójdzie za nami...

— Ba! i z Litwą przy elekcyi będzie ciężko, bo się nam okoniem postawi.

— Garstka tych szaraków pocziwych! to nam oni nie zawadzą... mówił Piotrowski uśmiechając się...

Otyły szlachcic siedział obok i łzy ocierał, które mu śmiech wycisnął. W szerokie dłonie bił z pociechy wielkiej. Był to szafraniec ubogi, z owych niegdyś możnych, któremu dziś możni solą byli w oku, bo oni go znać nie chcieli, a on też nienawdził ich.

— Nie jestże to pociecha, mówił — patrzeć jak się napróżno kręcą i mozolą, i układają, a my sobie siedzimy cicho, patrzymy, i gdy przyjdzie chwila... na nic to wywrócimy...

— Tylko sza! dodał Piotrowski. Myśmy dziś Lotaryńczycy... a gdy posłowie wyjeżdżać będą, z taką ich powagą wysłuchamy, jakby się to w istocie na coś przydać miało...

— Ale któż u waści kandydatem? zapytał jeden...

— Znajdzie się ktoś... zawołał Piotrowski; a wybierzemy im takiego, który jest najbiedniejszy,

takiego, który im najniemilszy, najuboższy, najci-  
chszy, najskromniejszy, aby mu się kłaniać mu-  
sieli — bo szlachta kazała. . .

To mówiąc wstał.

— Siła jest w nas! zawołał uderzając się po  
piersiach: oni wyszli z naszego łona i stawiają się  
obozem osobnym, chcą być lepsi, chcą być mą-  
drzejsi, chcą sami to czynić co do narodu należy.  
Niedoczekanie ich! Choć raz pokażemy im — że  
myśmy tu panami, nie oni..

Przykłaśnięto.

— Mości panowie, zawołał Pełka — wybierze-  
my Piasta. . .

— Tak i ks. Olszowski pisze. . . Piasta!

— Zgoda — zawołał Pełka, ale najuboższy  
i żadnego z nich, ale takiego, którego oni znać  
nie chcą i odpychają.

Więc któż godniejszym być może — dodał Peł-  
ka — jeżeli nie. . .

— Cyt! na miłosierdzie pańskie! przerwał mu  
Piotrowski idąc nań z ramionami otwartymi: nie  
pora do zalecanek... byle nie ten, kogo ci ichmo-  
ściowie chcą — każdy dobry. . . Wiecie waszmość  
wszyscy, bo mnie tu wywłoką pospolicie zowią,  
i nie zapieram się, że rewerendę falendyszową  
nosił — uczułem się tedy teologii, która twierdzi,  
że Pan Bóg ludziom łask dla ich stanu udziela  
i zowią to *gratia status*. Czyżby już też Bóg był  
tak na Polskę niełaskaw, żeby jej królowi choć

kropelki onój łaski z nieba, nie spuścił? Cóż się frasować? obrać kogo serce poda, resztę sprawi Bóg.

Przykłaśnięto. Pełka rzekł: — Dobrze i tak.

Po naradzie téj, rozeszli się każdy w swą stronę, a większa część do obozu, z tymi i Pełka pojechał.

Zaczęły się tedy przyjęcia posłów i zalecanki; a najprzód Neuburga, którego poseł mizernie wcale wystąpił, tak, że obok dworu Sobieskiego szczególnie, który miał prawie królewską służbę około siebie, lichy się wydał i ubogo... Było we zwyczaj, że marszałek dwie karety posyłał do każdego z posłów dla przywiezienia ich, i te dwie w orszaku Neuburga były pono najpokaźniejsze.

Już i z pozoru, i z mowy daleko lepiej występował Lotaryńczyk, któremu ksiądz niejaki Riket pisał jego oracyę, a ta się spodobała, bo ją kończył tém, że człkiem będąc rycerskim, obiecuje walczyć do upadłego ze wszystkimi nieprzyjaciołmi Rzeczypospolitej, — a i dla oczu niezgorzej wystąpił, bo miał z sobą własnych karoc pozłocistych cztery, w których jechali dworzanie, przy każdej po dwunastu czeladzi w barwie zielonej domu lotaryńskiego ze złotem bramowaniem... Oprócz tego, jechało sześciu paziów konno w téjże barwie jeszcze sucięj obszywanęj, i dwudziestu masztalerzy téż barwianych z chochłami z piór czerwonych, białych i zielonych... Szły i konie powodne pod dywdykami, i wszystko pokaźne było a chędogie jak należy. To téż przypominano sobie, że dom

lotaryński z rakuzkim spokrewniony, całe zacny był, a księżę pan rycerskiego ducha.

Szlachta tego dnia pobałamuciła się nieco Lotaryńczykiem, a Pełka ani Piotrowski całe się jój nie sprzeciwiali, pókiiby z owych galonów nie ochłoneła.

A że mało nie cztery tygodnie w polu tak stali, drugim już wielu do domu było tęskno i domagali się, by króla obierać. A że panowie senatorowie po owem wykluczeniu Kondeusza markotni byli, więc do szopy jechać nie chcieli, prymas szczególnie, którego nie cierpiano i jednookim zwano, uparł się nie przybywać, mówiąc, że bez niego sobie nic nie poradzą.

Szlachta się zgromadziła radzić co począć, a gdzie kupka się zbierała, tam i Piotrowski pewnie był. Dał się jak zawsze wygardłować i wykrzyzczyć tym, którym pilno było — a gdy sprzeżnych różnych napletli bajów — ozwał się:

— Mnieby się widziało, mości panowie a bracia, żeby ks. prymasowi posłać i powiedzieć — jeśli wola i łaska, niech się pokwapi, a nie — toć nie papieża obieramy, obejdziemy się bez niego... okrzyknjemy króla i tak...

Staneła na to zgoda i deputacya pojechała. Nazajutrz w obozie się gotowało... senatorowie nie przyjeżdżali, szlachta sarkając na zwłokę, na koń siadłszy, zebrała się sama na prawdę króla głosić. Nikt nie wiedział, ani myślał kogo wziąć.

Większa część już dla tego, żeby do domu mogła uciec, Lotaryńczyka przyjąć była gotowa. Posłano do miasta raz jeszcze — do marszałka, do kanclerzów, do innych. Kto cnotliwy i senator wierny Rzeczypospolitej, niech przybywa do nas... a zdrajcy niech doma siedzą.

Nierażno szło po ostatniej sesji między szlachtę się sunąć. Chodziły wieści, że poburzone były umysły, odgróźki wielkie, że do huk, strzelania i siekaniny przyjść może. A prawdę rzekłszy, gdyby kto jeden począł... nie wiadomo na czémby drudzy skończyli.

Województwa konno poczęły się zbierać, każde sobie... Dzień był skwarny, widok osobliwy, gwar niezmierny... z dala jak w ulu pszczoły mru-czały kupy.

Wojewodowie i kasztelanowie, z których każdy w swojej ziemi miał klientów i krewnych, i przyjaciół, czując się bezpiecznymi, prawie bez orszaków poprzybywali, a słodcy i serdeczni jak nigdy, każdy z nich jak prosty szlachcic do swojego kółka wszedł i tu stanął. Niektórzy przemawiali jednajac serca braci...

Gdy się to stało, uciecha wielka była, bo się bez reszty senatu gotowa była szlachta obchodzić...

Prymas i dygnitarze mieli tu snadź swoich, którzy do Warszawy się z tém ponieśli, że na ichmościów czekać nie myślą. Rozmyślać tedy poczęli wszyscy, że gdy tak łatwo ekskludowano

Kondeusza, szlachta zapamiętała i nieobecnych też gotowa puścić *per non sunt*.

Już miało się ku wieczorowi, gdy gościńcem od stolicy poczęły się toczyć w tumanach pyłu karoce, i koczce, i powozy, i kolebki, niektóre spiesząc tak, że się wyprzedzały, aby nie opóźnić. Przybył i ks. prymas, ale blady jak chusta i drżący... Poczęło się tedy na seryo obradowanie. Szlachta stanęła gromadnie.

Po ostatniej jednak próbie nieszczęśliwej, nikt się ust nieośmielił otwierać, senatorowie patrzali po sobie, jednooki głowę spuściwszy, piuskę nasunawszy na czoło, siedział gniewny.

Wtém wysunął się Piotrowski, a pamiętali go od wczoraj jeszcze... więc i ten i ów jeszcze więcej się zmieszał.

— Mości panowie! zawołał: szlachta o głodzie na polu stoi z dnia na dzień wyczekując końca i zmiłowania waszego. Ks. prymas milczy, prosimy więc najstarszego po nim z panów senatorów, aby obradom przewodniczył. . .

A za nim zawołano:

— Zgoda! zgoda!

Prązmowski jakby się dopiero ocknął, okiem swém jedyném niespokojnie rzucił do koła.

— Przecież ja służby méj krajowi i waszmość panom a braciom nie wymawiałem, i pełniem ją gotów... Nie moja rzecz obierać, ale ogłosić...



Proszę Jmci panów dawajcież głosy swe, za kim się podoba. . .

Nastąpiło milczenie przez czas jakiś, i Piotrowski znikł... jak kamfora. Dał nurka w tłumie.

Senatorowie nie rychło się ważyli, spoglądając bojaźliwie na szlachtę, oświadczać za tym i owym, ale tłum stał bardzo spokojny i cierpliwy, a z Kondeuszem nikt ani śmiał się popisywać.

Najwięcej Lotaryńczyka wołało, bo był téjże nocy, jak wiadano, poseł jego panów objechał i kontrakta porobił, przeciwko niemu zaś i szlachta nie była, bo go żołnierzem głoszono... Za Neuburgiem Radziwiłłowskie zastępy zgodnie głosowały pokrzykując. . . Ale tego ani słychać nie było.

Z województwa do województwa rozchodziły się hasła: Lotaryńczyk! Lotaryńczyk! a Wielkopoleanie, ludzie gorącej krwi, już poczęli na swoją rękę wołać: Vivat Rex! Ale im nie wtórowano... Jakiś szmer chodził po kupkach i rękami sobie z dała znać dawano.

Gdzieniegdzie po nad województwem wysuwa się do góry orator i prawi, a cisza jakby anioł przeleciał...

Łęczycanie, naród ochoczy, poczęli pierwsi bez Lotaryńczyka się obchodzić. Szlachcic z wąsami do pasa, z czapką w rękę a łysiną świecąca na słońcu, wylazł na siodło i prawił:

— Mości panowie a bracia -- dajcie mi ucha... proszę o głos. . .

Stała się cisza.

— Chwałą nam tu kandydatów galony złote... i miliony, i wspaniałości — a nam to po co? złota mamy dosyć, a choćby go nie było... nie poumieramy, bo chleb jest... Gdyby butów nie miał król, złoży się na nie jutro Rzeczpospolita, choćby diamentami sadzone...

Chwałą nam Lotaryńczyka *ex prosapia magna*, z potentatów domami... Sługa uniżony, chybabyśmy chcieli mieć takiego, któremuby drudzy nas zjeść pomagali! Gdyby pan Czarniecki żył, okrzyknęlibyśmy jego, bo to kość z kości naszych, a szabla i serce... Nie ma jego... obierzmy żołnierza a męźnego... weźmy Polanowskiego...

Słuchali wszyscy do końca... a nuż po Polanowskim w śmiech! Szlachcic się schował, tylko pięść ściśniętą nad tłum widać było...

Jakiś czas tylko mruczały gromadki... aż zamąciło się w Sandomierskiem i wypłynął z wiru Piotrowski... Jak się tylko pokazał, a szlachta go już z ekskluzyi Kondeusza dobrze znała — poczęto wołać: Piotrowski ma głos!..

Ten się kłaniał śmiejąc...

Zaczęto psykać — cisza nastąpiła wielka. Piotrowski odchrząknął, splunął szlachcicowi któremuś na łysinę, i nie zważając na to, mówił:

— Mili bracia... dosyć mieliśmy cudzoziemców... na Piasta kolój... kość z kości... obcy więcej od nas wynieśli, niż z sobą nam dali... Między

sobą króla znaleźć-musimy! Szukajmy go... oglądniejmy się, a znajdziemy! Niedaleko szukać potrzeba... Wspomnijcie waszmość, kto Rzeczpospolitą ratował zdrowiem, mieniem, radą, groszem, krwią, głową i sercem, i kto zubożał na jej usługach, tak, że dzieciom do pięknego imienia chleba nie zostawił?

Tu wstrzymał się, szlachta milczała, aż z opodal krzyknął Pełka od Lublinian:

— Któż, jeśli nie Jeremi, sławniej pamięci wódz a hetman?...

A Piotrowski dalej ciągnie:

— Alboż ród nie książęcy i nie królewski? alboż krew nie nasza? albo imię gorsze od Lotaryńczyka... a co serce to pewno mu nie ustąpi...

Stał książę Michał z dala o niczym w świecie nie wiedząc ze swoimi, ubożuchno, cicho, a miał na Lotaryńczyka głosować, gdy w koło niego huknęli już...

— Vivat Piast! Vivat król Michał!..

Nie zrozumiał z razu, gdy go otaczać i cisnąć się poczęto... Rumieniec mu okrył twarz.

— Mości panowie, zawołał — szydzić się nie godzi z ubóstwa pocziwego! Dajcie mi święty pokój!

Ale tu już nie żartem poszło... jeden jakby głos: Vivat Piast! Vivat król Michał!

Na twarzy młodego księcia zwykle bladziej, rumieniec walczył z trupią białością... milczał osłupiały...

Całe pole rozlegało się jednym, zgodnym, ogromnym, radosnym głosem: Vivat król Michał!

Jeżeli wybrany był zdumiony do tego stopnia, iż z razu ani słowa rzec, ani ruchu uczynić nie mógł, a potem tylko zbliżających się począł błagać, aby go puszczone — powtarzając ciągle: Niech ten kielich odejdzie odemnie! — niczém było zdumienie jego i przestach przy przerażeniu senatorów, którzy słysząc głos tak zgodny, głowy stracili.

Patrzali jeden na drugiego... uszom nie wierząc. Niektórzy poczęli pierwsi wołać: Nie może to być! Nie może to być! toć szaleństwo...

Ale szlachta grzmiała i biła im w uszy okrzykiem, który po całym polu przeleciał jak grom: Vivat Piast! Vivat Michał!

Niektórzy dodawali: Vivat syn Jeremiego!

Ta niespodzianka taką alteracją pokryła twarze wszystkich tych, którzy wczoraj umowy nowe z Lotaryńczykiem porobili, a dziś go się nieochybnie przeprowadzić sobie obiecywali — iż niektórzy jakby szaleńcem owładnięci się miotali... Ale rady nie było... Ks. Michała otoczył tłum... Piotrowski i Pełka go wiedli i prowadzili do koła gwałtem, zawstydzonego, bo ani strojem, ani postawą, ani niczém, chyba pokorą chrześcijańską na króla wyglądał...

On sam nie wiedział jak szedł...

Do koła radość ogromna, wrzawa, wołanie, czapki w górę, ręce w górę. Vivat! król Michał!

Prażmowski widząc, że ku niemu idą już prowadząc nowego króla, który parę dni temu w przedpokoju prymasowskim stał i na posłuchanie u jednookiego czekał — trząsał się niemal z gniewu. Inni, jak marszałek Sobieski, Pacowie, Morsztynowie, Radziwiłłowie, Potoccy, stali z oburzeniem i zgrozą patrząc na to, jak na jakąś komedję. Jeden Lubomirski, szwagier Michała, pierwszy doń jak do elekta z poszanowaniem przystąpił. Postrzegli się drudzy, że to już przeciwko woli narodu nie uczynić nie mogli... radzi nie radzi, aby się tłumowi i strachu zbyć, witali. Ks. Michał stał więcćj przerażony niż rad... nie wiedząc co począć...

Tymczasem Pełka, który go wiodąc do koła już przywitał królewskim tytułem, szepnął:

— N. Panie! siadam na koń... zdawszy W. K. Mości w dobre ręce, a sam do hetmanowej spieszę, bo chcę być pierwszym zwiastunem wdzięczności narodu dla krwi Jeremiego...

Jak rzekł, tak uczynił. Gabryk trzymał konie w pogotowiu, a Pełka, gdy trzeba było wyprzedzić innych, umiał nie pożałować i konia, i siebie.

Nie pytał więc ani drogi, ani ścieżki, tylko spojrzawszy ku miastu, konia ścisnął — i dalejże, rów nie rów, płot nie płot... do Warszawy... Po drodze pusto było, bo wyciągnęło wszystko co żyło pod obóz, tylko w galeryi u pani Pacowej siedziały kobiety ciekawe, czekając wieści, bo i strach miały o mężów, którzy w rozhukaną szlachtę wpadli.

Droga Pełce wypadła ku galeryi... Siedziała w oknie marszałkowa Sobieska, i księżna Radziwiłłowa, i Pacowa, i jejmości wiele, jako kwiatów w cieplarni... Gdy zobaczyły pędzącego na skręcenie karku człowieka, poczęły rękami i chustkami nawoływać:

— Bywaj! bywaj!

Pełka tylko głowę podniósł... Patrzy, siedzi i podczaszyna we fryzurze piątrowej, a mruga doń...

— Pełko mój... co się stało?

— Króla mamy! króla mamy!

Ale na złość nie rzekł kogo, i dodał rzucając im zagadkę: — Piasta obrano.

To słysząc marszałkowa Sobieska, której mąż wspaniałością swą, rycerstwem, mieniem, mężstwem najwięcej zasługiwał na koronę, najpewniejszą będąc, iż męża jój okrzyknięto, pobladła na krzesło padając...

Pełka znikł, nie powiedziawszy nic więcej, a leciał, i dopadłszy miasta, nie zatrzymał się aż u wrót dworku księżnej. Szczeńciem, furta stała otworem, położył się na siodle, aby czasu nie tracić, i tak w podwórze wpadł. Tu konia nie było komu odebrać, rzucił go więc cugle na kark zaplątawszy i do dworku wbiegł. Panowała w nim cisza i spokój, jakby nie miejski. Starzy siwowłosi słudzy dopiero się z drzemki rozbudzili, gdy kroki i pytania żywe posłyszeli.

— Do księżnej pani mam pilną potrzebę, a jadę z pola elekcyjnego, rzekł Pełka zdyszany; oznajmijcie mię proszę.

— Sługa widząc, iż zmieszany był przybyły, uląkł się.

— Na miłość bożą... czy nie jakie nieszczęście księciu naszemu...?

Uśmiech na ustach posła dopiero go uspokoił.

— Nie lękajcie się, rzekł, oznajmijcie mnie księżnie pani...

Niezwyczajny hałas w dziedzińcu i we dworku, ochmistrzynię wywiódł naprzeciw... niespokojną.

Z tą razem wszed, do izby Pełka...

Księżna zlekła się oknem widząc wpadającego konnego i stała w proggu...

Pełka ugiął przed nią kolana całując w rękę...

— Zwiastuję wam, Mosci księżno, radość wielką i sprawiedliwość bożą... i narodu wdzięczność... syn wasz królem obrany...

Matrona stała niema. Ręce miała złożone... podniosła je jak do modlitwy...

— Co mówisz, odezwała się głosem słabym — ale to nie może być!..

— Mości księżno... jadę z pola wprost, z tém poselstwem. Chciałem być tu pierwszym dobrej nowiny zwiastunem... Wyjechałem, gdy król stał już w kole, a dwadzieścia tysięcy szlachty jednym go głosem obwoływało...

— Stań się Panie, wola Twa! cicho, spokojnie z rezygnacją odpowiedziała księżna ciągle ręce trzy-

mając ściśnięte... Chciałeś mi być dobrej nowiny zwiastunem, lecz jestże ona dobra? dodała... To ciężar nad jego ramiona... biedny Michał!

I wolnym krokiem, bo się już na nogach utrzymać nie mogła, poszła do krzesła, a łzy potoczyły się z jej oczu. Są chwile bólu i szczęścia, które poszanować należy i dać im w samotności spłynąć. Pełka zrozumiał to i cofnął się — spełnione było poselstwo jego.

Jeszcze się z dziedzińca nie oddalił, gdy w Warszawie we dzwony uderzono. Nowina wielka, *gaudium magnum* przelatywało ulice... otwierały się kościoły, szlachta w tryumfie wiodła swojego króla, za którym z dziwnymi obliczami pochmurnymi jechali panowie zwyciężeni przez jednego odartego szlachetkę, który ogłosiwszy króla, znikł i więcej się nie pokazał. Spłatawszy tego figla, tak rad był, iż mu już nic do szczęścia nie brakło, tylko się pod własną dostać strzechę i sąsiadom rozpowiadać, jak króla zrobił.

Mało do tego brakło, że na złość magnatom Polanowskiego, który był prosty żołnierz, ale mężny, nie wybrano. Gdyby Wiśniowieckiego Pełka nie poddał na przekór panom, Polanowskiemu się dostać mogła tak dobrze korona, jak każdemu innemu. Szlachcie już tylko o to szło, aby swojego pana dała Rzeczypospolitej.

Konfuzya panów senatorów nie daje się ani opisać, ani określić... Prowadzili króla: ks. prymas



zzymając się, marszałek patrząc nań z góry, inni ramionami ruszając.

— Toż to król? pytali szydząc.

Ks. Michał po téj kalwaryjskiej jadąc drogą do zamku, mógł słyszeć niechętne wykrzyki i szyderstwa... Odziany jak zawsze chodził, bardzo skromnie, jechał podobniejszy do skazanego na śmierć, którego na plac prowadzą, niż do króla wiedzionego na zamek.

To co go otaczało, stokroć świetniej wyglądało, ale pożółkło z gniewu i z zazdrości, i z szału. Co począć?

A nie było już co poczynać, bo szlachta z szablami była niedaleko i wolę swą ogłosiła.

— Cóż wasza pasterska mość na to? szepnęła do Prażmowskiego Sobieski.

Zmleczął prymas — a potem rzecze:

— Alboż my to przykładów abdykacyi nie mamy, gdy na tronie niewygodnie?.. Zaprawdę powiadam waszmości, że na jeżu siedzieć będzie, nie na tronie.

Drudzy już się pocieszali tém, że spokojnym i skromnym a cichym królem władać będą mogli jak zechcą... Elekcyja wydawała się śmieszna, niepodobna, szyderska. Król nie miał na stajni dziesięciu koni, a w orszaku ani dworzan dziesięciu, nie miał kolebki, jechał na koniu, od którego lepsze daleko Sobieskiego dworzanie dosiadali...

Nie było sreber na stół, ani obić do izb w zamku odartych, ani stroju, ani splendoru żadnego... Pierwszy szwagier Lubomirski co miał, ofiarował i podsunął...

Pełka już wprzód dopadłszy dworku, srebro swe na zamek zanieść kazał...

Poszli za tym przykładem inni... bo po odśpiewaniu w kollegiacie zamkowej *Te Deum*, przekonali się wszyscy, że to się już zmienić nie może, przekonał się Michał iż w samej istocie królem był...

Ostąpili go natychmiast ci, co go wczoraj znać nie chcieli, i do których on przystąpić nie śmiał... pochyliły się głowy, choć może odbiegły serca...

Tylko szlachta i tego wieczoru, i następnych, szczęśliwa była a zwycięzka... a śmiano się, i płakano, gdy tymczasem każdy coprędzej troki sposobił, konia siodłał i obóz zwijano, pośpieszając do domów, bo się byli i objedli, i odarli, i pobrukali, a no, postawili na swém, i radość była niezmierna...

Pełka Lublinian sprosił, ale dom był za ciasny... W podwórku rozbito namioty, zastawiono stoły, na kozłach ustawiono beczki... Nie miał jednak pokoju, dopóki Piotrowskiego nie wyszukał. Ledwie go było można wydobyć z sandomierskiego obozu, już uprzątającego co miał i sposobiącego konie do drogi.

— A tuś mi! zawołał Pełka chwytając go w pól. Mam cię i nie puszcę, musimy u mnie wypić za

zdrowie naszego króla Michała... bośmy go przecie, dalipan we dwóch z waćpanem na tronie posadzili.

— O czém nikt wiedzieć nie ma — rzekł odwracając się Piotrowski. Pan Bóg go uczynił królem, ani ja, ani waszmość tylko nas za narzędzie użył... a że poszło gładko... to prawda...

— Ja sobie nic nie przyznaję, zawołał Pełka, wszystko waszmości.

— A ja sobie nic, a Panu Bogu wszystko... odparł Piotrowski z udaną pokorą, i śmiał się. Co prawda, to prawda — dodał, — stał się żółtobrzuchom figiel wielki, którego nie strawią tak prędko... Chcieliście waszmość korony dla niego... wasza rzecz... lecz żeście mu dali cierniową, to pewna...

— A *gratia status?* przypomniał śmiejąc się Pełka...

— Nie łapmy ryb przed niewodem, odparł Piotrowski. I dał się przecie zabrać do miasta... gdzie na nich we dworku oczekiwano. Dom i podwórze pełniuteńkie było... gwar wesoły, ogromny. Cieszył się każdy, że powróci do żony i dzieci...

Wprzódę jednak, co kto miał droższego, piękniejszego, to na zamek postanowili nieść i dawać, aby szlachecki król nie powstydził się ubóstwa swojego...

Był to jakby jeden głos, że szlachta co go wybierała, wyposażyć go też musi.

Pełka srebra swe pierwszy zniósł i pod stopy króla rzucił...

Zabawiono się tak noc całą, gdy elekt z zamku się wymknąwszy, do dworku matki samotnie pojechał po błogosławieństwo, i były tam łązy wielkie, i radość wielka nie dla korony, ale dla pamięci Jeremiego.

Nadaniem przerzedziło się u Pełki, bo mu szlachta wymykała się i uciekała, a już jój ze dniem wstrzymać nawet nie było podobna... Ledwie Piotrowskiego owego potrafił na polewkę jeszcze zaprosić i uprosić gospodarz, którą już samoczwart z Godziembą i Laskowskim pili.

— Jak ja sobie myślę o moim dworku pod słomianą strzechą — mówił Piotrowski... a o tych splendorach, z którymi moja bieda wojowała — sam się sobie dziwuję! a wierzajcie mi panowie i bracia, że gdy z tłumami do czynienia się ma, śmiały tylko wygrywa; albo szyją nałoży lub zwycięży... środka nie ma... starosta lub kapucyn...

Nazajutrz dzień był wielkiej niespokojności, narad, konszachtów i trosk dla panów, którzy bocząc się szli na zamek... gdzie jeszcze nie było prawie jak i o czém królować... Już się wiązały intrygi za i przeciw królowi, który jeszcze o sobie sam nie wiedział spełna, czy na jawie żyje, czy we śnie... Tłumy cisnęły się z podarkami, tak, że puste izby zamkowe zawałono rupieciami wszelakiem, które dwóch pisarzów ledwo zdążyło spisywać.

Stajnie i wozownie, i kredens, napełniało się tak wszystko, a często ten co przynosił coś, ani nawet nazwiska swojego powiedzieć nie chciał.

Pan Pełka ani tego, ani następnych dni do zamku nie szedł, aby się nie zdawało, że się o co upomina lub czegokolwiek pożąda... Potrzebował też wypoczynku, bo mu czas elekcji był mozolny bardzo, i rzadko dospać mógł z ludźmi ciągle mieniającymi się starcząc sam jeden. Teraz przychodziło opamiętanie, cisza i stare myśli a tęsknoty...

Podczaszynę był najrzał w galeryi i myślał mimowolnie o losie jęj córki, o której żadnej wieści dostać nie mógł. Już dla tego samego z pustelni swęj postanowił się wyrwać, ażeby języka dostać o Jadwidze. Niesforne też owe a bałatmutne plotki o nim już się były jakoś uciszyły, i przestano dopytywać o pochodzenie bogactw jego, z których nabyciem jak dawniej się taik.

Godziemba nawet przestał go badać i kołować, aby z niego coś dobyć. Tajemnica, która te lata życia Pełki otaczała, us্পiona była przez to, że on sam mało się w świecie pokazywał... Teraz zażądał u dworu się stawić i między ludzi znowu wnijść.

W tych myślach trzeciego dnia, widząc się z Godziemba, odezwał się doń:

— Widziałeś się, panie łowczy, z boginią swoją?

Łowczy westchnął.

— Właściem o nią mówić miał — rzekł. Boginią nie jest, chociaż prawdę powiedziawszy, Endymion wysiwiął, a bóstwo strasznie utyło... I to jest dziwna rzecz, iż ta kobieta mimo tylu trosk i takiej ruchawości, zamiast wychudnąć, jeszcze ciała nabiera...

Rozśmiał się Pełka.

— Snadź te troski nie bardzo jej dogryzają — odpowiedział; — nie jest ona ani dla waszmości czuła, ani dla córki, ani dla nikogo na świecie, oprócz siebie samój.

— Licha tam! — szepnął łowczy -- przecieżem ją widział łąy lejącą...

— Kiedy?

— Nie dalej niż pozawczoraj...

— Cóż to? czy faworyt piesek zdechł? czy papuga?

— Nie żartuj waszmość — odezwał się Godziemba wdychając — abyś tego nie żałował.

— Cóż to tam było? bystro spoglądając mówił Pełka — czy tajemnica?

— Nie proszono mnie o nią — zaczął Godziemba — pono tam z tém małżeństwem coś nie dobrze...

— Mówże waszmość? przyszły wieści jakieś?

Godziemba się zająknął... potarł czoło, nie wiedząc czy ma zmilczeć, czy mówić dalej; ale Pełka go naglił i już na pół słowie zatrzymać się nie było podobna.

-- Nie zdradź mię tylko waszmość, iż odemnie to wiesz, to już opowiem wszystko... odezwał się łowczy. Niedawno się pobrali, a już bardzo tam źle... Z listu księżny widać, iż z mężem się poróżniła. Powiódł ją wprost, jak sobie życzyła, na dwór cesarski... Siła tam zawsze ludzi i kawalerów dostojnych, i książąt, i grafów imperyi... Co dziwnego, że się młodej kobiecie chciało ludziom podobać? Mimo swych lat dwudziestu kilku, zawsze to dziecko jeszcze. Może się i poczpiotała, a pewnie tam tak dalece nic złego nie było, przecież się to staremu nie podobało...

— I cóż? zawołał Pełka drżąc z niepokoju i niecierpliwości — i cóż?

— Dyssymulował podobno, aż wreszcie — kończył Godziemba — namówił jejmość na podróż do Szlązka... Pojechali tedy zwiedzać owe zamki sławne... Księżę ją tam zawiózł... sam prysnął, a ją nieboraczkę pod strażą pono w jednym z tych zamków osadził...

Pełka załamał ręce, brew mu się ściągnęła.

— Zabićby tego łajdaka! krzyknął w pierwszym wybuchu gniewu. Jakto! żeby on śmiał? To nie może być!

— Z wielkim strachem, bo jej i pisać nie wolno, przekupiwszy ludzi, księżna do matki dając znać o sobie napisała...

Z jej listu więc najpewniejsza wiadomość. Prońskiego od dwóch miesięcy nie ma, a ona tam sama

z dwojgiem sług pod strażą niemal trzymana, łzy leje...

Pełka słuchał wsparty o stół, nie dając już wcale poznać po sobie, jakby go ta wiadomość obchodziła. Pomyślał długo nim usta otworzył.

— Powiedzieć choć wy podczaszynie — odezwał się w końcu — że nieczyją to winą, tylko jęj własną, że ona ten los córce zgotowała... że płakać nie powinna, bo tego chciała... bo to jęj sprawa, tęg kobiety...

— Nie mów waszmość nic na nią — przerwał Godziemba. Boginią moją jest, nie mogę słuchać... A! co prawda, to nie grzech — powinaby sama jechać, córkę z tych rąk wyzwolić — i nie ma odwagi. Powiada, iż się lęka, aby i jęj więzienie podobne nie spotkało, gdy się ksiązę ułęknie rozgłosu...

— Cóż myśli? zapytał Pełka...

— A no, płacze... Po kobiecemu, *ultimum refugium lacrimae*...

Śniadali potem milczący, bo Pełkę jakby kto przybił, mówić nie mógł, czoło tarł, wasy targał, wzdychał, wstawał, chodził, rozmyślał, i jak łowczy o co zagadnął, odpowiedzi innég otrzymać nie mógł, tylko: „Coś waszmość mówił? nie sły-szałem“.

Jakoż myśli własnych słuchał tylko cały czas, i łowczy widząc, że już tu nie ma co robić! w końcu go pożegnał.



Chodził jeszcze po dworku Pełka do południa, a gdy do stołu dano, nie jadłszy wstał — i chodził znowu do nocy, i nie położył się spać do późna, a Gabryk przedrzemał krótką czerwcową noc do świtu, czekając na zawołanie.

Dniało już, gdy się Medard rozebrał i legł, a w parę godzin wstał i na Gabryka zawołał:

— W drogę jedziemy! rzekł krótko — spobić się...

— Do Gołczwi? zapytał Gabryk ziewając.

— Nie — odparł Pełka — ale koni powodnych dwa, troki dobre i broń jak najlepsza...

— Juściż nie na wojnę, bo o niej nie słychać?

— Tak jak na wojnę — krótko rzekł Pełka — dziś musi być gotowo pod noc. Dni gorące... Nocą dla koni iść zdrowiej — wyruszymy z północy...

Wiedział Gabryk, że się wiele więcej nie dowie i zmilczał... Z południa pojechał Pełka na zamek...

Król naówczas, choć jak w oblężeniu trzymany, wszystkich przyjmował, dano i jemu posłuchanie... Czekają nań różnej szlachty i panów dosyć — wyszedł młody król nieśmiało, kłaniając się i unikając ręki dawać do pocałowania. Wystrojony po niemiecku, w peruce ogromnej, którą dla mody nosić musiał, wydał się Pełce zmienionym bardzo, zbladłym jeszcze i zmęczonym. Uśmiechem go powitał i podszedł zaraz ku niemu.

— Dla czegom ja waszmości jeszcze dotąd nie widział? rzekł; podziękować mu chciałem... Mówiła mi matka, coś dla niej uczynił; znalazłem imię wasze na spisie tych, co mnie obdarzyli. Król Michał za księcia Wiśniowieckiego długby rad zapłacił.

— N. panie — odezwał się Pełka — dług dawno zapłacony łaskawem dla mnie sercem W. K. Mości, zapłacony zawiązką.

I skłonił się.

— Przyszedłem tylko dziś pożegnać W. K. Mość, na dłuższy może czas potrzebując się ztąd oddalić — i prosić pana miłościwego o zachowanie mi w sercu jego łaski i życzliwości.

— Tych waszmość pewien być możesz — odezwał się król — lecz cóż za podróż mnie was pozbawia.

— Pilna, i w takiej sprawie, iż o niej mówić nie mogę — dodał Pełka wzdychając...

— Na długo?

— Ani tego wiem — rzekł Medard.

— Niechże Bóg szczęści — po chwili milczenia odezwał się król zdejmując z palca pierścień. Uczyni mi to waszmość, abyś odemnie choć tę małą przyjął pamiątkę. Pochodzi ona od ojca mego, była rodzinna pamiątką, lecz jest wolą mej matki i moją, ażeby się ona waszmości na znak mej wdzięczności dostała. Byłeś mi przyjacielem, gdym innych nie miał; dziś mi ich dosyć korona przyprowadziła,

a wszyscy mniej są drodzy od was... boście do mnie nie na fortuny kole przyjechali.

Pełka ucałował rękę królewską. Rozmowa przerwać się musiała, bo tuż nadchodzili inni, panowie a dygnitarze z pilnemi sprawami, którym król na siebie czekać dać nie mógł.

Pełka, który z innymi razem słyszał tę wieść naówczas szerzoną powszechnie, iż król drugiego dnia obiadując u prymasa, od stołu wstawszy, zachorzał i było otrucia posądzenie — popatrzył z uwagą na oddalającego się... W istocie wycieńczenie, zniekanie, boleść znaczna była na twarzy Michała, ale trucizną dlań nie była ta, którą mu z kuchni jakoby podać miano; truto go już mnożąc mu troski, a odmawiając posiłku i serca... W otoczeniu swém czuł niechęć i nieszczerłość... Pokora, którą go otoczono, wymuszona i fałszywa, podobniejsza była do szyderstwa...

Z przykrém wrażeniem cofnął się Pełka ustępując miejsca innym, i wyszedł z zamku zadumany nad losami ludzkiemi. Koronę mu szlachta mogła dać, ale ani szczęścia, ani spokoju...

Wróciwszy do domu, tegoż dnia Pełka do trzosa z kufra nasypał garścią złota tyle, ile ich trzos i on mógł podźwignąć. Przepasał się nim, i nie kładąc się nawet spać, z północy o konie gotowe zawołał... Wierny Gabryk i on ruszyli przez śpiące miasto, i nie widziani od nikogo, ze dniem byli już od Warszawy daleko.

Łowczy przyszedłszy na śniadanie, ze zdumieniem dowiedział się, iż Pełki w domu nie było, i że niewiadomo ani dokąd, ani na jak długo wyjechał.

Dawno to zasiedlony kraj ów Szlązk, i ślady innego życia zostały na jego ziemi do dziś dnia. Każda epoka po sobie jakąś przyszłości przekazuje ruinę: tu szlachecko-rycerski żywot i wojny nasyłały zamków po wzgórzach i małych twierdz u brzegu rzek. . .

Wiele z nich zostało jak skorupki puste, z których wyszło co w nich niegdyś ruszało się i żyło; w niektórych jeszcze dogorywały życia ostatki w XVII wieku. Lecz mieszkańcy dawni, czatujący na łup napastnicy, królikowie na małych państewkach rozbiegli się po szerokim świecie, i ledwie czeladź smętna odrapanych murów strzegła.

Tak teraz wyglądał Branibórz księcia Prońskiego, przezwany Brunenburgiem, mały zameczek u brzegu niewielkiej rzeczki, na wyniosłym wzgórzu, z którego resztki murów pozostałe, cała główna budowa i stara wieżyca, białeły z dala na pasmie lasów, które je okrażyły. U stóp zameczku rozciągała się dawna osada z kościołem i murańwanami w części, częścią drewnianymi domkami. Okolica była zapadła, odludna, oddalona od wielkich gościńców i skazana położeniem na martwe wegetowanie wśród ciszy lasów i pustyni piasków. Zamek sam zdawał się tu dziwacznym zjawiskiem, gdyż

nieprzyjaciel dostaćby się tu ani pragnął, ani ła komił, a kraj najchciwшему nie zasmakowałby zdobywcy.

Wprost z małej mieściny droga się pięła pod górę, za zwodzonym mostem, ku bramie stariej, siedzącej szeroko pośród murów okólnych najeżonych kilku basztami. Po nad bramą dwie wieżyczki chude sterczały jakoś niezgrabnie... Nad wrotami wmurowane stare herby nieczytelne, świadczyły o przeszłych posiadaczach; wyżej nieco wykuty był patron miejsca z chorągwią...

Wrota jeszcze były w stanie obronnym, okute żelazem, najeżone ćwiekami, a mała furta boczna zastępowała je zwykle, bo mało tu kto z wozem wjeżdżał.

Za murami i wrotami nic już widać nie było, i zamek niknął z oczu przychodzącemu. Dopiero przebywszy ciemną, głęboką bramę, której drugie wrota od podwórza broniły, wszedłszy w środek, można się było zamczysku przypatrzeć.

Budowa była osobliwsza, i snadź nie razem wzniesiona jak Kraków, bo i kamień polny, i cegły, i wapień krajany w sztuki wypełniały w znacznej części niepotynkowane mury... Zamek stał w środku podwórza przyparty do wieży kwadratowej starszej niż on był, z herbami téż i kamieniem ciosanym na bokach, i zlepiiony jak gniazdo nieregularne, z każdej strony, boku, a raczej co krok inaczej wyglądał. Gdzieniedzie miał dwa piętra, indziej

trzy, to znowu mur bez okien goły, a daszki, przyczółki, czapki gontowe i poczepiane pokrycia z dachówek dowodziły, że budowniczym weale o symetrię nie chodziło. Niektóre części były ozdobnie wykonane, inne grubo i niezgrabnie, łuk gontycki, półokrągłe zasklepienie i linie proste żeniły się żyjąc z sobą w zgodzie.

Z dawnych czasów pozostały gdzieniegdzie w ścianach jakichś ozdób ślady, z dawniej pobożności wizerunki Chrystusa i kalwarye przyklepane do ścian... przypominały kościoł... Naderzwiami tu i owdzie herb jeszcze tkwił na pół zatynkowany...

Wszystko to smutne było, opuszczone jakieś, ubogie, ciasne — bez życia. W podwórzu niegdys brukowanym, którego kamienie na pół ziemia okryła, rosła trawa i chwasty. Na murach nawet gdzieniegdzie czepiały się dziko tu wyrosłe krzewiny leśne i drzewka. Ze szczelin wyglądały mchy i stwardniałe pleśni płaszcze... Gdzieniegdzie brakło na dachach gontów przegniłych i obsuniętych dachówek... w niektórych oknach błony były potłuczone, a części ich zamiast po staremu w ołów, w drzewo już były niezgrabnie opravne.

Obchodząc zamek, trudno było główne wniście odgadnąć; bo ich tu do siebie prawie podobnych było kilka...

To, które niegdys do wspanialszego za dawnych czasów zamczyska wiodło, odznaczało się szerokiemi drzwiami, które zamurowawszy, w nich cia-

śniejsze nowe pomieszczono. Na tablicy nad niemi stał napis zatarty, z którego tylko kilka głosek luźnych jeszcze odczytać się dawało. Ze ścian wyskakiwało parę ganków z balasami, parę kletek murowanych szafiastych, i jedne schody drewniane ucepione przy murze prowadziły wprost na piętro...

Oprócz zamku do murów przypięte stały szopy jakieś i domy pomieszane z sobą, od których wydeptane ścieżyny do zamku prowadziły...

Tam, gdzie kortyny stare niżej spadając kawał góry dziedzińcowi zostawiły, znudzony snać mieszkaniac tej pustelni kamienną założył rodzaj ogródka... Kilka starych drzew rosło na obrywie i krzewy się zdziczałe plątały koło nich... Z pobożniejszej epoki stał tu wśród lip krzyż kamienny, który deszcze, mrozy i skwary po trosze obłupywały...

Zamczysko ciche... puste, stało zdając się dogorywać; przecież choć tam żywej duszy widać po całych dniach nie było, ścieżki dowodziły ludzi, zamcyste bramy i ślady wozów i koni...

Skazany na pobyt w tym więzieniu, musiał nawykłszy doń zamknąć się potem, aby do świata nie tęsknić i swój sobie świat zbudować w cichym tym kółku kamiennym...

Gorącego dnia czerwcowego, gościńcem jedynym wiodącym ku mieścinie, jechał podróżny ze służką, który wiódł dwa konie pokryte. Oglądali się po okolicy ciekawie, ostrożnie... i nie pędzili zmęczo-

nych koni... Brnąc po piasku dobili się tak do pierwszych domostw i wjechali w długą ulicę ku rynkowi wiodącą, przy którym stał murowany kościół.

Naprzeciw niego wiecha zielona wywieszona nad przyczółkiem zwiastowała gospodę. Na blaszanej chorągiewce na dachu wystrzyżony dzban, stanowił godło jej, zwała się bowiem gospodą pod „Złotym dzbanem“, chociaż w niej inny nigdy nad gliniany i cynowy nie powstał.

Niemiec był jej gospodarzem... Nie miał on oprócz dni targowych, jarmarków i odpustów wiele do czynienia, chyba, gdy panów mieszczan na radę poufną schodzących się przyjmował.

Podróżny był tu jedną z tych osobliwości widywanych tak rzadko, iż go w kronikę zapisywano. Musiał to być człowiek zbłąkany, bo tędy nie wiodła żadna utorowana droga. Mieszkańcy Braniborza żyli w tej szczęśliwej spokojności, jakby jedną stanowiąc rodzinę, i dzieci mogły w koszulach wychodzić na rynek dla zabawy, będąc w nim jak u siebie w domu.

Gdy pod wieczór w pustej ulicy zatętniały końskie kroki, a zbrojni podróżni ukazali się jadąc z wolna i rozglądając po mieście, wprędce niemal cała ludność wysunęła się na progi, do okien w ulicę, aby to zjawisko osobliwsze oglądać...

Dzieci zaczęły uciekać wprawdzie, ale u drzwi się skupiały... Ile było psów, wybiegły zjadliwie



ujadając, i w ślad gromadą przeprowadzając podróżnych.

Nim owi goście dostali się do rynku, w którego domach mieszkali honoratiores, i właśnie pod gankami powychodzili sobie używać wieczoru, który chłodniejszym się być obiecywał — dzieci, psów i różnego rodzaju stworzeń cała gromada ciągnęła się za nimi.

Najciekawszy był widok spętanego konia, który dzielając zajęcie powszechnie cudzoziemcami, choć powoli podskakując, ciągnął też za nimi, dla zrobienia znajomości z luźnymi końmi zapewne. W rynku wrażenie było też niemniejsze. Pasły się na nim dwie krowy burmistrzowskie, które z razu niespodzianym widokiem osłupiały, puściły się potem z podniesionymi ogonami jak szalone ku swoim podwórkom. Ludzie i tu nie dali się wyprzedzić zwierzętom... gospodynie z warząchwiami, dziewczęta z kijami i miotłami, jakby w obronie ojczystych progów stanęły.

Ostatni wyszedł Niemiec z gospody, w krótkich spodniach, w pończochach, trzewikach ogromnych, białej szlafmycy, porozpinany poufale, co sam zaraz spostrzegłszy, jał się żywo obciążać... aby wystąpił z całą powagą do podróżnych, którzy gdzieindziej niż do niego zajechać nie mogli.

Jakoż rozpatrzywszy się nieco, cudzoziemcy owi zakręcili pod „wiechę i złoty dzban,“ co widząc właściciel, jał knechta wołać co żywo, aby sam po-

wagi swój nie potrzebował narażać, odbierając konie własnoręcznie.

Na twarzy owego Franza Müllera, gdyż tak się zwał właściciel „wiechy,“ tak było znać wypiętnowane pochodzenie jego, iż starszy z podróżnych pozdrowił go od razu po niemiecku. Dźwięk tego języka podwoił służbistość Müllera... zdjął okrycie głowy i obnażył łysinę, kłaniając się i zapraszając. Podróżny też na szlachcica i rycerza wyglądał od razu, poznał w nim Polaka Müller, i nie mógł się tylko wydziwić, że tak łatwo po niemiecku szwargotał.

Przed bramą zsiadli pan i sługa z koni, a Müller poprowadził ich do izby czystej i oddzielnej, którą mógł gościom ofiarować. Zaręczał przytém, że u niego chyba ptasiego mleka mogło im zabraknąć.

Niewiele do tego zdając się przywiązywać wagi, podróżny wszedł milcząc do izby, obejrzał się i głową tylko skinął.

Müller z natury gadatliwy, a w tym wypadku nie dziw, iż ciekawością niezmierną zdjęty pozostał w progu. Szło mu o to, aby gromadzącemu się już przed domem tłumowi mógł przynieść jakąś pewną o tych zabłąkanych podróżnych wiadomość.

Acz zmęczony, rycersko wyglądający mężczyzna, począł się trochę rozbrajać, i zdawał się dosyć do gawędy skłonny.

— Piaski macie szkaradne, mości gospodarzu — rzekł zdejmując misiurkę od pasa i szablę.

— U nas? piaski? tak! rzekł Müller z pewną dumą — piaszczysty grunt, ale to niczém w stosunku do wydm w okolicy... Niech się pan przejedzie po Wignach...

— Dziękuję, odpowiedział podróżny — mam tego dosyć.

— Piaski to są żyzne, bronił się Müller; a właściwie nawet ziemi tej błogosławionej piaskami nazwać nie można... Lecz siedzą na nich ludzie, którzy chyba by biecze z nich chcieli kręcić... gdyby tu Niemcy przyszli, rosłaby pszenica...

— A panem tu macie Polaka... wtrącił podróżny — na nieszczęście.

Müller popatrzał.

— Nie jest to nieszczęście — precedził przez zęby — lecz to chyba, że tu nigdy nie siedzi.

— Jakże? przecież się go musicie spodziewać, gdy tu już żonę sprowadził i posadził?

Ta znajomość stosunków miejscowych tak mocno zdziwiła Müllera, iż na chwilę zatopiony w domysłach, zamilkł. Po głowie mu chodziło, kto to mógł być taki, co tak o wszystkiém wiedział? Najprostszym domysłem było posądzenie, iż to ktoś do tego pana należący, i od niego przysłany. Müller mający się za przebiegłego, sądził, iż nieochybnie zgadł.

— Ale zamek wygląda pusto, rzekł od niechce-  
nia podróżny.

— Zamek? pusto? powtórzył Müller: no! z daleka! może! Wszakże jest to jeden z najpiękniejszych Rittersburgów w okolicy... gruntownie zbudowany... pioruny w niego biły, a nic mu nie zrobiły... Ściany trzyłokciowe... a w środku jest na co popatrzeć. Wspaniały był i nic mu dziś zarzucić nie można. Jest w nim wszystko... Studnia na wypadek oblężenia doskonała... sale rycerskie... kaplica... a więzienia! Gdybyś pan widział więzienia i lochy... i izbę torturową... i sądową... Wszystko jest...

Podróżny się uśmiechnął nieznacznie, lecz smutno.

— Ale w nim dawno nie mieszkało? zapytał.

— Dawno! o! dawno! Jednakże księcia naszego poprzednik, po którym te dobra sprzedano... siedział tu czas jakiś i umarł nawet. A trzymał dwór znaczny i lubił wygody... Codzień potrzebowano wołowego mięsa, i piwo szło beczkami na zamek...

— Teraźniejszy wasz ksiązę także tu przebywał?

Na to pytanie Müller nie zaraz odpowiedział.

— Ksiązę podkomorzy, rzekł w końcu, bawi na cesarskim dworze; czasem zjeżdża dla obejrzenia czy wszystko w porządku... posiedzi dni parę... ale mu nudno...

— Żonę tu jednak posadził? — odparł podróżny.

To wspomnienie wydało się podejrzanę gospodarzowi... Poszedł po rozum do głowy:

— Rozumiem, rzekł w duchu, chce mnie wybadać, to szpieg książęcy. Radby, żebym co bryznął, aby mnie wypędzono i Polaka osadzono w gospodzie... alem nie głupi.

Tak wyrozumowawszy sobie, Müller odezwał się głośno:

— Pewnie sam też przyjedzie — a we dwojgu z młodą żoną nudno im nie będzie.

Tak doskonałą dawszy odpowiedź, Müller potarł z czoła. Czuł, że tryumfuje.

Podróżny chodził po izbie. Postanowił mu gospodarz okazać, że się na rzeczy rozumie, i dodał:

— Pan też zapewne znajomy księcia pana, i może do dworu?...

Uśmiechnął się to mówiąc. Podróżny się zamyslił, zwrócił i rzekł:

— Nie... zbłąkałem się w okolicy... i ot tak wypadkiem tu jestem... czystym wypadkiem.

— Ktoby oi uwierzył? ha! zdrajco ty jakiś! w duchu szeptał Müller — nie złapiesz ty mnie.

— Przypadkiem? dodał śmiejąc się. Ale cóż to za osobliwszy wypadek, że się waszmość tu dostałeś właśnie, gdzie znajomy pan, a nawet i wiadomo już, że tu żona jego mieszka?

— Bom długo służył na cesarskim dworze — odrzekł podróżny — no — i wiem o tych, co tam

sa... Możeby mi wypadło i księżnę jutro odwiedzić...

— A tak! pewnie! w duchu myślał Müller: udawaj obcego, udawaj — a ja co wiem to wiem.

Daléj więc niby komedye grając, rzekł głośno:

— Już to księżnę panią odwiedzić, to nie wiem... chyba... chyba pan miał tam jakie prawo do tego, bo do zamku sładzy z obawy niespokojnych czasów nie puszczają nikogo.

— A! a! zawołał podróżny, nikogo?

— Nie wiem, chybaś pan... miał... pozwolenie, znak jakiś... hasło...

Na to zamilkł podróżny.

— Szpieg księcia, to niewątpliwa rzecz! mówił sobie Müller.

— Nocujesz więc pan pod moim dachem, dodał głośno — proszę o rozkazy... mam co potrzeba, aby dostojnego rycerza ugościć... czego dusza zapagnie.

— Nocować muszę, odparł gość, a że konie mam pomęczone, zapewne dzień jaki spocznę.

— Tak! dzień jaki spocznie! to moje domysły potwierdza. Wybierze się pewnie do zamku na zwiady... rozumiem.

Na zapytanie co rozkaże sobie dać, gospodarz odebrał odpowiedź rozwiązującą mu ręce. Postanowił co się zowie, tego, jak się domysłał, wysłańca ksiązęcego ugościć. Skłonił się więc, wyszedł szybko

za drzwi, i miał skoczyć do żony, gdy rozbił się o zastęp ciekawych, zapierający mu drogę.

Schwymano go jak wybawiciela.

— Kto? kto jest? kto może być? mruzczyli, domagali się, wołali wszyscy.

Müller minę nastroił tajemniczą, poważną. Nie mógł się zdradzać przed długojęzycznym tłumem. Wziął tylko burmistrza na stronę.

— Nie ma wątpliwości, to szpieg od księcia wysłany, który udaje obcego... doskonale wie o wszystkim... Każcie się rozejść ludziom precz... i żeby cicho było w rynku... życzę... życzę...

Burmistrz, który wysoko cenił przebiegłość Müllera, wnet zajął się oczyszczeniem podwórza i ulicy... Z powagą urzędu skinął na pacholków... ludność zagrożona interwencją władzy, rozprysła się pospiesznie na wszystkie strony... Sam burmistrz poszedł cichaczem do domu...

Ciekawość nie była zaspokojona, lecz pospiech, z jakim urzędnik wdał się w sprawę wywołanego przyjazdem tumultu, dawał się domyślać, iż nie lada kto zajechał do gospody... Mógł być bodaj, wysłaniec cesarski...

I stało się tak cicho i powszednio w rynku, że po chwili nawet dwie krowy wróciły na jego trawnik zielony.

Słońce tymczasem zbliżyło się ku zachodowi, i powolny zmrok padać zaczął na uspokojoną, cichą okolicę. Podróżnemu podano co dom miał naj-

epszego : najświeższą wieprzowinę , najwymyślniejsze piwo , najpiękniejsze jaja , najbielszy chleb... A chociaż służąca wносиła na cynowych misach jak srebro błyszczących , przybrawszy się sama w szaty świąteczne , gospodarz pod pozorem zwierzchniego nad nią oka , sam się mieszał , rad rozpocząć rozmowę na nowo. Próbował był ją zawiązać z towarzyszem podróznego , którego wyobrażał sobie łatwiejszym do pogadanki , na tém się wszakże pomylił , bo ten wcale mu nie odpowiedział.

To ostrożne milczenie sługi jeszcze bardziej utwierdziło go w przekonaniu , że się tu coś święci , na co należy zwrócić uwagę niezmierną... Rachując na wywnętrzającą moc trunku , gospodarz na ostatku z flaszką wina poszedł do izby podróźnej... Zachwalał ją jako coś szczególnego , czego i na zamek dostarczał.

W milczeniu flaszę przyjął przybyły.

— Któż tam na zamku wino pije? zapytał.  
Z panią na zamku dwór niewielki?

— Wszystko wie — uważał Müller.

— Kobiety mało wina piją to prawda , rzekł , ale pięciu dworzan moich landsmanów , a para Polaków...

Spojrzeli po sobie. Müller się uśmiechał. Ta komedia grana tak długo , w końcu mu się sprzykrzyła... Zbliżył się do stołu , i z uszanowaniem pochylił ku podróznemu.



— Proszę zacności waszój... zaszczycić mnie zaufaniem — rzekł — ze mną możecie być otwarcie. Do czego to udawanie? ja wszystko rozumiem...

— A! i jakże wy to rozumiecie? spytał podróżny.

— Rzecz prosta, rzekł Müller po cichu. Książę waszą zacność tu przysłał, abyście zbadali co się tu dzieje i czy jego rozkazy spełniają się wiernie a uczciwie... O! panie! bywały człowiek jestem! Domyśliłem się tego od razu. A co? nie tak?

Uśmiechnął się podróżny.

— No — a gdyby tak było? spytał.

— Gdyby tak było — odparł żywo Müller — a nie wątpię, iż tak jest... pan się mnie przyznaj... ja będę mu pomocą...

— I dochowasz waszmość tajemnicy?

— Ja? spytał Müller: żadna potęga w świecie nie dowie się jój odemnie! Można mnie wsadzić w beczkę nabitą żelaznemi gwoździami i taczać... gęby nie otworzę...

Rycerz przybyły milczał tak jakoś zagadkowo, że Müller czuł się powołany do gadania.

— Niech to będzie tajemnicą dla tłumu... dla gawiedzi... tak należy; ale ja powinienem wiedzieć o wszystkiém... Wasza miłość nie obejdiesz się bezemnie. Możecie udawać obcego i wypróbować ludzi zamkowych... Ja pomogę... Od księcia pana nic za to nie żądam... może mnie od części czynszu uwolnić, jeżeli łaska jego będzie...

— Mówże mi waćpan, szepnął podróżny, po którego ustach uśmiech przeleciał — dobrze oni zamku pilnują?

— Hm! rzekł Müller, a czyż to zamek potrzebuje pilności? Wrota zatrzasną, popijają się i śpią. Nie ma tu żadnego niebezpieczeństwa. Młoda pani chodzi po wałach, po podwórzach, po zamku, drapie się na wieże... Może nawet wołać z nich na okolicę... Któż to tu usłyszy? kto zobaczy? Ludzie z miasteczka cokolwiekby myśleli, milczeć będą... bo więzienia na zamku są doskonałe.

— I uciec z nich niepodobna?... dodał podróżny.

— Chybaby kto miał skrzydła — rzekł gospodarz — albo... albo klucz od której furty bocznej...

— A te są zamczyste? pytał rycerz.

— Jużciż — mówił Müller — ale dwoje z nich wychodzi na górę z przeciwnej strony... a choć ścieżki strome, możnaby się spuścić niepostrzeżonym... A cóż dalej?.. uciec nie ma sposobu... bo tu widać po drogach naokół... a drogi puste...

— U kogoż klucze? mówił gość dalej.

Gospodarz uszczęśliwiony zacierał ręce.

— Stary Kerner powinien je mieć wszystkie, to pewna — rzekł cicho — lecz to pijak jakich mało, gdy księcia nie ma. Przy nim on nic do ust nie weźmie, ale skoro jego nie stało — nie nastarczyć mu wszelkiego napitku... I pije jak pan... z korze-

niami i z cukrem! Inaczéj nie! O! tak... klucze na kołku... ani o nie dba...

— A jakże się księżna znajduje? nie wiecie? badał ciągle przybyły.

— Jakżeby *ja* nie wiedział? — mówił Müller — miły Boże, któż ma wiedzieć jeśli nie ja? Z początku były historye... rozpacz... nawet krzyki czasem... Może już spokojniejsza. Gdy księżę odjeżdżał, aż ludzie się litowali nad nią, gdy mu wyrzuty czyniła... Nic to nie pomogło... bo nasz księżę, jego miłość, ma charakter mężki, a to jest słyszę Polka płocha... i nie chciała się do jęgomości przywiązać...

Prawił tak, a gość popijał niby, bo do ust przytykał kubek, który stał jednak prawie pełny— popijał i słuchał... Wstał wreszcie i chodzić począł... Poklepał po ramieniu gospodarza.

— Na miłość bożą, waszmość mnie nie wydawaj — ja tu dla wszystkich gram rolę obcego, jestem obcy — rozumiesz mnie?... i będę próbował podkraść się do zamku... Mam takie rozkazy...

— Stary Kerner do niczego... pije i nie płaci — rzekł Müller — trzeba przekonać księcia, iż on na zamku nie powinien dowodzić. Owies nawet dla koni bierze darmo... Oddalić go.

— Oddalimy go — rzekł podróżny — ale... cicho!

— Na mnie spuść się wasza miłość.

— Wszak pod wieczór mógłbym jeszcze zamek pójść obejrzeć? he?

Gospodarz się zamyślił.

— Dla czegoż nie? nawet spróbować można zamówić się do zamku!... Oni gotowi puścić!

— A dziś jeszcze nie — rzekł gość — mogłaby się obudzić uwaga... to na jutro...

— Zapewne, że jutro jeszcze lepiej — potakiwał gospodarz.

— A żebyś waszmość nie sądził, że ja jak Kerner nie płacę... dodał śmiejąc się i dobywając parę dukatów... oto zadatek...

Müller dłoń uchylił przestraszony.

— Po cóż to? po co? zawołał. Wasza miłość uwierzysz mi, że ja ludzi ze spojrzenia pierwszego odgaduję...

— Milczże, proszę...

— I prosić o to nie potrzeba — mruknął gospodarz.

— Jeżeliby spytano o mnie, mówcie, że mam sprawę do księdza...

Drzwi otworzył sam gospodarz, zmierzchało, gdy gość otulony lekkim płaszczem wysunął się z gospody. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, posunął się pod domostwy bokiem rynku, i poszedłszy ku kościołowi, zniknął. Tu spuściwszy się nieco w dół, przemknął się przez dawny most zwodzony, i zamiast ścieżką iść ku bramie zamkowej, zwrócił się

bokiem góry po za okólny mur, który go zasłonił od miasteczka.

Góra była łyssa, z rzadka kupkami piołunów, dziewanny i dzikich, bladych kwiatków okryta. Można było z trudnością czepiać się jej boków, choć przechadzka niewygodna była. Wprost z jej obrywów wznosiły się stare mury kamienne na kilkadziesiąt stóp wysoko, opatrzone strzelnicami. Podróżny zdawał się im przypatrywać z uwagą wielką, jakby gdzieś w nich szukał obiecanych furt, których widać nie było. Grube i ciężkie skarpy gdzieś podpierają stromą ścianę.

W jednej z nich, zręcznie wysokiem muru przykryte, zataiły się małe drzwiczki, których domyślić się i wyszukać było bardzo trudno — dostrzegł je opatrujący, a obejrzawszy się dokoła, zbliżył się dla oglądania z bliska. Całe żelaznemi blachami obite, niewielkie drzwiczki tej wycieczki, choć ordzewiałe, zdawały się mocne bardzo. Z zewnątrz nie było do nich ani klucza, ani otworu.

Idąc dalej, nie trafił już na drugie, a głowę podnosząc dla przypatrzania się zamkowi, nie dostrzegł nic, oprócz wierchołka wieży jego nad głową. Chociaż zmrok utrudniał obejście murów dokoła, nie wrócił się już podróżny... drapał się bez ścieżek po stromych bokach, i dopiero od strony miasteczka nie chcąc być spostrzeżonym, ku dołowi się spuścił.

Na zamku ani głosu, ani znaku życia nie spostrzegł. Ztąd dopiero, gdy ciemniej się zrobiło, ujrzał w oknach wysokich kilka zapalających się świeateł. Stanął popatrzał na nie, i ku gospodzie zawrócił.

Müller jakby niespokojny o skutek téj wyprawy, czekał na ławce przed domem. W rynku ostawionym domami, co chwila było ciemniej; niepostrzeżony więc dostał się tu gość i wszedł do izby, wołając gospodarza za sobą.

— Waćpan znasz się dobrze z Kernerem? zapytał.

— A mój nieszczęśliwy worek lepiej jeszcze! westchnął gospodarz.

— Mógłbyś więc pójść do niego w poselstwie odemnie z prośbą, aby mi dozwolił stary zamek wewnątrz obejrzeć... Żołnierz jestem, zajmuje mnie jego budowa... nic więcej. Daj mu waćpan parę dukatów... Nie żądam więcej nic prócz obejścia budowy...

Müller aż się po biodrach uderzył, aplaudując pomysłowi.

— Parę dukatów i flaszkę wina w dodatku, rzekł, Wino zaniosę. Nie wytrzyma i udoi się, a z podpitym zrobisz wasza miłość co zechcesz... Schwycisz go na gorącym uczynku, gotów puścić wszędzie. Cha! cha!

Na tém stanęło... Podróżny poszedł się o konie dowiedzieć, a w godzinę potem cała gospoda

jak w powszednie dni spała pogrzebiona w ciemnościach.

Z rana, nim się gość podniósł z posłania, Müller już do zamku poszedł, i nie było go tak długo, że miano czas ubrać się i śniadać, nim powrócił. Zmęczenie malowało się na jego twarzy.

— Dopiąłem swego — rzekł — ale mi zaschło w gardle. Upierał się Kerner, że nie może wpuszczać nikogo. Musiałem użyć parswazyj wielkich, i ledwie nieledwie przekonałem, iż obcemu zupełnie podróżnemu, który natychmiast w świat jedzie, otworzyć przecież nie ma niebezpieczeństwa.

Podróżny się natychmiast porwał i ruszył. Müller jeszcze coś mówił, podnosząc swe zasługi, gdy tamten był już na drodze ku zamkowi.

Brama, do której przybył, była zamknięta; bez pukania jednak Kerner zobaczywszy nadchodzącego, otworzył i przyjął ukłonem.

Był to człek stary i na twarzy mający wypisane... piwo. Różlane policzki dusiły mu oczy... różowe plamy okrywały nos nabrzękły... Odziany po domowemu, na znak funkcyi dowódcy zamku, włożył tylko napierśnik blaszany, który dusić się go zdawał.

— Przychodzę zamek obejrzeć, począł przybyły, przez prostą ciekawość. Jestem podróżny, z daleka... jadę natychmiast...

Wetknął mu w dłoń przyrzeczony datek, na który spojrzął z ukosa Kerner.

— Chodź wasza miłość, rzekł, ale proszę cicho i spokojnie... nie trzeba, by nas ludzie widzieli...

Wsunęli się to mówiąc w podwórze. Kerner skierował na lewo. W milczeniu tak obchodzili mury... podróżny tylko głowę podnosił nieustannie, ale żywej duszy nie zobaczył nigdzie... Drzwi prowadzące do wnętrza były pozamykane... Gdy do głównych podeszli, podróżny stanął.

— Dajcież mi zobaczyć pokoje!

Kerner się wzdrygnął, i za rękę go pochwycił.

— To być nie może!

— Jakto! nie może? dla czego?

— Bo ja na to nie zezwolę nigdy! nigdy!

— Ale przyczyna? Cóż? tajemnicę jakąś kryjecie w nim? Chcecie chyba, bym o tém na cesarskim dworze opowiadał... dodał podróżny śmiejąc się.

Kerner pobladł.

— Wasza miłość nie zechcesz mnie zgubić?

— Pewno, że nie, odezwał się podróżny, lecz nie czyńcie mi téj przykrości i pokażcie stare zamczysko...

— Cóż tam tak ciekawego? zamruczał Niemiec  
— nie ma nic.

— A dla czegoż mi odmawiacie?

— Bo taka jest wola naszego pana!

— Jestże on tutaj?.. Pan o niczém wiedzieć nie będzie, wsuwając znowu parę sztuk w rękę klucznikowi, odezwał się gość i wziął za klamkę.



Drzwi nie zamknięte otwały się zwolna: nie pytając o pozwolenie, wszedł do wnętrza. Sień była sklepiona ciemna... Z boku lawaterz kamienny, w głębi wschody na górę o poręczach rzeźbionych, na słupku stał z drzewa dębowego rycerz w całej zbroi, z palcem na ustach a ręką na halabardzie.

Nim Kerner miał czas go wstrzymać, ciekawy gość był już na wschodach, a dowódzca zameczku włókł się za nim zafrasowany. Na pierwszym piętrze drzwi pięknej przedsieni stały otworem. W progu już znowu wstrzymać chciał Kerner, lecz podróżny się nie dawał...

— Ale tu mieszka pani nasza! ona jest chora... tu iść nie można!

Tylko co tych słów domawiał, gdy za progiem, w sali ukazała się biegnąca prawie kobieca postać.

Była to księżna sama... Błada, z oczyma wpadłymi, z włosiem w nieładzie, odziana w jubkę aksamitną, z rękami przyciśniętymi do piersi. Nim miała czas spojrzawszy na nieznanego owego wykrzyknąć, bo widocznie się przelekała, podróżny tyłem się zwrócił do Knera i dał wyrazisty znak milczenia.

Nie potrzebujemy czytelnikom tłumaczyć, że tym natrętem był Pełka. Księżna zobaczywszy go, osłupiała z razu, lecz pojąwszy niebezpieczeństwo, niby nieukontentowana i strwożona cofnęła się obojętnie. Kerner ciągnął za suknię gościa, ale ten stał upornie i począł nawet mówić...

— Księżna mi darujesz...

Ta mowa niezrozumiała dla Kenera, w rozpacz go wprawiała, szarpnął Pełkę, domagając się by ustąpił.

— Zapewne — odparł Pełka — ale muszę panią zamku przeprosić.

— A zkądże wiecie jakim do niej językiem mówić?

— Nie słyszałeś więc waszmość, że odezwała się pierwsza po polsku?

Kerner tak był zmieszany, że uwierzył, iż nie dosłyszał.

— Księżna mi darujesz — mówił Pełka, zwracając się i podchodząc do niej żywo, aby mógł dodać po cichu: — Nie znajcie mnie... bądźcie spokojni...

Jadwisi twarz się rumieńcem okryła... przybrała postać poważną... ale słowa rzec nie mogąc, cała drżąc ustąpiła kilka kroków.

Kerner zaczynał się gniewać.

— Na Boga! idźcie ztąd! idźcie ztąd! natychmiast... ani kroku dalej...

Pełka stał, myśląc, jakby dłuższą upozorować rozmowę...

— Dozwólże mi, gdy się już stało co się mogło stać najgorszego — rzekł do Kenera — niech zobaczę sale... Przecież księżnę widziałem, i ona mi nie broni, a ona tu panią nie wy!

I jakby już nie widział Knera, posunął się naprzód za księżną, której dał znak, by stała także... Odźwierny nie wiedząc co począć, został szarpiąc się za włosy w progę...

— Bądźcie gotowi — szybko rzekł z cicha Pełka — przybyłem was uwolnić... W murach jest furtka na górę... dziś... jutro... nocą... kiedy chcecie... Znak chustka biała w oknie... Na Boga! nie wzdragajcie się... głową ręczę za was, oddam matce... będziesz pani wolna...

Jadwiga nie odpowiedziała nic... zdawała się wahać.

— To zbójca, co was tu śmiał osadzić! — Uciec od niego możecie z czystym sumieniem.

Kner tupał nogami z niecierpliwości.

— Muszę iść — dodał Pełka — lecz nie odjadę bez was...

Jadwiga odwróciła się i słabym głosem szepnęła tylko:

— Tak! ratuj mnie! ratuj! bo umieram!

Nie było już czasu na dłuższą rozmowę. — Księżna znikła, a Kner za rękaw ciągnął wściekły, od źle hamowanego gniewu.

— Wasza miłość postąpiłeś sobie...

— Cóż się stało? rzekł zimno Pełka — idziemy przecież — a jam nie nie widział.

— Aż nadto! mruzczał stróż — aż nadto...

Dopiero gdy zeszli ze schodów, ochłonął Kner, obliczywszy zapewne w myśli, ile dostał za

tę niebezpieczną wyprawę. Wszystko to wydawało mu się wypadkiem, i rad był, odprowadzając do bramy podróznego, że się go pozbędzie...

Ledwie wpuściwszy za furte, zatrzasnął drzwi klnąc, i poszedł pociechy szukać u dzbana. Pełka zbiegł żywo ku gospodzie.

\* \* \*

Wiodło się dotąd jaknajpomyślniej obrońcy nie-szczęśliwej Jadwisi, i to go uzuchwaliło do pospiesznego ułożenia planu porwania jęj i ucieczki z Braniborza. Szło tylko o to, ażeby się dostać do zamku przez jedną z wycieczek wiodących do jego wnętrza... reszta zdawała się łatwa do skutecznienia. Pełka miał dwa konie powodne, a na jednym z nich mogła jechać Jadwiga, która się dostać siodła nie lękała...

Dostawszy się do lasów, Pełka, który jak się zdawało, kraje te znał dosyć dobrze, spodziewał się przerznąć niemi do Polski.

Postanowił wszakże nie zwierzać się z niczém swemu przyjacielowi Müllerowi, a wyzyskać tylko jego łatwowierność, która mu mogła być jeszcze przydatna.

Wrócił więc do gospody. Na zapytanie troskliwego o powodzenie Niemca, odpowiadając tylko, że mu się nie bardzo powiodło podejść Kenera, który się miał na baczości:

— Ale, rzekł, pozostanę tu zapewne jeszcze dzień jaki, i na oku go mieć będę.

Wynagrodzony wspaniale Müller, czuwał nad gościem, biorąc go zawsze za wysłańca książęcego z troskliwością matki i pieczołowitością opiekuna.

Pozbywszy się go z trudnością, Pełka poszedł na naradę z Gabrykiem, i długo dosyć się z nim przechadzał. Z kolei zręczny Gabryk wymknął się niepostrzeżony z gospody, aby się murom zbliżka przypatrzeć. Bawił nawet trochę długo, tak, że Pełka zaczynał być o niego niespokojny, ale nareszcie powrócił. Lękając się rozmowy w gospodzie, wyszli oba do koni i poczciwy sługa zdał panu sprawę z poczynionych odkryć. Znalazł on, od nikogo nie będąc spostrzeżonym, drzwi w murze za skar-pą ukryte, i udało mu się w nich wywiercić kilka dziur, a potem drzewo między niemi wyłamać tak, że rękę mógł włożyć w otwór i przekonać się, że furta była ogromnym drągiem okutym, wchodzącym w mur założona... Dźwignąć go pomimo wielkiej siły, nie zdołał z miejsca; nie był przytém pewien, czy drugi podobny niżej lub wyżej się nie znajduje.

Dla przekonania się o tém należało iść raz jeszcze i próbować szczęścia wieczorem, gdy wszystko w zamku spało; a szelestu przy furtce nikt nie mógł usłyszeć. Zajrzał Gabryk przez otwór we drzwiach wylupany i domyślał się w ciemności wnętrza, iż korytarz jakiś wiodł do zamku, który mógł

być téż z drugimi drzwiami zaparty. W podróżach naówczas, gdy często całe dni jechać było potrzeba, nie znajdując rzemieślnika, każdy ostrożny wędrowiec, wybierając się daleko, miał w sakwach młotek, obcęgi i dłuto, a musiał sam umieć trochę podkuć konia. Ten przybór miał posłużyć teraz Gabyrkowi do wyłupania drzwi i zamków. Roboty musiał się podjąć po nocy, szło o to, aby gospodarz i czeladź jego nie spostrzegli, że się oddalił.

Umówił się Pełka, iż go gdy się wszyscy uspią wypuści, a wracający miał do okna zapukać, aby mu potem drzwi otworzył. Nie ruszając się z gospody i przemyślając nad środkami oswobodzenia księżny Jadwigi, Pełka spędził cały dzień chodząc po izbie. Gospodarz przychodził go zabawiać rozmową, lecz już go tak chętnym do niej nie znajdując, zostawił wreszcie samego. Zawczasem pokładli się wszyscy spać. Gdy pogaszono światło i cisza zapanowała w gospodzie, Pełka wstał i z wielką ostrożnością Gabyryka wypuścił. Noc była niezbyt ciemna, księżycowa, ale niebo okryte chmurami w pół-zmrokach osłaniało ziemię.

Gdy Gabyryk znikł, Pełka powrócił do izby i chciałby był spocząć, ale oka nie mógł zmróżyć dla niepokoju. Rzecz z razu prosta i łatwa, przy namyśle coraz się wydawała do wykonania trudniejsza. Szło o to co miał najdroższego na świecie.

Poświęcić siebie niczém było; podać ją w niebezpieczeństwo, napełniało go trwogą.

Całą tak niemal noc, która mu się nieskończenie długą wydawała, spędził Pełka na rozmyślniach i wynajdowaniu coraz nowych środków. Nad ranem usłyszał lekkie pukanie do okna i wstał Gabrykowi otworzyć.

Nie mogło to już nikogo zadziwić, że się o brzaśku krzatali koło koni; otwarto więc wrota i Pełka począł się rozpytywać.

— Wszystko idzie jak najlepiej — odrzekł Gabryk — pierwsze drzwi odemknąłem. Drąg dał się odrzucić na bok... Poszedłem ostrożnie dalej... po wschodach kamiennych, które ku górze prowadzą... Drugie drzwi, jak się można było domyślać, są od podwórza, zamknięte na zamek. Nie otwierałem ich, aby znaku nie zostawiać po sobie, bo bym nie mógł zamknąć, ale pewien jestem, że łatwo je będzie wyłamać... Zamek niestraszny i z tej strony obnażony.

Wszystko więc gotowe, do podwórza się dostać możemy... ale co dalej będzie?

Pełka się zadumał.

Wybór pory był bardzo ważny. Żałował przytém, że oprócz Gabryka nikogo nie wziął więcej, tu pomoc byłaby się wielce przydała. Teraz należało sobie dawać radę z tém co było... Pełka postanowił użyć gospodarza do spojenia Kernerera przed nocą, i chciał się na zamek dostać o zmroku.

W rozmowie z Müllerem dał mu do zrozumienia, iż wartoby trzeźwość i czujność dozorcę wystawić na próbę, i kazał na swój koszt uraczyć załogę. W każdym innym byłoby to wzbudziło podejrzenie, w Müllerze tylko śmiech i radość. Zgodził się na to, i natychmiast wziął się do wykonania polecenia, wychodząc na zamek ze służą i dzbanami.

— Staraj się go waćpan spoić... o to mi idzie! rzekł Pełka, a już resztę mnie pozostaw.

Gospodarz śmiał się trzymając za boki... Po godzinie może czasu wrócił zapewniając, iż Kerner i jego ludzie do wieczora będą bez duszy. Ale zarazem obudziła się w nim ciekawość dowiedzenia, jak emissaryusz książęcy miał z tego korzystać.

— Toć i do zamku nie będzie otworzyć komu? zapytał ciekawie.

— O to się waćpan nie frasuj — odparł Pełka — książę mi dał klucze potrzebne.

Opłacany po książęcemu Müller, ani śmiał powątpiewać o prawdziwości tych zwierzeń. Godził się na wszystko.

Wyczekano tak do wieczora... W stajni było ciemno i we dnie. Gabryk ją starannie zamknął i zawczasu konie tyłami uprowadził. Miał on z niemi stać w miejscu wyznaczonem u podnóża góry, dokąd Pełka spodziewał się przybyć z Jadwigą. Ponieważ w ciągu tej wyprawy trzos mu mógł zacie-



żyć, zawczasu pan Medard oddał go wiernemu słudze, który się nim opasał.

W miasteczku panowała cisza wieczorna, gdy Pełką wyszedł z bijącym sercem na swą wyprawę. Gabryk udał się inną drogą zarosłą łożyną gęstą i wierzbami ku zamkowi... Słońce zachodziło za lasy, gdy odważny rycerz doszedł wreszcie do furty, dosyć zręcznie pozakładanej kawałkami drzewa, lecz otwartej. Z tej strony góry okolica była pusta, ani żywej duszy na polach. Zwolna począł się wdrapywać na kamienne, strome wschody wiodące ku zamkowi. Uszedłszy kilkadziesiąt stopni, zatrzymał się, by ognia zrobić i woskowy stoczek zapalić. Bez niego odbicie zamka we drzwiach było niepodobne. Zabrało to dosyć czasu. Gdy światło zajaśniało, u góry pokazały się jeszcze długie wschody i wysoko nad niemi drzwi czarne. Zamek ogromny z ryglami obnażonemi z tej strony, ubezpieczał je. Pełka podszedł po cichu, przysłuchując się, czy w podwórzu nie odezwą się jakie głosy, lecz cisza panowała jak najzupełniejsza.

Jał się tedy zamku z obcęgami, bo młota dla hałasu użyć nie było podobna. Obdarzony siłą niepospolita, skruszył zamek stary, i z pociechą a przestachem razem ujrzał otwierające się drzwi na zmrok wieczorny. Zgasił światło co prędzej.

Przed nim był jeszcze bok góry porośły trawą, wiodący już ku zamkowi bez żadnej przeszkody. Do koła nie było nikogo. Ludzie więc spać mu-

sieli po napoju. Na wypadek ubezpieczywszy się w nóż u pasa i pistolety, Pełka posunął się zwolna ku górze. Widać już ztąd było okna zamkowe.

Lecz w oknach nie było nikogo. Pomimo gorąca, stały zaparte i czarne. Na niektórych szybkach zabłąkany odblask jaskrawego nieba świecił jak ogień czerwono.

Wydobycywszy się na płaszczyznę podwórca, Pełka najprzód rzucił okiem na wszystkie strony, i tu też nie zobaczył nikogo. Mury stały nieme i obumarłe, nigdzie straży i znaku życia. Bezpieczniejczy więc szedł z wolna, bacznie posuwając się w głąb i zwracając w lewo, aby do głównego; zbliżyć się wnijsia. Pamiętał pierwszą swą bytność i w umyśle miał wyryte wszystko widziane wprzódy. Idąc tak, musiał przechodzić pomiędzy budowlami przypartemi do murów okólnych a ścianami zamku. Tu było, jak mu się zdawało, główne niebezpieczeństwo. Ludzi jednak nie spotkał dotąd nigdzie, zamek jakby wymarły, milczący... żadnego ruchu ani głosu. Coraz więc śmielój kroczył ku głównemu wnijsciu, widząc je już przed sobą. Stanął kilku krokami u znanych drzwi, lękając się, żeby ich nie znaleźć zamkniętemi. Pocisnąwszy kłamkę, otworzył z łatwością i skoczył żywo na wschody. W korytarzu było ciemno i pusto.

W téjże chwili w podwórca od strony bramy dały się słyszeć głosy, wołania, wrzawa, krzyk i bicie do wrót gwałtowne.

Jakkolwiek śmiały Pełka, stanął struchlały. Nie mógł odgadnąć co było przyczyną tak nagłego hałasu po milczeniu, jakie tu panowało przed chwilą.

Bądź co bądź, groziło niebezpieczeństwo, próba była na ten raz chybiona, należało uchodzić... Stał na pół wschodów i czekał jeszcze, myśląc co z sobą pocznie, gdy drzwi się otwarły u góry i nieznamoma sługa ze świecą w ręku ukazała się w nich widocznie strwożona. Zobaczywszy stojącego Pełkę krzyknęła i rzuciła się napowrót do pokojów.

Tymczasem hałas u bramy rósł, i Medard spuścił się ze wschodów ku drzwiom, chcąc nazad dostać się do wyjścia, którym się na zamek dostał.

Udało mu się wybiedz w dziedziniec, lecz tu mnóstwo już ludzi biegało rozespanych, nieprzytomnych, pochwytawszy za hallabardy i broń i dążąc na wrzawę ku wrotom. Nikt na niego nie spojrział, miał czas wysunąć się za mur i podbiedz o zmroku o kilkanaście kroków ku wycieczce. Lecz gdy już sądził, że się do niej dostać potrafi bezpiecznie, ujrzał przed sobą czeladź zamkową rozpierzchłą, której ominąć nie było podobna...

Stało się coś, czego on sobie wytłumaczyć nie umiał. Właśnie w momencie, gdy on się na zamek dostał z jednej strony, książę pan wjeżdżał do swjej rezydencji. Spotkał on na drodze Müllera, który wyszedł na jego powitanie i czuł potrzebę pochwalenia się z gorliwością swą i pomocą udzieloną wy-

słańcowi pańskiemu. Proński nie mogąc zrozumieć tego, rozpytywać go począł i domyślił się łatwo, że zdradą chciano się dostać do księżny, aby ją uwolnić.

Smagnał tylko niemca z konia po plecach, i klnąc rzucił się ku zamkowi. Tu znalazł ludzi pijanych i ledwie się potrafił dobić do wnętrza, natychmiast rozsypując ludzi dla szukania zuchwałego złoczyńcy.

Z zeznań Müllera pewien był prawie, że się tu dostać musiał. Załoga nie rozumiała trwogi i rozkazów, bo nie wiedziała o niczem, rozbiegła się jednak szukać kogoś, a zobaczywszy przed sobą nieznanego Pełkę, wpadła nań ze wściekłością.

W mgnieniu oka obstępiony, schwycony, i związany został, i Kerner go w tryumfie prowadził przed księcia, który z konia zsiadłszy, stał u głównego wnijsia...

Z górnego piętra otwartém oknem wyglądała blada twarzyczka księżny, cała osłonią rozrzuconemi włosami. Przeleża wrzawą nagłą, Jadwiga nie mogła długo zrozumieć co się stało, ale serce jej łatwo się domyśliło, że Pełce groziło niebezpieczeństwo... Załamała ręce biedna...

Oczy jej spuszczone w dół, dostrzegły razem Prońskiego, którego się nie spodziewała, i związanego Medarda, którego przedem prowadzono...

Książę poznał go natychmiast, i uśmiech złośliwy, gniewny, przebiegł mu po ustach. W po-

dwórze gromadziło się nadto ludzi, wszedł do sieni, dając znać, aby Pełkę za nim wprowadzono.

Kerner pchnął więźnia, któremu skrepowane ręce bronić się nie dozwalały... Latarnię postawiono na gziemnie... Proński podszedł do Pełki z wyrazem gniewu i wzgardy.

— Nie mylę się... poznaję was... widzieliśmy się już raz... Co tu robisz? zawołał przerywanym głosem.

Pełka milczał.

Proński powtórzył groźniej pytanie.

— Nie będę się tłumaczył — rzekł w końcu Medard — masz mnie w rękach... rób co ci się zda...

— To, co się należy złodziejom i rozbójnikom — dodał książę — to cię czeka mój panie a rycerzu... Chciało ci się bronić uciśnionej niewinności i oswobodzić panią swych myśli? Nieprawdaż?..

Rozśmiał się namiętnie i ponuro.

— To było obowiązkiem każdego uczciwego człowieka, dowiadując się, że śmiesz postępować z kobietą, z żoną, jak z przestępcą i niewolnikiem. Czemuż jój nie odesłałeś do matki?

— A wiesz waszmość przyczynę, dla czego ją tu osadziłem? zapytał Proński. Kto cię upoważnił do obrony? Kto ma prawo mieszać się do sprawy pomiędzy mężem a żoną? Czy ty mi masz przepisywać co mam czynić?

— Tam, gdzie nie ma sumienia a jest okrucieństwo i gwałt, każdy ma prawo odeprzeć przemoc — rzekł Pełka.

— A gdy mu się to nie uda i wpadnie w ręce nieprzyjaciela, tedy może tak zginąć dawszy głowę, jak ty tu zginiesz... Jam tu pan i sędzia — dodał — ja cię nie znam... ścinam i pochować każę na zamku... Kto mi co powie?

Począł chodzić po przedpokoju.

— Żywa dusza wiedzieć nie będzie, ani się o ciebie upomni.

— W tém się mylisz — rzekł Pełka — sługa mój uszedł i poniesie wieść o mnie, a przyjaciele się znajdą i obrońcy.

Proński się roześmiał.

— Przyjdą tylko trochę późno! mruknął... Jesteś w moich rękach... nie ujdiesz z nich...

Na to Pełka nie odpowiedział nic.

W górze na wschodach ukazała się z załamaniem rękami Jadwiga, i poczęła zbiegać. Usłyszawszy jęj kroki, Proński zapomniał o więźniu i rzucił się przeciw nięj.

— Dokąd? zawołał — nazad! Proszę powracać! Księżna tu nie masz co czynić... Mam swoje sprawy...

Jadwiga stanęła jak wryta, załamawszy ręce.

— Księżę! uczynź ze mną co chcesz... ale niech ja nie mam na sumieniu krwi...

— Wszelką krew ja biorę na własne moje, gdy ją przelewam — rzekł surowo książę podając rękę, a potem chwytając kobietę i ciągnąc ją na górę. — Proszę iść!..

Głos jego był tak groźny, iż Jadwiga twarz skrywszy w dłonie drżała.

— Proszę iść! powtarzał coraz głośniej i natarczywiej — iść!

Pełka miał ręce związane, lecz nogi swobodne. Z oburzenia rzucił się za księciem rwąc pęta, któremi go skrępowano. Z siłą, jaką daje gniew, szarpnął sznury i poczuł, że pękać poczęły... ponowidł wysiłek... rozplątał pokrwawione dłonie i rzucił się bez pamięci na nieprzyjaciela, który stał ciągnąc żonę na pół omdlałą.

Chwycił go za barki, nagiął w tył ku sobie i rzucił na wschody. Proński krzyknął o pomoc padając, ludzie wbiegli natychmiast drzwiami, spostrzegłszy obalonego pana, wszyscy razem wpadli na Pełkę. Obrona była próżna, pochwycono go.

Proński wstał.

Zdawało się, że gniew cały skrył w sobie... Drżał, nie mogąc przemówić słowa... Stłumionym głosem wołał Kenera, którego miał przed sobą.

— Słyszysz! zawołał, do lochu! tam gdzie kości! rozumiesz... do kostnicy!

I wyciągnął rękę.

Dwóch pachołków związało znowu Medarda i ciągnęło w dół za Kernerem, który spieszył rozkaz wypełnić... Kobiety z góry nadchodzące, porwały na ręce omdlałą Jadwigę.

Pełka stłuczony, odrętwiały, skrępowany, nie czuł już prawie co się z nim działo... Wyciągnięto go z sieni w podwórze i szybko wiedli oprawcy ku drugiemu wnijściu zamkowemu, które Kerner otwierał. Z ciasnej sieni sklepionej, wschody czarne prowadziły w głąb ku podziemiom. Jeden z pachołków szedł z latarnią przodem.

Spuścili się tak w korytarz ciasny, którego mury osłizłe były od wilgoci i grzybami porośłe, potem zaczęli schodzić drugimi schodami głębiej jeszcze.

Duszne, wyziewami stęchłemi przejęte powietrze obejmowało coraz bardziej Pełkę... i orzeźwiło go z odrętwienia. U dołu drugich schodów był korytarz wązki, w tym drzwi żelazne otworzył Kerner i pchnął w głąb Pełkę, zatraskując je za nim.

W ciemności zupełnej znalazł się więzień na mokrej ziemi, z rękami spętanemi, zbity, nie mogąc się długo poruszyć. Kroki tych, co go tutaj sprowadzili, oddalały się szybko, cisza grobowa zawisła nad nim z nocą nieprzebitą wzrokiem... Przed sobą miał śmierć powolną, lub gwałt może jaki i zemstę... Pomimo okropnego położenia, myślał może więcej o Jadwidze niż o sobie. Ze swego życia zrobił już był ofiarę. Lecz zginąć w boju,



w walce... a umierać zamkniętemu żywcom w wilgotnym grobie... było podwojeniem ofiary... męczarnią.

Nierychło Pełka przyszedł do siebie o tyle, aby pomyśleć co ma czynić. Ruszyć mu się było trudno... ręce były związane... Lecz pachołkowie z pospiechem krępując je, nie bardzo zważali na to co robili. Probując rąk tych poczuł, że mu się uwolnić przynajmniej z pęt będzie łatwiej niż pierwszym razem... Jedna ręka wydobyta z pętli, natychmiast rozwiązała drugą. Dłońmi po ziemi próbując, uczuł pod niemi suche jakieś szczęty i przypomniał sobie, że Proński kazał go wrzucić do kostnicy... Jedna z rąk dotknęła gładkiej, zimnej czaszki, która rozsypała się pod nią.

Pełka przypomniał sobie, że idąc przez wycieczkę miał krzesiwo, siarkę i stoczek. Usiadł więc, próbując zaraz wydobyć ognia, aby się rozpatrzyć w swém nowém więzieniu. W pośpiechu nie odebrano mu nic. Nóż i dwa pistolety miał jeszcze przy sobie.

Zwilgotniała gąbka nie łatwo zażędz się dała... nareszcie z siarki dobył się płomyczek sinawy i stoczek zapalił... Ciekawém okiem Pełka począł się rozpatrywać po swém więzieniu.

Była to izba zasklepiiona, której mury okrywała jakaś szklista powłoka i dziwne naroście. Do ścian na żelaznych kolcach uczezione wisały dwa zardzewiałe łańcuchy... Podłogę wyłożoną pokru-

szonym kamieniem okrywały całą bielejące i pozieleniałe kości ludzkie, kilka czaszek walało się po kątach...

Resztki jakichś łachmanów gniły na ziemi, rozłuczony dzban leżał w kącie. W ścianie naprzeciw wnijscia zasklepiiony otwór prowadził do drugiej izby podobnej... Pełka chciał się podnieść, lecz sklepienie było tak niskie, iż uderzywszy się o nie, czołgać się musiał, aby do otworu dostać. W pośrodku wykopany dół jak studnia głęboki, do dna dojrzeć nie dozwalał.

Więzień zamknięty w ciemności, mógł łatwo dostać się do studni, i w niej skończyć męczarnie.

Okropność położenia nie odjęła Pełce przytomności. Zwrócił się do pierwszego podziemia i tu rozmyślać począł.

Proński znał zapewne kostnicę, do której go posłał, i studnię, co się w niej znajdowała. Chciał więc jego śmierci. Łatwo było przypuścić, że więzień w ciemności tej szukając wyjścia, łożyska, z rozpaczny czołgać się musi i padnie w głębinę.

Całą nadzieją Pełki było, iż w kilkadziesiąt godzin ktoś może zajrzeć zechce, aby się o zgonie jego przekonać. Ręce miał wolne, pistolety i nóż, postanowił rzucić się na wchodzącego i zabiwszy go, wyswobodzić... Nie miał już nic do stracenia, a cała nadzieja była w tém, że przyjdzie stróż więzienny nim głód siły wyczerpie, i niezdolnym

go uczyni do ratowania się z rozpaczliwego położenia.

Łatwo być jednak mogło, iż do zamkniętego skazanego nikt się dowiadywać nie będzie. Naówczas powolna śmierć głodowa zostawała mu tylko... Pełka pomyślał, że ją przyspieszyć może, przyłożywszy pistolet do głowy, lecz odrzucił ze zgrozą ten ratunek, zdając się na wolę Bożą... na Opatrzność...

Całe życie przeszłe przesuwało mu się przed oczyma: Jadwiga — Gołczwia — wojskowe sceny — pole elekcyjne — kraj miły — przyjaciele... Zdawało mu się, że albo tamto snem tylko było, lub to nim być musiało. Myśli plątały się jakby szaleństwo zmaciło już mózg uciśnięty. Piersi brakło oddechu... Kości przejmował chłód grobowy, dziwna senność chorobliwa kleiła chwilami powieki... Rachuba czasu ustała... Każda chwila wydawała się wiekiem... a godzina mogła być chwilą. Mierzyć ich nie było czém, bo nawet żywsze z razu krwi bicie, ustawać się zdawało...

Przyparty do ściany, czując pod sobą kości tych, co tu niegdyś pomarli i w proch się zalegający obrócili, Pełka siedział tak w odrętwieniu, nie wiedząc jak długo. Czasami próbował sił tylko, wyciągał ręce, poruszał się... i cieszył się tém, że mógł jeszcze władnąć sobą.

Jak długo trwał ten stan grobowego pół-snu pół jawy, nie wiedział... Nagle wśród tej zamartwej

ciszy, coś jakby daleki szmer słyszeć się dało. Pełka przeczuł raczej niż rozpoznał kroki, instynkt przypomniał mu, że drzwi otwierały się w tę stronę, w której siedział, i że one go osłonią, gdy wchodzący oczyma szukać będzie skazanego... Pozostał więc nieruchomy w kącie... Serce zaczęło bić coraz mocniej... Kroki się zbliżały... nie słysząc było głosu ani rozmowy, szedł więc jeden człowiek... Jednego podobać się spodziewał.

Klucz zaczął się w ordzewiałym zamku obracać... Pełka przyczaił się z nożem i pistoletem... przyczołgawszy się ku miejscu, z którego, jak się spodziewał, wpaść na stróża miało mu być najłatwiej... Jeszcze chwila, a walka o śmierć lub życie rozpocząć się miała.

Prędzej niż sądził, uchyliły się żelazne drzwi, ukazało się światelko, i schylony na wpół człowiek wychudły, stary, począł się rozglądać ostrożnie po lochu, jakby się wnijsć do niego obawiał. Pełka widział jego pomarszczoną twarz z obciętą krótko brodą siwą, i zgrzebną koszulę na piersiach, i podartą odzież, i ręce spracowane, żylaste, i pas skórzany na biodrach... Nie miał broni, nie miał też z sobą nic... Przychodził zobaczyć i donieść może, iż już wszystko było skończone...

W mgnieniu oka porwał się z ziemi Pełka i rzucał się na niego, trzymając nóż podniesiony w rękę. Latarka wypadła z dłoni starego stróża, który krzy-

knął nim dłonią usta mu potrafił zamknąć Pełka. Prosił jęcząc i tarzając się po ziemi, o życie.

Medard już mu przykładał nóż do piersi, gdy stróż w imię Chrystusa zaklął go o litość.

Na ziemi tuż leżał sznur, który był Pełka zrzucił z rąk, pochwycił go, aby nim związać starego, nakazując mu milczenie...

Strwożony leżał, nie ruszając się i nie broniąc, powtarzał tylko :

— Ulituj się nademną... ja mam sieroty do żywienia... Ulituj się na Chrystusa rany!

— A nademną mieliście litość? rzekł Pełka głosem, który ledwie z piersi mógł wydobyć.

— Alboż to moja sprawa? mówił stróż.

Pełka na szyi nosił krzyżyk, dawniej mu dany przez matkę... Poczuł go na piersiach i dobył szybko.

— Przysięż, że mi pomożesz do uwolnienia — rzekł żywo — nikt o tém wiedzieć nie będzie... powiesz, że wpadłem do studni... Osypię cię złotem... sieroty wychowam...

Stary obłąkanemi patrzył oczyma... Krzyżyk błyszczał przed niemi... a z pod powiek łza się toczyła.

— Nie zmuszaj mnie do zabójstwa! wołał ciśnąc go i nóż przykładając mu do piersi Pełka — przysięgaj — ja ci przysięgam, że ciebie i sieroty ocale od zemsty...

W milczeniu drżącą ręką przycisnął stróż krzyż do ust i pocałował go.

— Przysięgam! rzekł cicho.

Pełka natychmiast go puścił, mając się jednak na ostrożności, i zajmując drzwi sobą.

— Chodźmy — odezwał się.

— W biały dzień? szepnął stróż wylękły — niepodobna... na zamku mnóstwo ludzi!

Dowiedział się w ten sposób Pełka, że noc całą przesiedział w tym lochu. Stali w korytarzu obaj ze stróżem; ten zdawał się namyślać.

— Nie uwierzycie mi, odezwał się cicho, a potrzeba dzień przesiedzieć skrytemu. Muszę was ukryć... muszę zamknąć... ażeby kto nie natrafił i nie zobaczył... Będziecież mi wierzyli?

— Wszak przysięgłeś? odparł Pełka — wierzyć ci muszę. Chrześcianin jesteś i na Chrystusa przysięgałeś...

Stary westchnął tylko i spracowaną ręką powiódł po czole.

— Chodź panie za mną — odezwał się — ale cicho i ostrożnie.

Nie mówiąc już nic, weszli na wschody pierwsze... i dostali się tak na kondygnację wyższą szerokich podziemiów zamkowych, których okienka wychodziły na podwórze. Tu były izby, do których nieco światła wpadało, i sklepiona komnata, w której dawniej odbywały się sądy, a obok nich izba męczarni... Nie miał stróż do dania innego schro-

nienia nad to, i otworzył je dla Pełki, aby tu ukryć go do wieczoru. Przyniósł mu przynieść jedzenie i odzież, w którejby bezpiecznie o zmroku mógł się z zamku wysunąć...

Chwilami przychodziły Pełce wątpliwości, azali mu ten człowiek, raz od śmierci oswobodzony, dotrzyma, ale nie miał nic do wyboru. Wszedł więc choć wahając się, do sądowej izby... dał się w niej zamknąć staremu, który mu zalecił tylko, aby ci cho się sprawił i oknami widzieć się nie dał. Okna izby choć wysoko umieszczone, wychodziły w podwórze, po którym kręcili się ludzie. Komnata owa podziemna, z dawna snadź opuszczona, pozostała w takim stanie, w jakim ją przed stu może laty zostawiono.

Zostało tu wszystko na miejscach... ławy u stołu dla sędziów, osobny pulpit dla pisarza, a tuż obok ciasna przyległa komórka zawierała przyrządy torturowe, ławę, sznury, obcęgi, żelaza, szruby, łożę, na których wyciągano nieszczęśliwych... Tu było dawno wygasłe ognisko, w którym rozpalano żelazo i gotowano ukrop... Wszystko to dawno snadź używane nie było, rdza okrywała żelazto, pył drzewo, naczynia leżały porozbijane, ale jakby wczoraj jeszcze winowajcę ztąd wyniesiono... W sądowej izbie walały się protokółki podarte... Plamy na kamiennęj podłodze wyglądały jak ślady przyschłe i zczerniałe krwi, która z ran się sączyła.

Przerażała ta pustka, w której jedyną pociechą był wielki rzeźbiony Chrystus na krzyżu czarnym, wiszący nad stołem sędziowskim. Kolosalna ta postać, która miała przypominać Boga miłosierdzia, była rzeczywiście przerażająca wyrazem boleści i tortury konającego na krzyżu; krwawe plamy na białém ciele, cierniowy wieniec wbity w czoło, włosy, które dodano do rzeźby, dziś pyłem okryte i zlepione, składały obraz dziki i przejmujący... Pełka spojrział i wzdrygnął się prawie... ze strachu... Biała twarz ukrzyżowanego spuszczone w dół, wyrażała tylko poddanie się męczarni.

Nie mogąc spuścić z niej oka, Pełka przysiadł na ławie. Jakkolwiek straszne więzienie to, po owym grobie kościmi zasianym było jeszcze prawie wesołe... Cienie przesuwane się przed oknami świadczyły o życiu... Tam panowała grobowa cisza i milcząca śmierć.

Światło wpadało ukośne, blade a szare, ale i ono zdawało się ożyweże więźniowi, który dusił się przez noc w ciemnościach.

Długi czas upłynął nim znowu otwarły się drzwi, i ostrożna ręka stróża wsunęła żywo przez nie miskę, na której był chleb, butelka i trochę jakiegś strawy. Głód zmusił Medarda rzucić się najprzód do chleba.

Odzyskał sił trochę i trochę nadziei, bo dotzymanie słowa przez stróża ubezpieczało na przyszłość. Uspokojony więc mógł usnąć czekając wieczoru,



i wsparłszy się o poręczę ławy, obwinięty płaszczem zadrzemał...

Lekki szelest nie rychło go obudził, porwał się z razu przerażony, chwytając za oręż. Przed nim stał stróż, który musiał dotknąć ręką, aby go z tego snu ciężkiego, wydającego się drzemaniem, wyrwać. Był wieczór, z okien już ledwie dostrzeżony zmrok wpadał do izby, zupełnie prawie ciemnej. Po uciszonym głosie poznał więcej niż oczyma starego człowieka, który drżąc stał przed nim i trzymał szarą opończę.

Pełka chciał, aby go wypuścił tąż samą wycieczką, którą wchodził, lecz ta była już na nowo zabita i kamieniami zarzucona. Stróż powiedział mu, że wie inną drogę podziemną. Wyszli więc z izby sądowej, i korytarzem długim, poprzedzany przez starego, krok w krok za nim pociągnął się Pełka, niewiedząc dokąd go prowadzi... Trzymał ciągle dłoń na broni...

Droga kręta wśród wilgotnych ścian spuszczała się na dół, i doprowadziła ich nareszcie do drzwi zamczystych... Milcząc oderwał drąg zasuwający je stróż i otworzył.

Przez otwór w nich Pełka ujrzał dalekie błonia, lasy, rzekę i kawałek nieba okrytego barwą wieczorną. Powietrze świeże, przepojone wonią drzew i łąk odżywiło go, gdy niemi odetchnął. Jeszcze krok tylko, a miał być swobodny. Oko zaszło mu łzą... Zwrócił się do milczącego stróża, stojącego

na stronie ze spuszczoną smutnie głową i położył mu ręce na ramionach...

— Bóg ci zapłaci, a ja nie zapomnę... Słowem szlacheckim rękę ci, obronę cię i nadam ziemię... i sieroty twe...

Stary słuchając podniósł głowę i skłonił ją, smutny był i przełękły.

— Idźcie — rzekł — idźcie... nie wystawiajcie mnie na pokuszenie... Com zrobił... grzech czy miłosierdzie... nie wiem... Uchodźcie... Bóg z wami...

I ręką popchnąwszy z lekka Pełkę za drzwi wypróchniałe, zaczął je za nim ryglować.

Medard znalazł się na obrywie góry, na której stał zamek, niemal u stóp jej... od strony pól i lasów... W kościółku odzywał się dzwon na Anioł Pański; z wdzięczną myślą ku Bogu pokłękł na piasku, odkrył głowę i począł się modlić, ślubując ołtarz dziękczynny temu patronowi, który dnia tego przypadał. A był to właśnie dzień ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła.

Wstał potem, i jakby się na świat narodził, puścił się gdzie oczy poniosą, aby co prędzej państwo księcia opuścić.

\* \* \*

Stojący u podnóża góry Gabryk z końmi i trzosem pańskim, z razu cierpliwie nań czekał... choć niespokojny był, azali ta śmiała wyprawa powieść się może.

Długo panowała cisza... Wierny sługa zwracał oczy ku miejscu, w którym była furta ukryta, a raczej trzymał je wlepione w ten kąt, gotów poskoczyć przeciw Pełce, gdyby go zobaczył wychodzącego... Ale kwadranse upływały, cisza trwała i nie było nikogo.

Nagle doszła go wrzawa i krzyki na zamku... Gabryk się strwożył... Rosły one, wznagały się, słyszał jak wrota zatrzaskano, jak rozbiegali się ludzie, jak głosy warczały groźne.

Nie było wątpliwości, iż pan jego został schwytany... Gabryk najprzód płakać zaczął i ręce łamać, ale wprędce w serce jego wstąpiła otucha. Powiedział sobie, iż panu nie się stać nie mogło, a co najgorsza, czekało go chyba więzienie. Znał Pełkę, że się nie ulęknie, że się bronić musi... w walce któż wie? mógł być zabity? To dwoje więc przypuszczał... nie myśląc o pochwyceniu i skazaniu na taką śmierć, od której cudem tylko ocalić się było można... W pierwszej chwili nie wiedział co mu czynić przystało... Zostać? czekać? czy uciekać do kraju, aby przyjaciół Pełki ku obronie i ocaleniu rozbudzić?

Chciał być pewniejszy co się stanie... Lecz jak i od kogo, nie zdradzając się, dowiedzieć? Zrozumiał dobrze, iż narażając siebie zgubić mógł Pełkę, o którego losie niktby nawet nie wiedział, gdyby Gabryk także dostał się w ręce nieprzyjaciół...

Nadchodziła noc... Ciemność była mu na rękę... Pokazywać się w miasteczku, gdzie go z panem widziano, było niebezpiecznie... odejść od koni i porzucić je, gdy w nich nadzieja wybawienia była, zdawało się nieostrożnością. Nie puszczając więc powodnych, zjechał po cichu na drogę do zamku i miasteczka wiodącą, w nadziei, iż tu kogoś spotkać, a może się czegoś dowiedzieć potrafi.

W zmroku widać było na ścieżynie od zamczyńska zsuwającą się powoli postać, której zdala rozpoznać nie mógł Gabryk... Był to człowiek jeden i pieszy, idący krokiem kaleki... Drożyna od furty zamkowej wiodła go ku gościńcowi, wprost właśnie miejsca, gdzie stał z końmi biedny sługa.

Gdy się z góry spuścił, Gabryk poznał w nim żebraka. Nie był to jednak prosty włóczęga, lecz rodzaj pątnika, jakich, naówczas mnóstwo po krajach wszelkich od odpustu do odpustu, do miejsc cudownych, do świętych i pamiętnych przesuwało. Okrywała go suknia podobna do tych, jakie nosiły zakony żebracze Śgo Franciszka, podpasana sznurkiem. Od pasa zwieszona sucha tykwa, różaniec, muszle na sukni pozaszywane, kij wysoki zagięty, zdala go jako pątnika poznać dawały.

Szedł z wolna, nie widząc Gabryka, nie podnosząc głowy, aż zarżenie konia go obudziło. Zobaczywszy przed sobą stojące osiodłane wierzchowce i służbę, stanął.

Zdziwił się Gabryk słysząc pozdrowienie czystą polszczyzną, na które spiesźnie odpowiedział.

A! toście wy z Polski, mój ojcze?

Pątnik jeszcze może mocniej zdziwiony, zbliżył się prędko :

— No — a wy?

— Ja?... także... podróżny jestem, odparł Gabryk. Na miłość bożą, idziecie z zamku, powiedzcie mi, co się tam stało?

Pątnik pięść złożoną naprzód zwrócił ku zamkowi.

— Piekło tam było, jest i będzie! zawołał. Otrząsam pył z nóg moich... Przybył ten szatan, co ludzi męczy, co żonę więzi! który nigdy ani sobie pokoju nie znajdzie, ani drugim go nie da... Bodajby się zapadł i z zamkiem swym razem!

Gabryk w pierwszej chwili usłyszawszy, zapomniał się i ręce załamał.

— Przybył Proński! zawołał.

— Jak wichur i burza, mówił pątnik, zamącił wszystko na zamku, mnie, któremu litościwy przytułek tam dano, przenocować nie dał i kazał za wrota wyrzucić...

— Mój ojcze! mój ojcze! wołał Gabryk, nie wiecież co się tam stało?

Pielgrzym ramionami ruszył.

— Szatan zazdrości go opętał, starego rozpustnika... Żonę zamknął i tu mu się jeszcze zdaje, że ją gachy nachodzić będą. Miota się, szaleje...

Złapał tam kogoś... alboż wiem?... Wkradł mu się ktoś...

Gabryk krzyknął rozpaczliwie.

— Cóż z nim zawołał żywo — cóż z nim?

— Rzucono go do luchu... a jeśli żyw wyjdzie z rąk tego szatana, Bogu niech dziękuje.

Pątnik mówił to jakby go i oburzenie i gniew odmłodziło. Skurczony wprzód, rozprostował się, ruchy miał młodsze niż postawę, głos mu się w rozmowie powiększał, jakby przestał udawać starca, zapomniał o tém czém miał być, a został czém był w istocie.

— Wyście z Polski, nie prawdaż? zapytał jęczącym głosem Gabryk.

— I szlachcic polski — z dumą rzekł pątnik. Ale pokutuję... pokutuję... Wracam z Kompostelli i Loretu... Miałem ciężki grzech na sumieniu... Ślubowałem o jałmużnie iść do świętych miejsc... Na granicy ślub mi się kończy.

Odetchnął jakoś swobodniej samą nadzieją wypoczynku.

— Ojciec mój — kiedyś Polak i szlachcic, dajcie mi radę, pomóżcie, ratujcie. Złapany w zamku jest moim panem...

— Jak się zowie? spytał do koni przystępując pątnik.

— Pełka z Gołczwi...

Mruknął coś niewyraźnie pielgrzym.

— A po cóż tu laźł? spytał.

— Chciał księżnę uwolnić... Gdybyście znali ją, gdybyście wiedzieli...

— Dość, przerwał pątnik, dość... rozumiem. Niełatwoż tu teraz pomagać! Nie masz co myśleć, pędź do domu, niech się kupa przyjaciół zbierze i uzbroi... napaść na zamek... rady innej nie ma. A godziny nie tracić... bo ten go może dać ścieżkę... Nie nowinąby to było...

Pątnik patrzył na konie z pożądlivością.

— E! e! rzekł — gdyby mi się godziło na koni siaść... a pojechać z wami!

Westchnął.

— Ale do granicy nie godzi się... nie godzi!

— Do jakiejże granicy? zapytał Gabryk.

— Do naszej...

— A toć dawna granica jak mi pan mówił, daleko dalej, a to kraj był nasz, tylko go jakieś niemcy zabrały, począł żywo Gabryk, któremu się chciało zyskać towarzysza, pomocnika i świadka.

Pątnik koło koni chodził i wzdychał.

— Tak mówisz? bąknął, tak mówisz?

— Powtarzam com od pana mojego nieszczęśliwego słyszał... a cóż ja wiem?

— Oho! to tak jest — odezwał się pątnik — to pewna... ale z sumieniem wchodzić w kontrakty...

— A! ojciec — odezwał się Gabryk — jam człek prosty... Mnie się zdaje, żeście ślubu dopełnili, a tu i dobry uczynek na was czeka, bo-

byście mi poświadczyli i pomogli... Jechalibyśmy razem do Polski...

— I na dobrym koniu... na którym się tyle lat nie siedziało! odezwał się pątnik. Boże miłosierny, co to za tentacya!

— A! panie! to koń jakiego drugiego w świecie nie ma... ale i pan mój też jakiego w świecie drugiego nie znaleźć. Co ja pocznę sam! Tyle kraju! jam nie bardzo świadom...

— Niewiele i ja wam pomogę! ozwał się pątnik... a no, człowieka zanego ratować trzeba...

To mówiąc kij ze wzdargą rzucił na ziemię i począł głąskać wierzchowca, suknię zakasał... przeżegnał się, i ów zgarbiony przed chwilą niedołęga, jakby cudem znalazł się na siodle...

— Dzień i noc pospieszymy ku granicy? zawołał... a w Krakowskiem znajdzie się ochotników kupa, żeby szlacheca z rąk tego djabła uwolnić... ba! i księżnę mu odebrać... bo ją więzi ten łotr...

Gabryk nie miał nic do odpowiedzenia, panu Bogu za tę osobliwszą pomoc dziękował... Puścili się tedy na całą noc w lasy... a że kraj doskonale był znany pątnikowi, mogli bezpiecznie go przebyć i najbliższe wybrać drogi.

Trzeciego dnia byli już w Krakowskiem. Gabryk nie gdzieindziej chciał jechać tylko do Rożańskiego, któremu najbardziej ufał. Pątnik nie sprzeciwiał się temu. Nie mówił on nazwiska swe-



go Gabrykowi, ale się z nim tak po pańsku obchodził, iż go ten mimowolnie słuchać musiał. Człek był złamany ale nie stary... gorączka, a pielgrzymowanie do miejsc świętych nie bardzo go pohamowało. Na granicy w pierwszym kościółku zrzucił zaraz pielgrzymi ubiór i postarał się o odzież i oręż przystojny... Zaraz też do niepoznania się zmienił, buta w niego wstąpiła taka, jakby sobie za długą ową pokorę chciał wynagrodzić. Już mu tam wszyscy z drogi i gospody ustępować musieli, a kłął tyle przynajmniej co się modlił. Osobliwa to była natura, wszystkiemu ludzkiemu nieposłuszna, a bożemu uległa pokornie. Modlił się do łez krwawych, w godzinę potem gotów był o wrota do karczmy się pobić i o słowo wyzwąć na rękę. Grzeszył co krok, a bił się w piersi aż tętniało i krzyżem leżał, i wstawał wesół, bo mu się zdało, że panu Bogu gotowizną zaraz za długi spłacał.

Żadnego krzyża nie pominął bez zdjęcia czapki i modlitwy, a żadnej też okazji do rozpusty prawie szalonej.

Ze wszystkiego znać było naturę bujną, silną, niepohamowaną, którą tylko głęboka wiara ratowała od zupełnego rozpasania. A że długi czas suknia pielgrzymia i ślub zmuszały go do walki z sobą i pokory, teraz jak z zamkniętego długo kotła buchała para z siłą podwójną. Gabryk rad był, że takiego złapał, który się niczego nie lękał.

W rozmowie z nim ów pątnik tak się przejął sprawą Pełki jakby swą własną, i gdy przybyli do Rożańskiego, nie potrzebował Gabryk prawie ust otworzyć.

Wypadł Wacek do nich... spostrzegłszy sługę Pełki z nieznanym człowiekiem, nastraszony, — a przeraził się bardziej jeszcze, gdy posłyszał o całej sprawie. Schwycił się za głowę... co tu poczynać?

— Ja się najprzód panu a bratu przedstawić muszę, rzekł przybyły, *cum omni formalitate*, bo tu w maszkarze chodzić jaż nie potrzebuję. Jestem Jakób Wielkaniec, z Wielkopolski od Szamotuł... Musieliście słyszeć, miałem to nieszczęście, żem brata ubił... za com pielgrzymując pokutował i sumienie oczyścił... Spotkałem tego oto poczciwego sługę przypadkiem, a biorę sprawę do serca, choć obcy. Na zamku u tego djabła odpoczywałem, więc go znam jak moje pięć palców. Idę z wami, ino ludzi zbierzcie... trzeba niewinnego człeka od śmierci ratować.

— Panie, aby tylko czasu nie tracić — dodał Gabryk — aby czasu nie tracić i nie przybyć za późno...

Zrobiła się tedy na dworze chryja ogromna bo Rożański za rodzonego brata nie stałby goręcej. Sześciu ludzi pobiegło po dworach sąsiednich, a tu już natychmiast sztyftowano czeladź i zbrojono, zbierano konie i oręż z lamusów... Wacek nara-

dził się z Wielikańcem, który świadom był bardzo dróg i krajów.

Musieli wtargnąć w cesarskie państwo, a no, spodziewali się, że nim się o tém wieść rozejdzie, nim się zbierze siła jaka, nim pogoń pójdzie, będą mogli i na zamek wtargnąć, i uwolnić Pełkę, i powrócić. Nie były takie napady bezprzykładnemi.

Rożański się tylko jednego obawiał, aby nie przybyć za późno.

Do wieczoru obwołana szlachta z czém kto mógł i miał, poprzybywała, zebrał się oddział ludzi sześćdziesięciu, dobrze zbrojnych, śmiałych, doświadczonych i ochoczych. Gabryk wziąwszy na stronę Rożańskiego, oświadczył mu, że gdyby pieniądze brakło, trzos ma pański na sobie. Nigdy u szlachcica nadto ich nie bywało, zdało się więc to bardzo, bo już Wacek do żydów miał posyłać... i tak do rana gotowe było wszystko, iż o brzasku wyciągnąć mogli. Wielikańcowi chętnie oddano dowództwo nad oddziałem.

W żywność musiano się zaopatrzyć, gdyż dla ukrycia pochodu trzeba było wielkich traktów uniakać, lasami i pustemi okolicami się przedzierać, a poczawszy od granicy, nie budzić licha, ażeby wpaść na zamek, nie dając się mu do obrony gotować.

— Chybaby Bóg nie łaskaw był — mówił Wielikaniec — żebyśmy do wrót zaszurmowawszy, nocą nie wzięli zamku od razu... Na murach nie ma

nic... o prochu i kulach zapomnieli... ludzie nie do bitwy... poddać się muszą...

Szła tak owa wyprawa szczęśliwie aż do granicy... spiesząc o ile tylko siły koni dozwalały, bo o ludzkie się nie pytano. Gdy w Szlązk przyszło wtargnąć, porzucono drogi bite, a skręcono na manowce... Pierwszy dzień przeszedł szczęśliwie i obozem położyli się w lesie, daleko od siedzib ludzkich, zmuszeni ukrywać się jak rozbójnicy. Choć Wielikaniec mówił i zaklinał się, że kraj przedziwnie znał, z tego noclegu ruszywszy zbłąkali się tak, iż bez pomocy ludzkiej z tego obłędu wyjść nie było sposobu.

Co począć mieli? Gabryk doradził w kilku się wyprawić po języka, schwytać człowieka i nie puszczając go aż się sprawa dokona. Zgodzili się na to wszyscy, a on sam ze trzema ludźmi dobranymi do woli, puścił się na zwiady, zasiiekując drogę w lesie, by do obozu bezpieczniej wracać było...

O pół godziny od miejsca, w którym leżeli, Gabryk posłyszał, że ktoś drwa rąbał w lesie... Poszli więc na głos ten ostrożnie... i dostali się do polanki, u której brzegu stał wóz o jednym koniu, człek ubogo wyglądający drwa nań przygotowywał.

Łatwo go było pochwycić, bo się uląkł mocno i uciekać nie mógł. Ledwie go uspokoić mogli, że mu się nic nie stanie... byle im prostą drogę do Braniborza pokazał. Biedaczysko byłby ze stra-

chu uczynił, coby mu kolwiek kazano, ale poprzy-  
sięgał, że dobrze dróg nie zna, że w lesie całe  
życie siedział i nie wyglądał zeń, chyba z węglą-  
mi do miasteczka.

— A no, to szczęście wasze — rzekł, bo u nas  
od dwóch dni chory podróżny leży, którego bodaj  
zbójcy odarli z koni i zmusili uciekać. Mówił nam,  
że z Braniborza idzie. . .

Kazali się tedy wieźć do chaty węglarza, która  
stała o kilka pacierzy od tego miejsca. Chałupa  
była nędzna. . . z szopką małą. . . Gdy się zbliżyli,  
a Gabryk zsiadł, poszedł z nim do izby do chore-  
go gospodarza. . . Na tapczanie leżał w płaszcz  
obwinięty człowiek, na którego spojrzawszy, twarzy  
jeszcze nie widząc — Gabryk krzyknął — bo w nim  
pana swojego poznał. I jak stał tak na kolana przed  
nim padł. . .

Pełka to był w istocie, pieszą ucieczką i głó-  
dem wielce znużony, który wzajem zobaczywszy  
Gabryka, ręce złożył i najprzód Bogu dziękował.  
Cudem to bowiem nazwać musiał, iż się tak jakby  
przez aniołów stróżów prowadzeni spotkali.

Dopieroż sługa odetchnawszy opowiadać mu za-  
czął swoje przygody, i jak zawierbował Rożańskiego  
i szlachtę, aby szli go odbić.

Życie i siły powróciły Pełce.

— Bóg ci zapłać — pocziwy mój Gabryku!  
— zawołał — tyś mój zbawca. . .

— A dzięki Opatrzności, żeś pan mój drogi wybawienia nie potrzebował i zem się ja już na nic nie zdał.

— Jakto, na nic? pochwycił Pełka — Bój się Boga! tyleście drogi dla mnie uczynili i niewczasów ponieśli, nie puszcze was... musimy na zamek uderzyć i tę biedną kobietę wyrwać z rąk szaleńca...

Na to Gabryk odpowiadać nie śmiał... konia swojego panu oddawszy, szedł już przy nim pieszo do obozu, a że po zasiękach w lesie jak wytknięta była droga, dostali się rychło do niego.

Rożański, który bez kaftana dla gorąca przechadzał się pod sosnami, najrzawszy z dała konie, wyszedł przeciw Gabrykowi. Gdy Pełkę ujrzał, że-gnać się począł jak przed widmem... potem biegł oszalały i szczęśliwy.

Na te okrzyki zbudzili się i zbiegli wszyscy... Tu dopiero radość wybuchła tém większa, że nie-jeden co szedł na zamek, wolałby był do domu bez awantury powracać. W ręce cesarskich się dostawszy, los mógł spotkać ciężki, kajdany lub gorzej jeszcze... Widok więc Pełki i nadzieja, że szturmować nie będą potrzebowali, napełnił wszystkich weselem. Zbierano się już do domów, gdy Pełka dla podziękowania panom a braci głos zabrał...

— Dozgonną waszmościom panom a braci w-nieniem wdzięczność za łaskę ich, i nigdy pewnie zadość jój nie uczynię póki żyję... Lecz posłuchaj-

cie mnie. W rękach tego człowieka, z których się wydobyłem cudem, jest kobieta, a jój życie sto-kroć droższe mi niż własne moje. Jesteśmy o niewiele drogi od zamku, podeprzeście mnie, pomóżcie mnie do wydarcia ofiary z rąk kata... Na wszystkie rzeczy święte i najświętsze was zaklinam!!...

Poczawszy tak przemawiać, a do serc im kołatać Pełka, choć z razu milczeli nachmurzeni, skłonił w ostatku, iż zgodzono się iść. Wielikaniec wnet dowództwo mu oddał.

— Ani go myślę brać, odezwał się Pełka, ale pod wasze idę — byleśmy szli...

Trwały narady kilka godzin... Z pochodu swego miarkując, wnosił Medard, iż od zamku nie więcej byli nad mały jeden dzień drogi.

Wnet tedy do koni szli wszyscy, i przed wieczorem jeszcze kilka mil zrobili. Gabryk wysłany przodem na nocleg, przyniósł wiadomość, że Branibórz za lasem o kilkoro staj widać było. O białym dniu nań napaść nie było i co myśleć. Leżeli więc do nocy, spoczywając, a im się chwila stanowcza zbliżała, tém więcej fantazyi ubywało, wyjawszy u Pełki, Różańskiego i Wielikanieca. Reszcie te guzy za nieznaną jójmość nie bardzo smakowały, choć przygoda osobliwsza dosyć się zdała podobała. Dobrze to jednak w opowiadaniu, w przeszłości, a na razie kości droższe nad wszystko. Gdy się zmierzchać zaczęło tak, aby ich zdaleka na gościńcu dostrzedz już nie

było można, Wielikaniec dał znak do ruszenia. Oreż wszystek tak poprzywiązywano, aby żadnej szabli brzęknąć nie było można, zakazano rozmowy, i krokiem mierzonym po piasku oddział cały poczał wyszedłszy z lasów, przybliżyć się ku zamkowi.

Wielikaniec miał z całą gromadą uderzyć na główną bramę i rąbać ją lub ogień położyć. Pełka z Gabrykiem i dwoma najostroźniejszymi chcieli wtargnąć wycieczką, i gdy tamci szturmować będą, wpaść na zamek aby Jadwigę porwać.

Plan zdawał się bardzo zręcznie osnuty — i Pełka miał nadzieję, że się powieść musi, jeśli szturmujący wytrzymają tak długo, by on mógł dostać się do zamku. Z dala widać już było mieszkanie ze świecącymi w niem oknami, i czarny zamek na górze, w którym parę też okien bladym światłem migąło. Cicho było i spokojnie do koła. Tętent koni, który gdzieindziejby był zdradzał jadących, tu się prawie słyszeć nie dawał, bo kopyta tonęły w piasku.

Droga wydała się Pełce nadzwyczaj długą i nieznośną, — wreszcie stanęli u podnóża i ztąd już rozdzielili się, a Wielikaniec nie myśląc dłużej tać się z sobą i swymi, konie w cwał po drodze do wrót puścić kazał..

Nagle wśród ciszy nocnej zatętniało, zahuczało, i w miasteczku mieszkańcy posłyszawszy tę niezrozumiałą wrzawę, śnać przeleknąć się musieli, bo wielki ruch światła zwiastował bieganie...



U wrót zsiadło z koni ludzi kilkunastu i z toporami się wzięli do nich... Niepojęta napaść w czasie pokoju tak się niezrozumiała snadź wydała mieszkańcom zamku, iż furte otworzyli, nie posądzając nawet, aby nieprzyjaciel przybywał. Tylko co się ona na pół uchyliła, skoczono, aby ją opanować, wrót rąbać już nie potrzebowano.

Pierwsi co wpadli do bramy, poczęli wiązać załogę, która prawie krzyknąć czasu nie miała, a do obrony żadnej wcale przysposobiona nie była. W nadzwyczajny więc sposób to, co miało najwięcej trudu kosztować, sprawiło się tak prędko, że Pełka nie doszedł jeszcze do wycieczki, gdy Wielikaniec już był w bramie... Nie obyło się jednak bez okrzyków i szarpaniny, a z zamku ci, co nadbiegli później do drugich wrót wewnętrznych, już ostrożniejsi, cofnąć się mieli czas i na alarm krzyknąć...

Dopieroż co żyło zbiegło się w podwórzu, i sam książę, i Kerner, i ludzie od służby, i czeladź wszelka. Książę pierwszy dorozumiał się, że z nieprzyjacielem ma do czynienia, i po broń skoczył, a wrót bronić kazał...

Na zamkową wieżę kapliczną posłano zaraz chłopaka, aby na gwałt bił w dzwony, i mieszczan ku obronie zwołał...

W miasteczku zawrzało jak w kotle, nie ochotą do boju, bo nie wiedziano ani z jakim, ani z jak licznym nieprzyjacielem miano do czynienia...

Strach ogarnął mieszkańców, którzy się w pola i ku lasom rozbiegać zaczęli.

Dawne tradycje tatarskich napadów przysły na pamięć... Kto mógł, na ogrody i ku borom uchodził...

W kościele tylko ksiądz dla powołania dalszych wsi i przedmieścia w dzwony uderzyć rozkazał.

Proński wiedział z kim miał do czynienia, a choć był przekonany, iż Pełka w kostnicy zginął, zemsty zaś się spodziewał. Sam więc zbrojny, zebrawszy garść ludzi w koło siebie, do upadłego się opierać postanowił. Nie dopuszczono wdzierających się w dziedziniec, dając ku wrotom ognia.

Nie przyszło jednak nikomu na myśl, aby z tyłu przez wycieczkę nieprzyjaciel miał się na zamek dostać. Jadwiga, którą wrzawa strwożyła, i do okna wywołała, spostrzegła w ciemności walkę u bramy, i czując, że o nią idzie, że Pełki przyjaciele jego i ją chcą oswobodzić, zbiegła natychmiast ze schodów. Spodziewała się, że w tym tumulcie znaleźć może środek do ucieczki.

Proński zapomniał był o żonie...

Pełka tymczasem z Gabrykiem i dwoma towarzyszami dobywał wrót u muru niepostrzeżony, i choć znalazł zawałoną drogę kamieniami, łatwo ją sobie oczyścił. Zostawiwszy dwóch ludzi u wejścia, sam z Gabrykiem rzucił się w podwórze z tej strony puste, gdyż wszyscy się zbili u bramy. O kilkadziesiąt kroków w bieli stojąca postać, choć

ciemność jęj rozpoznać nie dozwalała, zdała mu się Jadwiga. Rzucił się więc śmiało ku nięj.

Przelekła kobieta cofnęła się — ale Pełka wbiegł za nią aż w sieni zamkowej, wołając... Strzelanie i krzyki nie dozwalały księciu posłyszeć, co się za nim działo... Pełka pochwycił biegnącą już przeciw sobie księżnę, i niosąc ją na ręku, zbiegł na-  
zad po za ścianę zamkową ku wycieczce...

Z przestrchu omdlałą niósł z pomocą Gabryka, i wdarł się z tym drogim ciężarem do podziemia... Wschody przebiegli sami nie wiedząc jak, wielkimi krokami, rozbijając się o mury, a osłaniając Jadwigę... W mgnieniu oka byli z nią u stóp góry, i Pełka na dwóch koniach zawiązawszy nosze, złożył w nich rozbudzającą się do życia. Na pierwszy okrzyk jęj, stanął uspakajając i zaklinając, ażeby mu się powierzyła, gdyż głową ręczy za jęj bezpieczeństwo.

Strzelanie u głównych wrót nie ustawało, i szturm już był niepotrzebny, Gabryk więc pobiegł dosiadłszy konia oznajmić Wielikańcowi, że zdobycz po którą przybyli, mieli w ręku. Ten już się był tak zapalił, że zapomniawszy o co szło, ustąpić nie chciał. Trzeba było Rożańskiego perswazyj, aby go do odwrotu nakłonić.

Tymczasem bito we dzwony, i popłoch szerzył się w okolicy...

Stary Wielikaniec lekko był postrzelony w rękę, a zapamiętałe chciał się pomścić.

— Co mi tam! wołał, że jéjmość mu odebrali, ja to podłe gniazdo spalić muszę!

I ognia pod wrota podłożyć kazał...

W samym środku sklepionéj bramy nałożono stos drzewa ogromny, które się pod ręką znalazło. ludzie podzegli go natychmiast i rozdmuchali... dym buchnął wszystkimi otwory w podwórzec. Suche stare belki, wschody, stropy, przepierzenia zajęły się łatwo... Zamek palić się poczynął.

Dopilnowawszy jeszcze ognia, aby się tak wziął dobrze, iżby go ugasić nie było łatwo, dopiero Wielikaniec na odwrót się zgodził.

Proński pozostały z garścią ludzi w pośrodku, podłożonym ogniem utwierdzał się w przekonaniu, iż zamek zdobywać chciano, i oddział wśród którego uchodziła Jadwiga, już się spuścił w dolinę, spiesząc ku lasom, gdy książę jeszcze stał obronnie, nie śmiejąc ludzi oderwać do gaszenia pożaru, aby wnijścia nie ogołocić...

Płomień wyżarłszy we środku bramę... wdarło się na dachy gontowe i poszło po nich do koła. Zamek się palił...

W świetle łuny pożarnéj ludzie w rynku miasteczka stojący, mogli dostrzedz, że przy zamku nie było nikogo... Oddział już się był skrył za górą i nieprzyjaciel zniknął. Dopieroż odwaga wielka wstąpiła w serca mieszczan i rzucili się na ratunek zamku, nie mogąc dobrze zrozumieć, kto do kogo

strzelał i gdzie się ów zagadkowy podział nieprzyjacieli.

Tłum mieszkańców biegł ku wrotom. W pierwszej chwili Proński zawsze lękający się napaści, na hałas pod wrotami, ognia dać kazał. Nie ranożo wprawdzie nikogo, lecz popłoch zmusił tłum do ustąpienia. Nierychło z murów ktoś postrzegł, iż tam nikogo nie było, prócz ludzi z miasteczka...

Dano więc pokój obronie od rozboju, a poczęto gasić ogień, który szerzył się do koła. Proński pomyślał o żonie, i zwrócił się ku téj części zamku, w której mieszkała. Tu kobiety wynosiły kufry, wyrzucały pościele i z lamentem a płaczem ratowały się w dziedziniec. Napróżno szukając oczyma żony, Proński przestraszył się i chciał na górę biedz po nią... Kobiety go wstrzymywały, zaklinając się, iż pani tam od dawna nie było. Zaręczały, że na pierwsze strzały wybiegła i więcej się już nie ukazała.

Proński głowę stracił — paliło się do koła... Kazał rzucić wszystko a szukać księżny. Co żyło biegało po zakątkach wołając i szukając ukrytęj. Zamek gorzał tymczasem... Pożarny wiatr, który się zjawia zawsze, aby płomienie podżegać, niósł zapalone gonty i rozrzucał je siejąc ogień tam, gdzie się nie paliło jeszcze. Wszystkie dachy płonęły razem, a pod niemi stolowania i sufity, które padając z trzaskiem we wnętrza niosły pożar z sobą.

Nie było już można myśleć o ratowaniu budowli na pastwę płomieniom skazanej, książe ocalać kazał, co z niej wynieść było można w dziedzińce, ale i tu na kupy padały żużle, a co wyratowano zapalały... Mieszczanie stali z załamaniem rękami, i patrząc na zgorzelisko lamentowali... Müller poważniejszy od innych, powrócił do domu, aby własnego pilnować dachu, bo iskry sypały się już na miasteczko...

Nie rychło Kerner dał znać księżęciu, iż zdaje się, nieprzyjaciel musiał wtargnąć znaną mu wycieczką, bo ta stała otworem... U drzwi kawałek oddartej sukni, którą poznano, dowodził, że tędy uszła...

Proński siadł na kamieniu pod murem, i nie patrząc na to, co się działo, kazał się czeladzi do drogi sposobić.

Gonić ani mógł, ani chciał podkomorzy cesarski; miał inne środki obrony i zemsty... myślał o skardze i prawie... Dwór musiał się ująć za wtargnięcie na ziemię cesarstwa, musiał zań szukać zemsty i domagać się jej groźnie... Książe spodziewał się procesem odzyskać żonę i poniesione straty... O śmierci Pełki zdało mu się, że nikt nie wiedział, a za nią odpowiadać nie mógł, bo stawał napadnięty we własnej obronie...

Jeszcze gorzały i dymiły zgliszczka zamkowe, gdy książe Proński ze wszystkimi ludźmi i mie-

niem pozostałem... wyjeżdżał konno z Braniborza, i rozkazał nawrócić do Wiednia taborom...

Oddział Pełki, którego nie ścigano, nocą jeszcze wszedł w lasy i nie spoczywając dążył ku granicy... Teraz po odbyciu wyprawy, szlachta, co się do niej przykładała, uszczęśliwiona nią była... Pełka ledwie mógł uprosić, aby dla strwożonej księżnej trochę miano względu...

Drugiego też dnia szczęśliwa natura pięknej Jądwiśi odżyć jej dozwoliła... Rada z odzyskaną swobody, uśmiechała się, jak gdyby niebezpieczeństwo i przebyte dni straszne daleko już za nią pozostały. Największym smutkiem dla niej było to, że ani w co się przebrać, ani jak przystroić nie miała. Na cały ów obóz nie było ani jednego zwierciadła... Choć instynkt pomagał w urządzeniu stroju, rozpaczała biedna, że się tak brzydko wydawać musi...

W istocie piękniejsza była niż kiedykolwiek, bo twarzyczka jej ożywiona, oczy pałające, rozgorączkowane... nadawały jej mniej płochą a poważniejszą i surowszą postać... Chwilami niby smutek osłaniał czoło, usta się ściagały wyrazem tragicznym na wspomnienie przecierpianej niewoli, ale w mgnieniu oka uśmiech przybiegał, błyszczał w oczach, ruszał się na ustach, gładził czoło i wracał jej wyraz naiwności dziecięcej...

Pełka szedł przy koniach, które ją niosły... Ona siedziała zwinięta z ręcznikiem na tej kołysce, spoglądając ku niemu i po stokroć powtarzając:

— Ocaliliście mi życie... niedarmo przysięgaliście mi być rycerzem wiernym... Otoż to tak pięknie słowa dotrzymywać!! Będę wam do śmierci wdzięczna!!

A Pełka wydobył w milczeniu węzeł niebieskich wstążek, które mu służyły za całą odpowiedź. Potém biegł zbierać leśne kwiaty, które Jadwiga lubiła, i niósł je rzucając na kolebkę, w której piękna pani kołysząc się jechała już jakby na przejażdżkę tylko dla zabawy...

Dwór miała liczny i wielbicieli wielu: Rożański, jego towarzysze, nawet stary Wielikaniec nie odstępowali kroku; Gabryk trzymał cugle konia jednego, drugiego powierzwszy najrzęczniejszemu z czeladzi. Wszyscy wyprzedzali się w posłudze księżnej, w zabawianiu jój, w przygotowaniu spoczynku wygodnego i kuchni znośnej. Rozbawiła się też zupełnie i nie nudziła jój podróż wcale...

Gdy już byli bezpieczni w granicach Rzeczypospolitej, Pełka pomyślał dopiero, iż wypadało naradzić się z nią i zapytać dokądby życzyła sobie jechać. Sam on pragnął bardzo, ażeby się udała do Warszawy, ale jój woli w niczem nie chciał krępować. Jadwiga raz uwolniona z niewoli, zdawała się na wszystko obojętna, była swobodna,



śmiała się, bawiła, strzelała oczkami i nic jęj już więćej nie było potrzeba...

Dla urządzenia wygodnej dalszej podróży zбочono do Krakowa. Pełka natychmiast zajął się kupieniem kolebki i koni, co mu niewiele czasu zajęło... Ucztą sutą i wspaniałą pożegnał towarzysów i sojuszników swoich, którzy go omal w uściskach nie udusili. Wielikaniec nagrzeszywszy znowu w drodze, pobiegł do spowiedzi i wybierał się ku domowi.

— Dokąd pani moja wieć się każe? zapytał w końcu Pełka, gdy wszystko było w gotowości...

Piękna Jadwiga westchnęła, przymrużyła oczka, uśmiechnęła się, spojrziała w zwierciadło i odpowiedziała po namyśle!

— Mój rycerz jedzie do Warszawy, zatém przeprowadzi mnie tam... a w stolicy... no! zobaczymy, namyślemy się... A! nie wiem! boję się napaści księcia... pojechałabym na wieś do siebie... w Warszawie bezpieczniej może!

— Więć do Warszawy! do Warszawy! wykrzyknął Pełka, całując jęj rączki... Będziemy strażą waszą aż do stolicy... w stolicy i póki tylko rozkażecie... a ja — choćby życie całe!

Jadwisia się uśmiechnęła z nieukrywana radością.

— Ale książe! zawołała — mój mąż! ten nieznośny tyran!

— Pójdę do króla! pojedę do cesarza, będzie-

my się od nich bronili w sądach... nic nam nie uczyni... Bądź pani spokojna...

Nazajutrz więc siadła piękna Jadwiga z przyjętą dla niej służą do kolebki aksamitem wybitęj; dwóch czeladzi naprędce w barwę jej przybranych uczepiło się na stopniach, Gabryk i Pełka strojnie jechali straż utrzymując, i tak ruszono do Warszawy...

\* \* \*

Nim księżna dojechała do stolicy, już wieść o wypadkach na pograniczu, o napadzie oddziału jakichś opryszków polskich (jak ich zwano), na zamek w Szlązku, o dobywaniu jego i spaleniu, dobiegła do zamku i rozeszła się między ludźmi.

Księżę nie tracąc chwili, wymógł posłańca od cesarza ze skargą za naruszenie granicy, gwałt i porwanie księżny Prońskiej. Był to moment właśnie, w którym ksiądz Olszowski wybierał się w poselstwie do Wiednia po arcyksiężniczkę Eleonorę. Przyrzeczono wymiar sprawiedliwości... Sama historia najdziwniej i najsprzeczniej była opowiadana, z rozmaitemi upiększeniami w smaku czasu, to jest z dodatkami okrucieństw i dzikości. Księżę starał się ze swęj strony przedstawić ten cały wypadek tak, aby się wydawać niewinną ofiarą ludzi chciwych jego mienia, i mściwych i dzikich. Oburzano się przeciwko sprawcom, w których liczbie najpierwszy wymieniony był Pełka. Z tego powodu przy-

pominano jego dziesięcioletnie zniknięcie tajemnicze, a napaść na Braniborz służyła za najlepsze potwierdzenie domysłu, iż czas ten na rabunkach gdzieś spędzić musiał.

Dowiedziała się i pani podczaszyna o losie córki... łamiąc ręce i zrywając się biedz na jej ratunek; lecz dokąd się udać miała, nie wiedziała sama.

Wiele rzeczy było dla niej w tém ciemnych, w ogóle jednak wypadek opisywany powiększył tylko jej nienawiść ku Pełce. Przybiegła do Warszawy, zbierając się gdzieś jechać dalej... skarżąc się, płacząc, lamentując, i wszystko przypisując temu rozbojnikowi, bo go inaczej nie nazywała.

Dobrze widziana przez panią marszałkową Sobieską, u Paców, u Lobomirskich, jeździła od pałacu do pałacu, od domu do domu, skarżąc się na losy swoje, choć je sama zgotowała...

Tymczasem księżna zbliżała się do Warszawy. Wysłany przodem Gabryk miał polecenie wynająć dwór dla niej i sprzętu najlepszego od Pełki użyć dla urządzenia go w sposób godny tak wielkiego gościa... Miał on czas dokonać co mu polecono, i wyjechać jeszcze na spotkanie księżnej i swojego pana...

Jadwiga znalazła mieszkanie wyświeżone, wonne, zastawione z przepychem i z niewysłowioném zadowoleniem padła na spoczynek, już tylko rojąc o zabawach, strojach i opowiadaniach swęj nie-

woli... Dwór Pełki stał na jej usługi, a czeladź zbrojna miała polecenie dzień i noc straż odprawiać.

Nazajutrz kolebka z końmi świeżemi była na usługi... jak na skinienie czarnoksiężkiej laski sta-  
wiło się wszystko, czegokolwiek zażądać mogła...  
Jednak już jej trochę było nudno. Potrzebowała  
ludzi, bo bez nich żyć nie umiała. Dla tego wię-  
zienie samotne, na które ją skazał książę, było dla  
niej niewysłowioną męczarnią. W Warszawie nie-  
pokoiło ją, iż nie miała już komu opowiadać nie-  
szczęść swoich i cudownego ocalenia. Paliła ją ta  
żądza pochwalenia się taką rolą tragiczną i taką  
miłością bohaterską człowieka, którego płaciła je-  
dnym uśmiechem.

Ku wieczorowi Jadwisia ziewała już i kazała  
zaprządz, by się przejechać. Spodziewała się spo-  
tkać kogo, zwrócić oczy i mieć jakąś drogę do  
wejścia w życie większego świata... Godzinę stra-  
wiła na ubieraniu... Wyszła potem obejrzeć kolebkę  
i konie, ale tym nie do zarzucenia nie było. Sia-  
dła więc i kazała się wieźć do miasta.

Do tej pory na myśl jej nie przyszła matka,  
a raczej ile razy przypomniała sobie, tylekroć od-  
suwała od siebie myśl szukania jej, bo czuła swą  
słabość i niemożność oparcia się podczaszynie.  
Chciała być swobodną... a sama nie umiała tą  
swobodą rozporządzić... Bała się matki i potrzebo-  
wała jej razem. Pełka nadto był pokorny i służe-

bny, by mógł tą istotą, potrzebującą ulegać komuś, zawiadnąć.

Nie wiedziała Jadwiga gdzie się znajdowała podczaszyna, i nie chciała pytać o to... Zdawała na losy spotkanie się z nią. Losy zaś zbliżyły je może nad wolę Jadwigi. W przejeździe przez ulicę, otarła się o jej powóz wspaniała karoca pełna pięknych pań, wśród których ujrzała zdziwiona, przestraszona, matkę. Nastąpiła scena tragiczna niemal. Krzyk się dał słyszeć z obu kolebek, i ręce białe, wyciągnięte ku sobie, wyszły z za firanek. Woźnice na wołanie dworzan zatrzymywali powozy oba... Nim Jadwiga wychyliła się z kolebki swój, menażując fryzurę wysoką, — otylsza daleko podczaszyna wysunęła się z karocy marszałkowej i przypadła do córki... Rzuciły się sobie płacząc w objęcia. W ciasnej ulicy na chwilę powstał ścisk, bo ludzie nie wiedzący co się stało, patrzali ciekawie, różnie sobie tłómacząc tę scenę... Podczaszyna uprosiła pań z którymi jechała, aby ją przy córce zostawiły, i siadła z księżną do jej powozu, rozkazując jechać do domu... Jadwiga ciągle ścisnęła matkę...

— Dziecię moje! wołała podczaszyna tuląc ją. Jadwiniu moja! com ja wycierpiała! Jak przeklinałam i przeklinam tego niepocziwego, który wszystkich twych nieszczęść jest przyczyną, — tego ohydneho zbója... Pełkę.

— Jakto! Pełkę? podchwyciła księżna — ależ

to jest mój zbawca! on mi życie uratował... on mnie z niewoli wyswobodził.

— Śni ci się! krzyknęła pod czaszyna gniewnie, pleciesz nie wiedzieć co... gdyby nie on...

— Matunia nie chyba nie wie...

— Wiem doskonale, wiem o wszystkim... a! tak! gdyby nie on — byłabyś sobie z księciem starym radę dała — byłabyś szczęśliwa, a teraz? Co mu się było mieszać w sprawę małżeńskie...

— Ale matuniu droga...

— Ale Jadwisiu kochana! to zbój! to łotr... to...

Jadwiga zamilkła... sama już nie wiedziała co mówić. Biedna rozmyślała w sobie, czyby to czasem nie było prawdą co mówiła matka? Ha? któż wie? kto wie? Słabe stworzenie nie umiało tak gwałtownej wytrzymać napaści... Zachwiała się...

Ciągle słuchając narzekań matki, milcząca dojechała do dworku. Miała czas tylko przyznać się, że konie, kolebka, dwór, służba, suknie, klejnoty, wszystko to winna była Pełce...

Podczaszyna ręce załamała...

— Jednej godziny tu nie pobędziemy! krzyknęła — nie chcę, byś mu cokolwiek była winna! Jedziesz do mnie, do domu... Zapłacimy mu...

Niezmiernie zmieszała się księżna... sama nie wiedziała co pocnie, na siłę oporu przeciwko matce zebrać się nie umiała... Zrobiło jęj się smutno—i rozpłakała się jak dziecko.

Matka była na wszystko przygotowaną, łyzy jej wcale nie poruszały... Korzystając z tego stanu córki, natychmiast rozkazała zawracać do swego mieszkania... Jadwiga rękę już podniosła chcąc się temu sprzeciwić, podczaszyna ją zakrzyczała... Dziecko biedne wpadło znowu pod tę despotyczną władzę matki... na którą zdawało się skazaném.

Po głowie Jadwisi chodziły myśli różne ratunku... wszystkie równie bezskuteczne... Nie dopuszczając jej do słowa, podczaszyna dowodziła ciągle, że Pełka wszystkich nieszczęść był przyczyną...

Tak dojechały de mieszkania matki... Szczęściem, Jadwiga nie tracąc nadziei, iż się może uwolnić jeszcze potrafi, miała czas szepnąć jednemu z czeladzi, aby pod żadnym pozorem konie nie odchodziły... Rozkazy jej ludzie Pełki nauczyli się spełniać, choćby życie stawić przyszło...

Matka z córką weszły do dworu zajmowanego przez podczaszynę... Tu dopiero rzuciwszy się na siedzenie uspokojona nieco Jadwiga wyprosiła u niej, ażeby mogła opowiedzieć swe przygody.

— Ależ posłuchaj matusiu! rzekła ręce łamiąc — ależ posłuchaj! wy nic nie wiecie... Wywiózł mnie ksiązę do stolicy cesarskiej, jechałam pewna, że on tam miejsce wielkie zajmuje przy dworze. Oszukał nas... Stanęliśmy w nędznej gospodzie, i gdyby nas cesarzowa nie spotkała na przejażdżce

i nie była uderzoną pięknoscia moją (tak się naiwnie wyraziła księżna), możebyśmy do dworu i prezentacyi dobić się nawet i doprosić nie mogli. Twarz moja więcej sprawiła niż zasługi księcia, który tam małą służbę pełni przy cesarzu... Jest przy nim komornikiem a nie podkomorzym.

Alem miała tryumf ukazawszy się na dworze... a! dwóch arcyksiążąt zakochało się we mnie na zabój... podobałam się cesarzowej, księciu lotaryńskiemu scenę zrobiła arcyksiężniczka Eleonora, która się w nim kocha... bo była o mnie zazdrosną...

A! muszę się przyznać matuni — bo też chciałam być piękną i podobać się... koniecznie, aby nareszcie z gospody wyjść, w której ten człowiek mnie trzymał... Dopieroż cesarzowa matka przykazała, abym bywała u niej, dopiero podkomorzy mój musiał starać się o to, abym wystąpiła jak należy. Niegodny człek! chciał, abym z nim żyła zamknięta, świata nie widząc... małym oczu nie wypłakała! Alem się pomściła na nim, gdy na dworze zaczęli wszyscy szaleć za mną!

Co miał być z tego szczęśliwy, mój pan małżonek — niewdzięczny — jeszcze się gniewał, srożył i wymówki mi czynił. Alem na to wcale zważać nie myślała. . .

Jednego wieczoru arcyksiążę mi czasu maskary przyniósł mumszanc bardzo piękny... już tego mój stary wytrzymać nie mógł. Nazajutrz zerwał się jechać na Szlązk, swoje oglądać zamki i mnie brać



z sobą. Prawda, że arcyksiążę nieostrożny upuścił bilecik, który mi miał oddać, a on go przeczytał... Ale w bileciku nic nie było, tylko uwielbienie dla mnie. . .

Jak zaczął mnie męczyć, dręczyć, gniewać się, prosić, zaklinać, musiałam jechać. Dopókiśmy jeszcze byli w Wiedniu, gdzie ja poskarżyć się miałam komu, boby mnie cesarzowa matka była z jego rąk wyrwała — dyssymulował... ale gdyśmy wyjechali ze stolicy, uczułam, żem była w niewoli. Posypały się wymówki, wyrzuty, a w końcu przysiągł, że noga moja więcej w Wiedniu nie zostanie...

Z noclegu chciałam uchodzić pieszo... ale mnie pochwyił... Płacząc ciągle dojechałam do tego okropnego zamku... najstraszniejszego na świecie więzienia. A! któż go opisać potrafi! Lochy, upiory, strachy... w podziemiach pełno ludzkich kości, korytarze czarne... izby ciemne... kraty... do koła straże, smutek... cisza, niewola...

To mówiąc, płakać rzewnie zaczęła, a matka, która słuchała dosyć obojętnie opowiadania, tuliła ją nie okazując wielkiego współczucia...

— Nie umiałaś sobie ze starym dać rady, zawołała żywo — dziecko jesteś! Mogłaś z zakochanym zrobić coś chciała, i arcyksiążąt bałamucić, i na dworzę zostać, i opanować go... Na co go było drażnić? mogłaś zwodzić... a ty zawsze i do trzydziestu lat dzieckiem być nie przestaniesz...

Któż takiego człowieka gniewa i na przekór mu robi?..

— Ale to kat nie człowiek! poczęła Jadwiga, ręce łamiąc: na wspomnienie jego krew ścina się w moich żyłach...

Zakryła oczy i płakała...

— Z tego zamku nawet mogłaś się wydobyć pochlebając mu trochę... dodała matka...

— Ja? jemu? pochlebiać? płaszczyć się? prosić? krzyknęła księżna — a! nigdy w świecie... Wystawże sobie matuniu — zamknął mnie samą, otaczając szpiegami... skazując na śmierć z nudów i łez... Groził mi czarnym lochem! O! żem nie oszalała... Szczęściem, ten mój rycerz wierny...

— Kto? groźno pochwyliła matka...

— Pełka — cicho dodała Jadwiga.

Podczaszyna ruszyła ramionami.

— Piękny mi rycerz! rzekła z przekąsem — zbójca, który gdzieś rabunkiem dorobił się majątku. Wszyscy to mówią...

— Ale on dla mnie mało życiem nie przypłacił.

— Wolałabym była, żeby zginął! krzyknęła zrywając się podczaszyna, razbyśmy od niego się uwolniły.

— Gdyby nie on, jabym tam umarła — podchwyciła Jadwiga... Cudem wyrwał się z więzienia... zebrał ludzi, napadli na zamek... i...

— O! wiem wszystko — dokończyła matka, mówić mi nawet nie potrzebujesz... Tobie się zdaje, że się to dobrze stało... a najgorzej w istocie... Cóż teraz poczniesz z księciem? Jesteś jego żoną!

— Nie chcę nią być!

— Musisz! zawołała podczaszyna — przysięgłaś mu u ołtarza... .

— Lecz żyć z nim — nie będę! stanowczo na odwagę się zebrawszy zawołała Jadwiga głosem, który matkę przeraził. Nie chcę! nie mogę! ani ty, ani król, ani w świecie żadna władza z tym tyranem i katem żyć mnie nie zmusi... Nie będę!

I wstała miotając słabemi rączkami aż matka w milczeniu ująwszy ją wpół posadziła całując w czoło.

— Uspokójno się — uspokój, rzekła cicho. Nie chcesz żyć z księciem... zobaczymy... tylko mi nie mów o Pełce! tylko mi go nie chwal! tylko mi o nim nie wspominaj! nienawidzę tego człowieka! . .

Jadwiga znowu płakała... Znająca ją dobrze matka całunkiem ukołysa i cicho zapytała, jak się noszą u cesarskiego dworu?

Było to czarodziejskie słowo. Szybko Jadwisia otarła łzy, podumała trochę i zaczęła z nadzwyczajną szybkością opowiadanie: o stanikach, rękawach, zasłonach i wonnych *poudre de Chypre*, którym posypywano włosy... i o przecudnych klejnotach, któremi panie zdobiły się na cesarskim dwo-

rze... bo tam już jak wszędzie wkradła się i pano-  
wała francuzka moda.

Podczaszyna nie tyle może słuchała szczebiota-  
nia córki, ile cieszyła się skutecznym środkiem  
użytym do rozerwania jej... Mówiły długo... a ani  
książę, ani Pełka nie wtrącił się do rozmowy...  
Jadwiga wreszcie nieśmiało zażądała jechać...  
do domu...

Podczaszyna zerwała się jak oparzona, stano-  
wco oświadczając, że jej nie puści...

— Nie chcę i nie pozwalam ci więcej się wi-  
dzieć z tym Pełką; on tu przyjść nie będzie śmiało...  
a tam i jabym jeszcze zetknąć się mogła... Nie  
chcę, ażeby się zbliżał do ciebie, aby sobie łaski  
zaskarbiał... Któż to wie? książę zgryziony, zły,  
może umrzeć, ty owdowiejesz znowu...

— A! gdyby to być mogło! naiwnie ręce do  
góry podnosząc zawołała Jadwiga.

Obie panie zajęte rozmową nie zważały wcale,  
że już od minut kilku miały świadka, który ostat-  
nie słowa stojąc w środku pokoju podsłuchał. Był  
to Pełka niespokojny o Jadwigę, który tu nawet  
ją gonił, choć się dobrego przyjęcia od podczaszy-  
ny nie spodziewał... Nie tyle go obeszło, iż ona  
wstrętliwie się o nim odezwała, ile życzenie Ja-  
dwigi utkwilo mu w sercu...

Jadwiga pragnęła więc pozbyć się męża i zo-  
stać wdową...

Właśnie po tym wykrzykniku podczaszyna postrzegła w mroku stojącego nienawistnego sobie człowieka. Zbladła i zadrżała cała. Choć zwykle przytomna i zuchwała, na chwilę była tak zmieszana, iż ust utworzyć nie mogła.

Pełka skłonił się chłodno.

— Niespokojny byłem o księżną panią — rzekł — bo dopóki mam szczęście i honor czuwać nad nią. . .

— Już ani szczęścia tego, ani honoru nie masz waćpan, wyrwała się podczaszyna, skoro ja tu jestem. Bardzo mu dziękujemy za wszystkie jego łaski i dobrodziejstwa . . . ale już tego dosyć. . . Matka starczy za opiekunów.

Pełka, jakby apellując od tego wyroku, zwrócił się ku Jadwidze, która stała zarumieniona, pomieszana, rwąc w rękę façolet szyty koronkami. . . Wzrok jój tylko milcząco zapewniał rycerza, że leciuchne serduszko pani jego myśli. . . nie było dlań niewdzięczne. . .

— Pani podczaszyno dobrodziejko — odezwał się do matki. . . o jój uczuciach dla mnie nie potrzebowałem się dziś dowiedzieć z przypadkiem uchwyconej rozmowy, doskonale znane mi były. . . Cóż począć? zwyciężyć ich nie mogę — znosić muszę. . . lecz pozwól mi spytać — com ja wam zawinił?

Zarumieniła się jejmość, którą gniew poruszył widocznie. . .

— Cóżes waszmość miał i mógł zawinić? zawołała gwałtownie: chyba, że się nam płaczesz niepotrzebnie, gonisz, ścigasz... i prześladujesz... Ani waćpana pomocy, ani rycerskiej opieki, ani nic jego nie potrzebujemy. Daj nam święty pokój!..

— Dziesięć lat mnie nie było! wzdychając rzekł Pełka.

— I sądziłam, że przez tyle czasu przyjdiesz waszmość do rozumu! zawołała podczaszyna unosząc się coraz bardziej. Powróciłeś takim jakim pojechałeś.

— I to moja wina? zapytał Pełka.

— A zapewne! mówiła kobieta: ani ja, ani córka moja nie chcemy was... .

Pełka spojrział na Jadwigę, która mu nieśmiałym, czułym odpowiedziała wzrokiem, ale nie odezwała się ani słowa... .

— Nie chcemy was... . powtarzała podczaszyna — ani waszój miłości, ani darów, ani bogactw, ani... nic... a nic!

— Wierzę, rzekł Pełka, iż jako matka wiesz pani najlepiej co się w sercu jej córki dzieje — wszakże dopóki z własnych jej ust tego nie usłyszę, nie uwierzę, by dla mnie miała być tak okrutną.

Jadwiga przemogła bojaźń sprzeciwienia się matce, postąpiła krok, podała rączkę Pełce i zawołała żywo, aby sobie nie dać przerwać mowy:

— Ja wam jestem wdzięczna, bardzo wdzię-

czna... ja nie wyrzekam się waszjej opieki i przyjaźni...

Podczaszyna rzuciła się między córkę a Pełkę, nie dając dokończyć, i ukazała drzwi.

— To mój dom... zawołała — jam tu pani. Uwolnij mię waćpan od rozmowy... Nie chcę znać człowieka, w którego życiu jest dziesięć lat zagadki niewytłomaczonej, a w rękach złoto, o którym nikt nie wie zkąd pochodzi.

Podniosła nań piorunujące wejrzenie — Pełka stał nieporuszony...

— Zmuszasz mnie pani do wyświadczenia się nareszcie, nie dla niej, bo mi o jej opinię nie chodzi, ale dla księżny. Dziesięć lat spędziłem w wojsku cesarskiem i wojnie, a zdobyczem rycerskim i nagrodzie za krew moją winienem to co mam... Zdobyłem to na wojnach... a chlubne świadectwa, których nie chcę pokładać, dowodzą, że ucziwie służyłem...

Podczaszyna zamilkła...

— Bywaj mi pani zdrowa — dodał Pełka — ale do zobaczenia, bo sądzę, że się nie ostatni raz spotykamy w życiu. Czołem księżnej pani...

Jadwiga chciała się wysunąć z za matki, aby swojego rycerza pożegnać, ale ta nie dopuściła... Pełka uśmiechnął się i wyszedł z wolna.

W pokoju panowało milczenie... Podczaszyna czując, iż sobie naraziła córkę, poczęła ją ścisnąć i całować.

— Dziecko moje — ja to czynię dla szczęścia twojego — ja cię bronię — ja się narażam... ale nie dopuszczę, by ten człowiek wiązał się do nas... Ten szlachetka jakiś!

Konie Pełki stały noc całą przed gankiem dworu, matka nie dozwoliła odjechać Jadwidze...

Tuląc ją, słodząc ucisk, jaki nad nią wywierała, trzymała podczaszyna córkę w istnej niewoli. Jedyłą pociechą Jadwisi było to, że nazajutrz wystrojona mogła pojechać do Sobieskich i tam opowiadać swe dzieje, budząc ogólne uwielbienie i współczucie. Mężczyźni głowy tracili... Gromadą przeprowadzono ją do powozu w tryumfie, na rękach do niego wniesiono... a! i trochę o Pełce już zapominała...

Tegoż dnia wieść się rozeszła, iż księżę Proński przybywał. Spieszył on opatrzony listami cesarskimi dla odzyskania żony. Nie śmiał jednak pierwszego dnia jój się pokazać. Pełka, który miał rozstawionych ludzi i na spodziewane to przybycie czatował, dał natychmiast znać Jadwidze. Wiadomości tej jednak nie dopuściła do niej podczaszyna.

Skutkiem opowiadań córki, uległa jój w tém tylko, że zaczęła na równi z Pełką nienawidzić Prońskiego. Nakazała więc czeladzi swój, ażeby na wypadek przybycia, pod żadnym pozorem do dworu go nie wpuszczano.



Proński rozmyślał jeszcze jak ma sobie postąpić, i słał do dawnych przyjaciół o radę, gdy czatujący nań Pełka, wywiedziawszy się kędy miał i kiedy jechać z gospody do ks. prymasa, wybrał się tak, aby spotkanie w ulicy było nieuchronne. Wiedział, że Proński nie miał z sobą dworzan nad sześciu, wziął więc do boku tyłuż, i wyjechał tak, aby się rozminąć nie mogli, nie zajrzawszy sobie w oczy.

Tak się też stało. Księżę na widok człowieka, którego sądził nieżywym i w którym czuł śmiertelnego nieprzyjaciela, zbladł, i zatrząsł się, zachowując wytrawnego męża powagę. Pełka szukający go, natarł nań prawie.

— Mości księżę — zawołał pierwszy — ludzie, których waszmość zabijasz, wracają za łaską bożą z tamtego świata, i radziby się z nim rozprawić...

— Nie w ulicy przynajmniej, odparł Proński.

— Gdzie się żywnie podoba — w ulicy, na rynku... na polu, w lesie — a no, nam trzeba rachunki skończyć.

— Chociaż ja żadnych nie mam — a po rycersku wyzwania na rękę nie odmawiam.

Pełka cisnął mu rękawicą w oczy, którą jeden z dworzan skoczył podjąć i przyniósł księciu, a ten ją za pas zatknął.

— Jutro o brzasku na Woli — rzekł Pełka — jak się W. Ks. Mości podoba...

— Na życie lub śmierć! odparł Proński.

— I ja tak rozmiem — zawołał wyzywający...  
 Świadcami i przyjaciółmi będą, kto sobie kogo  
 wybierze...

Skłonił się Pełka i minęli...

Oprócz dworzan obu nikt rozmowy nie był świad-  
 kiem, a tym usta zamknięto zakazem. Nikt o go-  
 tującej się rozprawie nie wiedział. Pełka zaprosił  
 tylko Wielikańca, który po drodze był w War-  
 szawie, Proński kawalera de Maily brata kancle-  
 rzynej.

Dzień był pochmurny, gdy się dwa orszaki na  
 Woli spotkały... pozdrawiając z daleka... Stanęła  
 tedy drużyna z boku. Proński i Pełka z pistoletami  
 odwiedzionymi jechali wprost na siebie... Na  
 twarzy Prońskiego malował się gniew i zaufanie  
 w siebie, książę wydawał się spokojnym hcoć nim  
 nie był. Pełka szkaplerz ucałowawszy... oka nie  
 zmrużył, i po długiém mierzeniu wypalił... Dwa  
 strzały padły razem prawie, obaj puste, gdyż  
 jeźdźcy na koniach siedzieli nie ranieni i konie były  
 całe. Chwycili natychmiast z olstrów po drugim  
 pistolecie i Proński pierwszy wypalił, zerwawszy  
 tylko Pełce niebieską kokardę na ramieniu... W téjże  
 chwili strzał Pełki ugodził go w czaszkę i powalił.  
 Koń strwożony wyrwał się poleciał. Książę na zie-  
 mi leżał bez życia — kula przeszła kość i uwię-  
 zła między oczyma...

Rzucili się przyjaciele Prońskiego ku niemu,  
 a Pełka popatrzawszy na trupa, pistolet schował

do olstrów, zawrócił konia i stępa wolno z placu odjechał. Po chwili jednak stanął i posłał Gabryka aby się przekonał, czy Proński zabity...

Nie było najmniejszej wątpliwości, gdy ciało stygło a kula głęboko w mózgu utkwiała. Pełka dowiedziawszy się o tém wprost z Woli pojechał do dworu podczaszyny, w którym po ostatniem widzeniu się z Jadwigą nie był jeszcze. Służba, mimo której w dziedziniec wszedł, dalej go puszczać nie chciała. Hałas wywołał Jadwigę do okna... Pełka ją zobaczył i pokłonił się.

— Przychodzę W. Ks. Mości donieść, zawołał głosem donośnym — iż spełniłem życzenie jój... Księżę Proński zabity, dziś, przezemnie... oto w tej godzinie jesteś wdową i wolną.

Dosłyszawszy słów tych, które snadź dziwnie w jój uszach zabrzmiały, piękna Jadwiga uderzyła w dłonie, krzyknęła i znikła z okna natychmiast. Pełka poszedł do konia i odjechał do domu.

Nie uciekał ani uchodzić myślał; czekał ażali kto przeciwko niemu instygować będzie, nikt nie wystąpił, omijano go tylko bardziej jeszcze i ludzie gorzej niż kiedy o nim mówili.

Podczaszyna, jak tylko wiadomość ją doszła o zabiciu Prońskiego, pomyślała najprzód o prawie i zagarnięciu co się córce należało, potem zaraz o wywiezieniu Jadwigi, aby Pełka przystępu do niej mieć nie mógł.

Pełka dowiedział się trzeciego dnia, iż obie na wieś dla żałoby wyjechały. Sądząc, że znowu osiada na czas jakiś w Horbowie, kazał ludziom gotować się do Gołczwi... Ruszył więc jak mu się zdawało w ślad za niemi.

Dopiero przybywszy do domu, gdy na zwiady wysłał Gabryka do Horbowa, przekonał się, iż podczaszyny tam nie było, a służba domyślała się, że pojechały obie w Sandomierskie do dóbr księżny. Rozmyślał Pełka, czy jechać za niemi — i pozostał w Gołczwi. Znużony był i smutny. Spoczynku potrzebował, rodzina siostry Laskowskiej stała mu za tę, której doma brakło...

— Dopóki podczaszyna żywa — mówił, do siostry bawiąc się z jej dziećmi — póty ja mojego szczęścia mieć nie będę. Choćby mi wdowa sprzyjała, choćby mnie i chciała, nie dopuści matka. I jakże tu szlachcicowi jak ja, choćby zamożnemu, porwać się o rękę wojewodziny i księżny?

Z goryczą narzekał prawie na utrapione życie podczaszyny, która nigdy nie była zdrowszą niż teraz, a zawsze jeszcze choć zęby tracić zaczęła, udawała młodą i za młodzika radaby się wydała. Ale się jej chciało, choćby bez grosza i mienia, byle dobrego rodu, imienia i w latach takich, aby prędej za syna niż za męża uchodził — a takiego znaleźć było trudno... W miarę jak ją opuszczała młodość, schodziła po trosze z wielkich żądań na skromniejsze coraz, a im mocniej się starała coś

sobie wyszukać, tém szło oporniej... Ostatni wielbiciel, pożyczwszy summy niemałej, na którą skrypt wystawił bez świadków, znikł tak, iż go nigdzie listami nawet gończemi wyszukać nie było podobna.

Śmierć księcia i owdowienie córki odwróciły znowu uwagę i myśli podczaszyny ku daleko pilniejszej sprawie. Chciała wydać raz jeszcze Jadwigę z korzyścią dla siebie i świetnie. Biedna istota próżno wrywała się matce, dowodząc, że chce wedle serca swojego rozporządzić.

— To tam bałamuctwo — mówiła z cicha... serce możesz dać komu chcesz... to zabawka, a trzeba się wyswatać dla domu, dla imienia i majątku...

— Znowu za takich, jakichś mi matka dała już dwóch?... zapytała Jadwiga.

— Jakto! pierwszy był zły? możesz ty to powiedzieć? — przerwała żywo podczaszyna — pierwszy był doskonały! Umarł nie nudząc, na drugim trochę się omyliłam — a kto temu winien, jeśli nie twój Pełka? A prawdę mówiąc — i ten ci długo nie dokuczał... Teraz trzeba wszystko dobrze rozważyć.

Pełka siedział w Gołczwi nudząc się, gdy podczaszyna ukołysawszy Jadwisie, zawiozła ją do Warszawy.

Miała z tamtąd listy, w których jęj donoszono, iż młody Pac, po trosze Pociejów krewny, niebo-

gaty człek, ale wychowany tak, że się go i w Paryżu nie wstydzono na dworze... gotówby był sięgnąć po rękę wdowy, o której wieści chodziły, że po dwóch mężach dziedziczyła znaczne włości. Chociaż po drugim tak jak nic nie było, nie wydawano się z tém cale... Pac dla imienia przez protekcję mógł dojść wysoko.

Kawaler był co się zowie piękny, ułożony wedle ówczesnej francuzkiej mody, bo wychowanie w obcych kończył krajach — nosił się z cudzoziemską i w łasce był u pani marszałkowej Sobieskiej i u Radziwiłłów, co mu dobrą przyszłość rokoowało. Kanclerzyna go też jako miłego kuzynka trzymała u boku, i chodziły wieści, że go do zbytku protegowała. Od niej to wyszła myśl ożenienia go z księżną. Pac miał lat trzydzieści, ona mało co była młodsza — wdowi swój stan opłacała majątkiem, który wносиła; a niełatwo też było o pannę tak majątną dla człowieka, co sam miał tak jak nic...

Nic nie mówiąc o osnutym planie, z którego spodziewała się korzystać podczaszyna w sposób sobie tylko wiadomy... zawiozła córkę do Warszawy. Z razu Jadwiga żałobę nosić chciała, namówiono, że ją wprędce zrzuciła. Nie było i tak po kim płakać...

Paca nie prowadzono urzędownie do niej, spotkali się w domu kanclerzyny, a kawaler niby *proprio motu*, przystał do ślicznej wdówki. Jadwiga

zawsze miała zwyczaj choć bez celu, bałamucić tych co się do niej zbliżali.

Pierwszego wieczoru śmiała się z matką razem, iż mu coś głowę zawracać zaczęła. Podczaszyna potwierdziła to postrzeżenie, a nie wydając się z protekcyą, ostrzegła, że był ubogi.

Zmilkzała na to księżna... Drugiego dnia spotkali się w ogrodzie, podczaszyna zaprosiła do siebie — Jadwisia spędziła z nim cały wieczór na śmieszkach... Pac był wesół, dowcipny i już widocznie rozkochany.

Jadwiga przyznała się przed matką, że jej się chce pękać ze śmiechu, tak Pac oczyma się przy-mila i już wzdycha.

— Dałabyś mu pokój — rozśmiała się matka — bobyś za niego nie poszła...

— Czybym poszła czy nie — ale taka zabawna rzecz patrzeć, jak mężczyzna głowę traci, jak omdlewa, jak pada... szaleje... Ach! czyż może być komedia nad tę?... mówiła Jadwiga. Cóżem ja temu winna, że moje oczy taką władzę mają?

— A serce ci nie mówi nic?

— Serce? spytała Jadwiga... serce? a cóż to ma do mojego serca?

Podczaszyna zamilkła...

W kilka dni potem, Pac począł półsłówkami coś o miłości się odzywać. Jadwigę to bawiło — i nic więcej...

Czasem na myśl przychodził jój wierny, milczący, cierpliwy Pełka, i chciałaby go była zobaczyć... i tęskno jój było do dobrego przyjaciela... ale... matka!

Z matką było tak trudno! O Pełce nawet wspomnieć nawet nie dozwalała... Pierwsze swaty zagała kanclerzyna... biorąc Jadwigę ze słabiej jak się zdawało, strony... Odmalowała przed nią przyszość kuzynka w najświetniejszych kolorach. Jadwisia zmilczała. Wieczorem matka, jakby sama z siebie, powtórzyła toż samo...

— Cóż ty, chyba za mąż już iść nie myślisz, jeżeli ci się nawet ten Pac nie podoba? Młody, przystojny, miły, dobrego rodu i protegowany... a do fortuny mu pomogą...

Jadwisia zrobiła minkę dziwną i z razu zmilczała.

— Czegóż się mam spieszyć? odezwała się potem — może się znajdzie kto inny? może mi się lepiej podoba? Jakoś nie mam wielkiej ochoty...

— Ale cię szalenie kocha — przerwała matka.

— A! oni się wszyscy we mnie kochają! rozśmiała się Jadwiga — ale ja...

— Juściż...

— Mnie... wszystko jedno... ten, czy ów, czy żaden... mówiła wdowa... trochę to bawi z początku, gdy się kochać zaczyna, jak mu każe... a potem tylko śmieszne...



Podczaszyna westchnęła, nawet jęj to usposobienie córki wydało się dziwne. Zdaje się, że szło wielce o to, aby Pełka znowu się nie zjawił, bo ze wszystkich Jadwiga najwięcej mu okazywała przyjaźni. Trzeba więc było dopomóc Pacowi koniecznie... Sprowadzano go codziennie, chwalono niezmiernie, nudzono nim ciągle, naglono o postanowienie, sławiono czyny, wynoszono dowcip, i kanclerzyna tak zabiegała, iż faworyt jęj wreszcie pół słowa, jakąś obietnicę otrzymał. Schwycić za nią i zmusić do przyspieszenia ślubu, było rzeczą matki i kuzynki...

Pełka siedział w Gołczwi jeszcze, gdy do niego stary łowczy przyplynał. Musiał się po raz dwudziesty oświadczyć podczaszynie i dostać znowu odkosza, gdyż na swą boginię był rozgniewany, i począł od tego, że ją nazwał starą babą, zalotnicą, intrygantką...

Wystawcież sobie — rzekł w końcu do Medarda... córkę znowu mimo jęj woli za gaszka kanclerzyny wydaje, słyszę już pozrękowinach, a w zapusty ślub. Porekawicznego téż dostała męża sama. Pac go jęj wyszukał w osobie cale przystojnego chłopca — mówię bez dwuznacznika... bo Cyrulski bodaj z chamów pochodzi, ale szlachecką ma fortunę i do jakiegoś herbu się przyczepił, zaczęła już zęby tracić, włosy smarować, marszczki na twarzy, jakby biczem smagał... bo młodszy od nięj o lat piętnaście.

— Jakto! wiecie z pewnością, że księżna za mąż wychodzi? zapytał Pełka.

— Najpewniej... Pac tam siedzi ciągle i tajemnicy z tego nie czynią... całemu to światu wiadomo...

— I Jadwiga się zgodziła?

— A któż podczaszynie się oprze? zawołał łowczy.

Ludzie rozpowiadają, iż sama się z tém odzywała, że z weselem śpieszy, bo się waszmości lęka, żebyś jój córki gwałtem nie porwał.

Pełka się rozśmiał smutnie.

— I ma słuszość, rzekł, gdyby skinęła tylko, że pragnie być od téj przemocy wolną... jutrobym ją oswobodził tak, jakem ją z tego zamku wyrwał i od męża uwolnił — ale matka ma swe prawa... a ja gwałtu mojej pani zadawać nie chcę... Dała słowo Pacowi — wola jój, niech Paca próbuje — ja poczekam...

— Waszmość jeszcze myślisz czekać, aż trzeci mąż z drogi się usunie?

— Ależ Pac od ciebie młodszy?

— Nie wiadomo kto z brzegu... odparł Pełka: wolę czekać, niż gwałt mieć na sumieniu. A coby mi było za szczęście, gdybym ją wziął mimo jój woli?

Godziemba ręką machnął...

— Nigdyś jój waszmość nie kochał? rzekł — nie ma i mówić o czém...

Jakoż nie mówili dnia tego, a następnego Pełka oświadczył *discursive*, że mu wiejskie życie obrzydło, i że do rycerskiego rzemiosła powrócić myśli.

— Na wojnę się z Turkami zanosło... pójde się bić, czas prędej przechodzi na wojnie...

A Gabryk otrzymał rozkaz, wozy i konie mieć w pogotowiu.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



INSTYTUT  
BADAŃ ILEKTRONICZNYCH

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-83, 26-52-31 w. 42













F  
1784  
2